

Cenckiewicz odsłania
tajemnice IPN

Lewica szuka
mesjasza

Tyrmand na balu
u Donalda Trumpa

Śpij długo,
by długo żyć



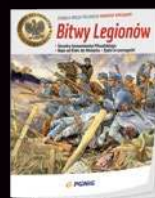
TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

120
stron

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 5/207 30 STYCZNIA-5 LUTEGO 2017



**DODATEK
SPECJALNY**
BITWY
LEGIONÓW
PIŁSUDSKIEGO



Dorota Gawryluk

OKO W OKO Z DOBRĄ ZMIANĄ

NOWY PORTAL
dorzeczy.pl



WYBIERZ SWOJĄ DROGĘ DO MINI RATKI

POŻYCZKA GOTÓWKOWA

Weź Mini Ratkę, tak jak jest Ci wygodnie. Nie czekaj – złóż wniosek na stronie [www](http://www.pkobp.pl), w serwisie internetowym iPKO, aplikacji mobilnej IKO, przez infolinię lub w najbliższej placówce PKO Banku Polskiego.

- nawet do **120 000 zł** (wraz z kredytowanymi kosztami)
- rata dopasowana do Twoich możliwości finansowych
- wypłata środków nawet w dniu złożenia wniosku



Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o pożyczce gotówkowej, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w placówkach Banku i na www.pkobp.pl.
Udzielenie pożyczki jest uzależnione od pozytywnej oceny zdolności kredytowej.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Więcej niż tylko fasada?

Czy pomysł zmian ordynacji wyborczej do samorządów, którego głównym elementem ma być wprowadzenie zasady dwukadencyjności władz, jest realnym planem politycznym PiS? Tak mogłoby wynikać z kolejnych wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego. Jest on zwolennikiem zasady, zgodnie z którą w wyborach w 2018 r. nie mogłyby startować osoby, które wcześniej pełniły funkcje burmistrzów i prezydentów więcej niż dwa razy. Głównym powodem zmian – jak twierdzi prezes PiS – ma być walka z klikami i układami. To, że powstają one w sytuacji, w której jedna osoba rządzi przez kilka kadencji, to prawda. Nie ma bowiem wątpliwości, co pokazują wszystkie możliwe analizy, że urzędujący prezydenci, wójtowie i burmistrzowie mają podczas wyborów nieporównywalnie łatwiej niż ich oponenci. Krótko mówiąc – jak to powiedział mi kiedyś, w czasie nieformalnej rozmowy, jeden z ekspertów – żeby przegrać wybory samorządowe, sprawujący rządy prezydent musi okazać się przestępcą i łajdakiem. Czasem zresztą i to może nie wystarczyć.

Skoro tak, to łatwo sobie wyobrazić, co z takiej przewagi politycznej może wynikać: kumoterstwo, obsada stanowisk – od ważnych do całkiem nieistotnych – swoimi, wreszcie swoista atmosfera przyzwolenia na korupcję. Jaki przedsiębiorca będzie chciał zadzierać z samorządowym politykiem, jeśli wie, że ten jest praktycznie nieusuwalny? Ilu zdecyduje się na wejście w spór, skoro duża część ich interesów, a czasem wręcz wszystkie, zależy od tego, żeby „dobrze żyć z miejscową władzą”? A jak żyć lepiej, niż „układając się”? Nie ma zatem wątpliwości, że przedstawiony przez prezesa PiS projekt odpowiada na ważną potrzebę społeczną.

Czy jednak to wystarczy? Pierwsza wątpliwość dotyczy zasad. Jedną z najważniejszych, powszechnie akceptowanych w cywilizowanym świecie, mówi, że prawo nie działa wstecz. Można to też ująć innymi słowami: nie wolno zmieniać reguł w trakcie gry; kto tak robi, ten łatwo doprowadzi do chaosu. Trudno uznać, że projekt PiS tych podstawowych reguł nie narusza. To, że wprowadzone w życie prawo może obowiązywać w przyszłości, jest kwestią pragmatyczną, to, że miałyby ono dotknąć dotychczasowych

liderów władz samorządowych, trudno pojąć. Drugim ważnym problemem jest sprawa ograniczania biernych praw obywatelskich – prawa do startu w wyborach – co wydaje się z kolei pozostawać w sprzeczności z obowiązującą konstytucją.

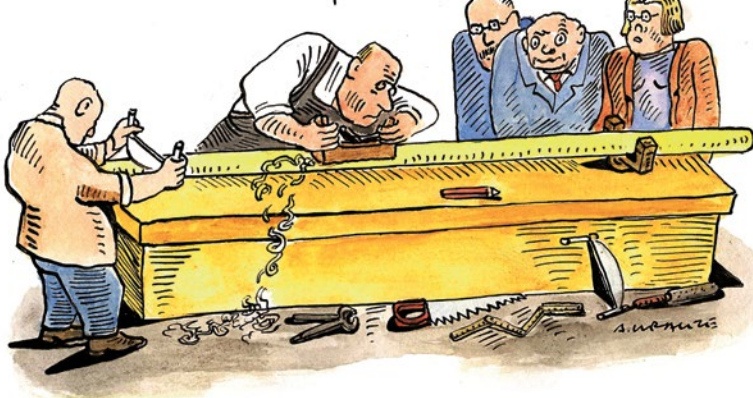
Problemem są jednak nie tylko kwestie prawne. Czy owa zmiana faktycznie jest korzystna dla ogółu? Jaki będzie jej efekt polityczny i społeczny? Ten pierwszy trudno oczywiście oszacować. Jak wynika z raportu przygotowanego przez Fundację Batorego, „proponowana zmiana dotknie ok. 2/3 gmin. Wśród szesnastu miast liczących powyżej 200 tys. mieszkańców aż w dwunastu obecnie urzędujący prezydenci nie mogliby ponownie startować w wyborach. Wśród partii zakaz kandydowania dotyczyłby ponad 70 proc. obecnych liderów lokalnych pochodzących z PSL, ok. 60 proc. z PO i tylko ok. 30 proc. z PiS”. Łatwo zatem będzie uznać, że faktycznym celem zmian nie jest uzdrowienie państwa, ale zdobycie władzy przez polityków samorządowych związanych z rządzącą partią. Polacy bywają przekorni. Jeśli ów motyw będzie aż tak widoczny, to polityczny efekt nowej ordynacji może być odwrotny od oczekiwanego przez PiS.

Nie jest też jasne, jaki byłby faktyczny skutek społeczny nowej ordynacji. W państwach Unii kadencyjność obowiązuje w Portugalii i we Włoszech. Cóż, wszystko, co wiem o tych państwach, każe mi powątpiewać w skuteczność pomysłu ograniczenia liczby kadencji. Czy efektem ograniczenia liczby kadencji liderów samorządów we Włoszech jest spadek poziomu korupcji? Zmieniła się tam fasada, stare układy działają doskonale za nią.

A przecież nie o to ma chodzić zwolennikom zmian w Polsce. ©

RYSUNEK TYGODNIA

Ciosanie pałki na Polaków





TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA
Z DOROTĄ GAWRYLUK
PIS POWINIEN SIĘGAĆ SZERZEJ
Myślałam, że opozycja będzie bardziej konstruktywna

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKI COMING OUT MEDIÓW

KRAJ

22 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
PRUJEMY „ZETKĘ”!
Początek końca zbioru zastrzeżonego IPN

26 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
MERKEL POTRZEBUJE KACZYŃSKIEGO

28 PIOTR SEMKA
OSTRE RAFY POD GŁADKIM MORZEM

31 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KTO ZBAWI LEWICĘ

34 ROZMOWA Z WIESŁAWEM JOHANNEM
SĘDZIÓW NALEŻY POTRAKTOWAĆ PÓWAŻNIE

36 KAMILA BARANOWSKA
CZAS KONICZNY

38 ROZMOWA Z KONSTANTY RADIWIŁEM
PRAWO DO LECZENIA MA MIEĆ KAŻDY

40 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PRZYSPIESZENIE W KOŚCIELE

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
SZARADA Z HERODEM
Wystawa „Wrocławska Europa” i jej bohaterowie

46 PIOTR GOCIEK
TAJEMNICE POGRANICZA

48 ANDRZEJ HORUBAŁA
KUROŃ NA DESKACH (TEATRALNYCH)

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO

BITWY LEGIONÓW

- Strzelcy komendanta Piłsudskiego
- Boje od Kielc do Wołynia
- Żydzi w szeregach!



OPINIE

56 ROZMOWA Z MATTHEW TYRMANDEM
PATRIOTYZM, POPULIZM I PROTEKCJONIZM
Trzy klucze do prezydentury Trumpa

59 PIOTR WIERZBICKI
CZAS ZABRAĆ GŁOS

60 ROZMOWA Z KS. PROF. PIOTREM MAZURKIEWICZEM
MUZULMANIE MAJĄ APETYT NA EUROPE

HISTORIA

64 TOMASZ LENCZEWSKI
AKTOR W ROLI KSIĘCIA
Życie Stanisława Bielskiego

68 SEBASTIAN LIGARSKI
CIEREK W SZCZECINIE I TAŚMY PRAWDY

ŚWIAT

72 PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU
SEN SZALBIERZY
Włosi ratują rozkradzione banki

74 ROZMOWA Z OLEGIEM KAŁUGINEM
ROSJĄ RZĄDZI KGB

76 PRZEMYSŁAW KAWALEC
KOSOWSKI PAT

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
IMPERIA KONTRATAKUJĄ
Prezydent Trump chce „uczynić Amerykę znowu wielką”. Za silnym imperium tęsknią też Brytyjczycy

84 TOMASZ WRÓBLEWSKI
PO CZYM POZNAĆ POPULISTĘ?

86 ROZMOWA Z MARKIEM JAKUBIAKIEM
NIE MA MIEJSCA NA STRACH

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
SMOG JAK PAPIEROS
Kiedy spacer staje się ryzykiem

STYL

92 JOANNA BOJAŃCZYK
ŚPIJ DŁUŻEJ, BY DŁUŻEJ ŻYĆ
Bezsennosc w XXI wieku

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (94), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Komisja zawiadomi prokuraturę

Na początku lutego członkowie komisji śledczej ds. Amber Gold złożą w prokuraturze zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez prokuratorów: Barbarę Kijanko i Hannę Borkowską

Decyzja o złożeniu zawiadomienia, w którym komisja śledcza wskaże na możliwość niedopełnienia obowiązków lub niewłaściwego wywiązania się z nich przez prokuratorów Kijanko i Borkowską, odpowiedziałnych za sprawę Amber Gold, zapadła przed dwoma tygodniami. Opowiedzieli się za tym rozwiązaniem wszyscy członkowie komisji.

Jak powiedział nam poseł Jarosław Krajewski (PiS),

członek komisji śledczej, projekt zawiadomienia został już przygotowany, do piątku trafi on do wszystkich członków komisji, którzy dostaną czas, by zgłosić do niego swoje uwagi. Te będą dyskutowane na kolejnym posiedzeniu komisji ds. afery Amber Gold, które zaplanowano za dwa tygodnie.

– Na początku lutego złożone zostanie zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, dotyczące

prok. Kijanko. Pracujemy też nad treścią zawiadomienia dotyczącego prok. Borkowskiej, które również zostanie przedyskutowane przez członków komisji – mówi nam poseł Małgorzata Wassermann (PiS), szefowa komisji śledczej.

Kijanko prowadziła postępowanie w sprawie Amber Gold od grudnia 2009 do czerwca 2012 r. Jej praca wzbudziła wiele wątpliwości członków komisji śledczej. Jedną z policjantek, które wystę-

powwały przed komisją śledczą, opowiedziała parlamentarzystom, że prok. Kijanko lekceważyła wskazywane przez nią wątki i bagatelizowała całą sprawę. Funkcjonariuszka sugerowała wręcz, że prokurator torpedowała śledztwo.

Parlamentarzystom nie udało się przesłuchać Barbary Kijanko. Nie stawiała się na posiedzeniu komisji śledczej, zasłaniając się zwolnieniem lekarskim.

Z kolei prok. Hanna Borkowska w Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku nadzorowała Prokuraturę Rejonową w Gdańsku-Wrzeszczu. Według śledczych to ona odpowiada za to, że pismo ws. odwieszenia postępowania dotyczącego Amber Gold, które miało trafić do śledczych w Gdańsku-Wrzeszczu w styczniu 2012 r., w niewyjaśnionych okolicznościach utknęło na trzy miesiące i trafiło tam dopiero w kwietniu. ©©

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

UŁÓŻ WŁASNY BUDŻET

Pieniądzom trzeba rozkazywać, a nie im służyć
– twierdził rzymski filozof Seneka Młodszy.

O tym, jak mieć władzę nad własnym budżetem i zostać domowym ministrem finansów, napiszemy za tydzień.

Już 6 lutego kolejny artykuł z cyklu BEZPIECZNE FINanse, a w nim:

- Tajniki zarządzania domowymi finansami
- W co zainwestować odłożone na czarną godzinę pieniądze?
- Spadki i darowizny - o czym warto pamiętać?

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

NBP Narodowy Bank Polski

PROJEKT
**DO
RZECZY**

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu niby drobiazgi, ale przecież sprawy bardzo istotne: polemika z listem do redakcji i z felietonem oraz o problemie smogu.

„Zatrważąco aktualna Fatima”

W numerze 3/2017 Waszego tygodnika znalazł się list anonimowego (?) autora, kwestionujący w sposób zarówno autorytatywny, jak i bezpodstawny oraz bałamutny ważność poświęcenia Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi, dokonane-go przez papieża Jana Pawła II w roku 1984. Twierdzi on, że „żaden warunek po-stawiony przez Matkę Bożą w objawieniu fatimskim nie został spełniony”.

[...] W 2001 r. s. Łucja, w rozmowie z abp. Bertonem, stwierdziła: „Powie-działam już, że poświęcenie, o które prosiła Matka Boża, zostało dokonane w 1984 r. i niebiosą je przyjęły”. Nie ulega wątpliwości, że s. Łucja jest w tej sprawie najważniejszym autorytetem. Jeśli ten autorytet zakwestionujemy, to kto będzie mógł orzec w sposób pewny, że jakie-kolwiek ewentualne dalsze poświęcenie wypełni wolę Maryi?

Sądzę, że ludzie, którzy zajmują się kwestionowaniem aktu poświęcenia z 1984 r., powinni zacząć odprawiać pierwsze soboty wraz z komunii świętą wynagradzającą (co stanowi drugi waru-nek wyrażony przez Matkę Bożą podczas trzeciego objawienia fatimskiego 13 lipca 1917 r.). Jeśli to uczynią, to wypełnią wolę



Maryi względem nich, a jeśli tego nie uczynią, to niech zaprzestaną siać zamęt i manipulować tematem.

ks. Andrzej Gładysz SAC,
Zakopane

Od redakcji:

Przykro nam, że ksiądz nie zwrócił uwagi na adnotację pod listem: „Imię i nazwisko do wiadomości redakcji”. Podpis taki informuje, że autor zastrzegł sobie dane personalne, przekazując je do naszej wiadomości. Różnica między aktami dokonanymi przez papieża Jana Pawła II a objawieniem fatimskim, bez względu na to, co mówi s. Łucja, jest dość znaczna, na co zwraca uwagę nasz korespondent.

„Nie oddawać mandatu”

Przeczytałem tekst p. Łukasza Warzechy (poświęcony wystąpieniu z PiS europołą Kazimierza M. Ujazdowskiego – „Do Rze-

czy” 2/2017) i zgadzam się z nim tylko w jednym, a mianowicie w tym, że mamy fatalny system wyborczy. Z pozostałymi poglądami nie zgadzam się całkowicie.

Zawarte w konstytucji stwierdzenie, że poseł reprezentuje naród, jest hasłem bez pokrycia, bo reprezentować jednocześnie interesy abp. Hosera i Kazimierza Szczuki jest niepodobieństwem, więc siłą rzeczy poseł reprezentuje wyborców, a jeśli tak, to zmiana „majtek klubowych” musi być traktowana jako zdrada ich interesów.

Oczywiście nie należy potępiać wy-stąpienia z partii, ale przejście do innego obozu to już ewidentne zlekceważenie wyborców, które powinno obligatoryjnie skutkować utratą mandatu.

Nasz parlament pełen jest nomadów pielgrzymujących nieustannie z partii do partii, a motywem ich włóczęgi jest troska o własny interes, nie zaś interes tych, którzy im zaufali.

Z szacunkiem
Wojciech Wróblewski, Warszawa



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gódek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cencikiewicz, Sławomir Chelminiak, Dominika Coś,
Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk,
Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska,
Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski,
Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta,

Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraiński, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński,
Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczky, Mardyn Wolski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Lodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski,
Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,
Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek
Okładka: Stach Leszczyński/PAP

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowski (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Smog urodził potwora

Kolejny raz w mediach wybucha problem smogu, który w naszym klimacie pojawia się zawsze zimą, kiedy ludzie muszą ogrzać swoje mieszkania, żeby nie zamarznąć. [...]

W całej tej aferze jest drugie dno. Dlaczego?

Ponieważ w tych nagłych, a powszechnych narzekaniach nie wspomina się np. o tysiącach samolotów, które dziennie spalają biliony ton paliwa tuż nad naszą głową. Może dlatego, że podróżując nimi ważni biznesmeni lub uderzyłoby to w zyski biur podróży? Nie wspomina się też o elektrowniach, które walą w niebo kłęby dymu, żeby w miastach jeździły windy, ruchome chodniki, ruchome schody, którymi lekko i modnie odziani ludzie przemierzają się po galeriach. Ciekawe dlaczego? Ponieważ elektrowni z okna ekologa nie widać? Ponieważ jest za miastem? Nie słyszę również o milionach aut, które codziennie wiozą tylko jedną osobę. To też pewnie drażliwa sprawa, bo to interesy sprzedawców paliwa, a może i marketów?

O co tak naprawdę chodzi tym razem? Winnych tknąć nie można z różnych biznesowych względów, ale statystyka jest brutalna i winowajcę trzeba znaleźć. Zamiast mafiosa ściga się więc złodzieja batonika.

Tym razem padło na Boga ducha winnych starych i biednych ludzi, którzy palą w tradycyjnych piecach, nie dla rozrywki, ale żeby nie zamarznąć. Palą brzydkim czarnym węglem zamiast pachnącym, białym ekogroszkiem, palą drewno z przecinki zamiast bierwion z Castoramy zapakowanych w równe paczki. Nie wiem, czy zauważyliście taki niuans w tych lamentach, że palenie drewna

w nowej willi z kominkiem jest ekologiczne, a spalanie deski w starym domu już nie.

Najciekawszy jest jednak potworek, którego urodziła afera smogowa. Otóż będzie NAKAZ zakupu pieców V generacji – myślę, że niemieckie będą spełniały jako jedyne wszystkie wymogi UE. Piece te same zaplanują, kiedy i czym wolno palić. Tak jak wszystkie urządzenia komputerowe mogą również ze znanych tylko sobie przyczyn odmówić podjęcia współpracy ze zmarzniętym domownikiem. Problem rozwiąże nam wtedy oczywiście profesjonalny serwis, który przyjedzie na miejsce. Może się jednak okazać, że piec uznał koniec daty używalności gospodarza – czyli np. 80 lat – a wtedy wyświetli się komunikat: „All is over. Have a good time” i problem kolejnego truciciela zniknie. Tym sposobem z każdym zutylizowanym staruszką powietrze będzie coraz czystsze, a świat piękniejszy. Po niebie będą latały samoloty napędzane źródłami wodą, a do centrum handlowego i na narty będą wiozły auta z bakami pełnymi czystego tlenu, ciepło systemowe z energii kosmicznej ogrzeje wam zaś inteligentne domy.

PS Mam wrażenie, że afera wypycha nas w pułapkę podobną do tej z lat 90. Gdy Niemcy przedstawiali się na ogrzewanie gazowe, a wyprodukowane piece olejowe trzeba było gdzieś upchnąć. No i w efekcie państwo polskie dofinansowało sprzedaż olejowych, drogich w eksploatacji pieców, które nazwano wtedy ekologicznymi. To bowiem słowo wytrych, chwyt marketingowy, a nie troska o środowisko. To narzędzie ekonomicznej walki ze słabszymi krajami, to narzędzie nacisku międzynarodowego zielono-czerwonego lobby na zwykłych obywateli. [...]

Lucyna

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 11 stycznia 2017 r. zmarł w Kodeńcu



dr Bohdan Szucki ps. Artur

Urodzony 21 czerwca 1926 r. w Berezie Kartuskiej.

Od października 1942 r. żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych w Okręgu III Lubelskim NSZ, kurier oraz członek ochrony osobistej szefa sztabu okręgu.

Od sierpnia 1943 do kwietnia 1944 r. partyzant oddziałów leśnych „Znicza”, „Cichego” oraz „Albatrosa”.

W kwietniu 1944 r. mianowany na stopień kaprala podchorążego.

Od kwietnia do lipca 1944 r. adiutant szefa sztabu Okręgu III NSZ, następnie służył w Pogotowiu Akcji Specjalnej NSZ w Lublinie.

W styczniu i lutym 1945 r. więziony i przesłuchiwany przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie.

Od kwietnia do września 1945 r. służył w Pogotowiu Akcji Specjalnej NSZ na terenie Gdańska-Oliwy.

Po wojnie pracownik naukowy Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi.

Inwigilowany oraz szykanowany przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

Współzałożyciel Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych,

wieloletni prezes zarządu głównego, a następnie prezes honorowy.

Oddany pracy na rzecz upamiętniania etosu narodowego czynu zbrojnego, wybitny patriota, organizator i społecznik.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
p.o. szef Urzędu do spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie-Boska komedia

Niedawno odwiedziłem Dublin i będąc w irlandzkiej stolicy, postanowiłem zobaczyć na własne oczy sławną Księgę z Kells. Ten pochodzący z VII w. ewangelizator, wykonany w szkockich i irlandzkich klasztorach, słynie z przepięknych zdobień.

Zwiedzając muzea na świecie, mam w zwyczaju kupować w muzealnych sklepikach książeczki dla mojej córki, które w sposób dostosowany do wyobraźni dziecka przybliżają najwspanialsze dzieła sztuki. W sklepiku przy Trinity College też znalazłem coś takiego – pięknie ilustrowaną książeczkę „Sekret z Kells”. To opowieść o młodzieńskim nowicjuszu zakonnym Brendanie, który służy w klasztorze, zdobywa zaufanie autora iluminacji brata Aidana z wyspy Iona i po skomplikowanych przygodach dostępuje w końcu zaszczytu iluminowania niedokończonej księgi.

Pani Mary Webb, autorka tej wspaniale ilustrowanej książeczki, starannie pominęła to, co jest istotą tego kodeksu – że jest to Biblia. Tylko raz przy tłumaczeniu wspaniale iluminowanego monogramu „Chi Rho” autorka wyjaśnia, że to skrót od określenia „Narodziny Chrystu-

sa”. Poza tym brak żadnej uwagi, o czym jest ta księga – starannie unikane jest określenie „ewangelizator”. W dialogach starego iluminatora Aidana z młodym nowicjuszem zakonnym jest zachwyt nad fantastycznymi stworami z mitologii celtyckiej, refleksje nad pięknem ornamentów, nad krojem liter, ale nie ma ani słowa, że jest to księga poświęcona Bogu. Za to w trakcie poszukiwań w okolicznym borze gąsawki do produkcji atramentu młody Brendan natrafia na wróżkę Aisling, na zaczarowane wilki strzegące jaskini „ciemnej istoty” (The Dark One) i wreszcie strasznego węża Crom Cruacha. Co więcej, gdy Brendan z rozmowie z leśną czarodziejką opowiada, że jego wuj, przeor klasztoru, powiedział chłopcu, iż wiara we wróżki i w ogromne węże to zabobon, autorka wyraźnie puszcza oko do dzieci, że ten stary dogmatyczny mnich niewiele wie o magicznej rzeczywistości. A Brendan na własne oczy dostrzega, że czarodziejki i zaklęte węże istnieją.

Ijeszcze jedna rzecz, której irlandzkie dzieci od pani Mary Webb się nie dowiedzą. Dlaczego Księga z Kells była taka cenna? Dlaczego mnisi z narażeniem życia

ratowali ją z kolejnych skarbów, by ocalić ją przed najazdami wikingów, którzy w tym czasie pustoszyli Irlandię i Szkocję? Tylko dlatego, że ma złote iluminacje? Dla ludzi tamtej epoki ornamenty były ważnym dodatkiem, ale mającym jedynie podkreślić wagę Biblii jako źródła prawdy i drogi do zbawienia.

Nie wiem, dlaczego autorka ominęła religijny charakter księgi. Czy irytuje ją chrześcijaństwo? A może uznała, że w multireligijnym społeczeństwie proste stwierdzenie, iż była to święta księga chrześcijan, obrazi muzułmanów czy hinduistów. Może wreszcie autorka uważa, że mnisi wyteżali wzrok przy iluminowaniu kart pergaminu nie z racji religijnej czci, ale dlatego, że byli jedynie kapłanami czystej sztuki? Nie wiem i pewnie się nie dowiem. Wiem tylko, że zrobiło mi się smutno. Przypomniały mi się próby wywabiania chrześcijaństwa z zachodnich kartek świątecznych. Ktoś, kto wychwalając Księgę z Kells, nie uznaje za ważne wspomnieć, że jest ona ewangelizator, posuwa się w tym samym kierunku. Bóg to temat śliski. Co innego zaczarowany wąż Crom Cruach... ©©

KARAMBOLE NA AUTOSTRADZIE

Aż 76 rozbitych samochodów i ciężarówek, 34 osoby ranne, w tym pięć ciężko. To dramatyczna statystyka dwóch karamboli, do których doszło w czwartek na autostradzie A1 w pobliżu Piotrkowa Trybunalskiego. Najpierw zderzyły się samochody jadące do Łodzi, a kilkadziesiąt minut później w kierunku Piotrkowa. Wśród przyczyn największej kraksy od lat eksperci wymieniali m.in. gęstą mgłę, która znacząco ograniczała widoczność, a także niedostosowanie prędkości do trudnych warunków. (jap) ©©



FOT. Cezary Precup/SE EAST NEWS

Zbrojeniowy sukces ministra Macierewicza

NATO znacznie zwiększyło swój budżet na inwestycje w Polsce

W połowie stycznia oficjalnie witano nad Wisłą amerykańskich żołnierzy, którzy będą stacjonować w naszym kraju w ramach wzmocnienia wschodniej flanki NATO. Nawet krytycy obecnego rządu w tej sprawie przyznawali, że to olbrzymi sukces i pokłosie ostatniego szczytu NATO, który odbył się w Polsce.

Sama obecność ok. 4 tys. amerykańskich żołnierzy to nie wszystko. Jak ujawnił dziennik

„Rzeczpospolita”, powodów do zadowolenia jest dużo więcej. Sojusz znacznie zwiększył budżet na inwestycje w Polsce. Tegoroczna kwota przekracza 231 mln zł. To aż trzy razy więcej niż w roku ubiegłym.

Zdaniem ekspertów na tych inwestycjach zarobią głównie polskie przedsiębiorstwa. Co chce zamówić NATO? Sojusz chce budować systemy łączności (m.in. dla marynarki oraz zapewniające wymianę informacji między ośrodkami naziemnymi a samolotami). Zmodernizowane mają też zostać lotniska. Nowe budynki z wyposażeniem mają być stworzone dla jednostek

NATO w Bydgoszczy (Centrum Szkolenia Połączonych Sił, Grupa Integracyjna, batalion łączności).

To będzie dodatkowy zastrzyk zamówień dla firm zbrojeniowych, do których duże zamówienia kierowało będzie również MON. Polskie wojsko ma dostać produkowane przez Hutę Stalowa Wola moździerz Rak oraz haubice Krab. Zakłady Mechaniczne Tarnów dostarczyć mają raketowo-artyleryjskie zestawy przeciwlotnicze Pilica, z Mesko do armii trafią zaś zestawy rakietowe do zwalczania śmigłowców i pociski Piorn. Zdaniem „Rz” tak spore

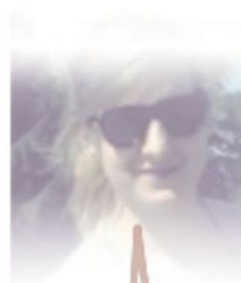
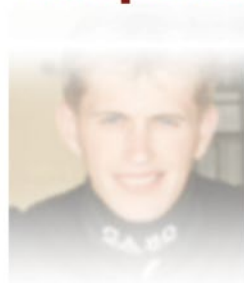
zamówienia dla polskiej armii to prawdziwe żniwa dla firm z Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Te jeszcze niedawno borykały się z kłopotami i ograniczały dni pracy, teraz – by zdążyć z wywiązaniem się z milionowych kontraktów – planują wprowadzenie pracy zmianowej. Będą też potrzebować więcej pracowników.

Do zamówień, które będą realizowane, wciąż można zaliczać produkcję śmigłowców, których zakup minister Antoni Macierewicz zapowiadał jeszcze w 2016 r. Niebawem do armii trafić mają pierwsze śmigłowce testowe, które zaczną sprawdzać nasi piloci.

Tymczasem poprzednie negocjacje w sprawie zakupu francuskich śmigłowców Caracal bada teraz Centralne Biuro Antykorupcyjne. Agenci CBA zabezpieczyli dokumentację dotyczącą tego przetargu w resorcie rozwoju, a także w zakładach PZL Świdnik i PZL Mielec. ©© (bz)

REKLAMA

Gdzie są kiedy ich „tu” nie ma? Jak powracają?

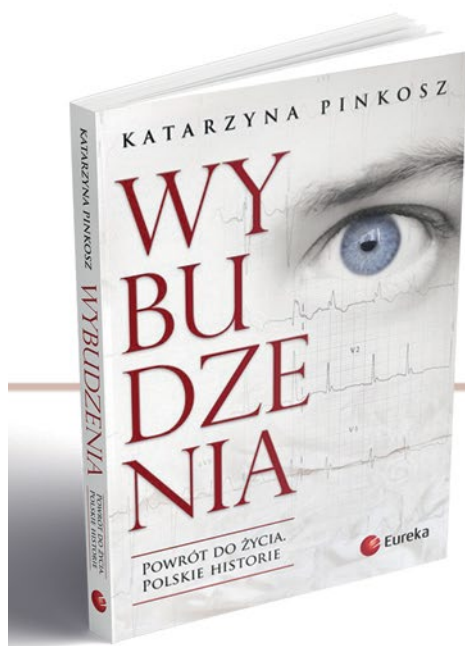


Historie wybudzeń ze śpiączki
Rozmowy o życiu i jego granicach

Kupując wspierasz:



Patronaty medialne:





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ciamajdan **bis**

Właśnie sformułowałem kolejne z „praw Ziemkiewicza”: co się raz zdarzyło jako farsa, to się potem powtarza jako jeszcze większa farsa. Exemplum: protesty w dniu wznowienia obrad Sejmu po ponadmiesięcznej przerwie wywołanej „ciamajdanem”.

Znowu mieliśmy nabuzowanego posła Nitrasa ganiającego z ka-

z organizacji „obywateli” ułożyło się przed sejmowym szlabanem i blokowało wjazd, właściwie nie udając, że w jakimkolwiek innym celu niż po to, żeby straż marszałkowska musiała ich stamtąd wynieść. Czwartym „meszugener”, towarzyszącym tej trójce, był reporter „Gazety Wyborczej”, który zaalarmował świat, że jeden z wyniesionych został pobity – to znaczy: leży na chodniku i krzyczy, że uderzono go łokciem w pierś i nie może teraz złapać oddechu. Sam reporter też uległ męczeństwu, albowiem straż zabrała mu sejmową przepustkę. Co prawda zaraz oddała, ale to wystarczyło, by oburzona do głębi „Wyborcza” zapowiedziała kroki prawne z paragrafu o utrudnianie dziennikarzowi pracy. Tak, ta sama co tak oburza się, że prokuratura ściga chuliganów atakujących przed miesiącem dziennikarzy TVP.

Nie zapominajmy, że wszystko to działo się w dniu, kiedy na ulice

polskich miast wylegli masowo „studenci”, protestujący „przeciwko temu, co się dzieje”. Masy okazały się grupkami po kilkadziesiąt osób, studentów w tym odsetek homopatywny, średnia wieku jak to zwykle na manifestacjach KOD, za to liczni antypisowscy celebryci – redaktorzy Blumsztajn, Pacewicz i Maziarski, sławny „Kudłaty”, płk Mazguła, poseł Szczerba z posłanką Gajewską i posłem Myrcha – spontaniczny studencki ruch.

Najciekawsze były hasła: takie ogólne raczej. Żeby była wolność, żeby szanowano prawo. Jedyny konkret, jaki wyduślił z siebie indagowany przez TVN „student”, brzmiał, że jakaś pani z PiS powiedziała coś, że prezerwatywy to nie, i żeby nie wyrzucano ze szkoły nauki o ewolucji.

Czekam niecierpliwie na dalsze spontaniczne i masowe protesty. Aż do skutku. Nie zniechęcajcie się, proszę. ©©

Na ulice polskich miast wylegli masowo „studenci”, protestujący „przeciwko temu, co się dzieje”

merką i usiłującego sprowokować ochroniarza prezesa PiS do użycia broni (w poczuciu bezpieczeństwa, ewentualna kula odbiłaby się od posła, nie pozostawiając zarysowań, przynajmniej od głowy). Jakichś trzech „meszugener”



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zbrodni i węsach Hitlera

Obrońcy demokracji, nie-rzadko w słusznej sprawie, od lat demonstrują z portretami swoich wrogów upozowanych na Hitlera. Teraz wąsików dorobił się Donald Trump. Zatraskane losami demokracji w USA panie w wielu stolicach paradowały ze zdjęciami arcyzbrodniarza i amerykańskiego prezydenta obok siebie. Pewnych paraleli między Berlinem 1933 a Waszyngtonem 2017 dopatrzył się papież Franciszek.

Pomijając nierozumnych ludzi, wszyscy zgadzają się, że Holocaust i jego 6 mln ofiar jako metodyczny mord na całym narodzie były he-

katombą bez precedensu, w której człowiek upadł tak nisko jak nigdy przedtem. Pamiętamy o tym co roku 27 stycznia, a Auschwitz odwiedza milionów. Kto wie, czy nie ci sami ludzie potem z bezmyślną łatwością, obrażając pamięć ofiar, sięgają po kredki i malują wąsiki à la Hitler wszystkim jak leci.

Polityczna histeria mąci umysł nie gorzej od alkoholu. Światowi celebryci zbojkotowali ceremonię inauguracji Trumpa. Można ich motywy zrozumieć. Trump wzbudził nadzieje swoich wyborców, ale i niepokój na całym świecie. Co jednak niepomniernie dziwi, tym samym celebrytom nie

przeszkadzają występy kolegów na dworze politycznego chuligana – Władimira Putina, który otwarcie odwołuje się do dokonań arcyzbrodniarza Stalina. A są to m.in. Sharon Stone, Kevin Costner, Monica Bellucci, Kurt Russell, Paul Anka, Mickey Rourke, Alain Delon czy Gérard Depardieu. Przecież aż prosi się, żeby im, a Putinowi przy okazji, domalować wąsy Stalina.

Jednak Stalinowi udało się chytrze schować w cieniu Hitlera. We włoskiej dyskusji w TV nad oboma totalitaryzmami z ust oszołomionego lewicowca padł rozbrajający argument: „No, ale Stalin chciał dobrze”. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Szlachetni aptekarze vs źli przedsiębiorcy

Aptekarze od dawna próbowali forsować projekt zmiany prawa farmaceutycznego, znany powszechnie jako „apтека dla aptekarza”. Tym razem mieli szansę wygrać – projekt szybko przechodził sejmową ścieżkę. Opór stawiał wicepremier Morawiecki i chwała mu za to.

To dzięki niemu w Sejmie (Komisja Nadzwyczajna ds. deregulacji już opowiedziała się za odrzuceniem w całości projektu nowelizacji prawa farmaceutycznego) ma szansę zniknąć kluczowy przepis pozwalający być właścicielem aptek (i to zaledwie czterech) jedynie farmaceucie. Oznacza to uderzenie w sieci apteczne, będące w zdecydowanej większości własnością polskich przedsiębiorców.

Oczywiście, autorzy ustawy przekonują, że nie dotyczy ona sieci już istniejących, ale to obłuda. Przy dodatkowych ograniczeniach dotyczących liczby aptek na danym obszarze i na liczbę ludności apteka danej sieci

zamknięta z jakiegoś powodu (np. wypowiedzenia umowy najmu) nie zostanie otwarta gdzie indziej. Jeśli zaś przedsiębiorca, właściciel sieci, umrze, to jego bliscy (niefarmaceuci) odziedziczą tylko kłopot, bo apteki mieć nie będą mogli.

Nie ma oczywiście najmniejszego powodu, aby właścicielem apteki musiał być farmaceuta. Tak jak właścicielem sieci przychodni nie musi być lekarz, piekarni – piekarz, a firmy transportowej – kierowca. Tym bardziej irytuje bzdurna narracja zwolenników zmiany o szlachetnych polskich aptekarzach altruistach, którzy nieomal darmo rozdają leki ubogim i cierpiącym, oraz złych, zachłannych, zagranicznych sieciach aptecznych.

Przez lata trwania dotychczasowych rozwiązań polski rynek aptek nie został zdominowany przez zagraniczne firmy. Przed czym się więc tu bronić? I co złego jest w tym, że sieć apteczna nie jest polska?

Zwolennicy „apteki dla aptekarza” lamentują, że pod naciskiem

sieci (które czasem mają raptem po kilka czy kilkanaście aptek w regionie) upadają apteki indywidualne.

Przypomina to lamentey właścicieli manufaktur w XVIII-wiecznej Anglii, których zaczęły wykańczać fabryki. Gdyby odnieść proponowaną zmianę prawa farmaceutycznego do tamtej sytuacji, to nie dałoby się uruchomić nowej fabryki, a właścicielem warsztatu, manufaktury lub małej fabryczki (bo tylko takie mogłyby powstawać) mógłby być tylko włókiennik – w przypadku przędzalni, metalurg – w przypadku huty czy stolarz – w przypadku tartaku. Obawiam się, że ominęłaby nas wówczas rewolucja przemysłowa.

Tutaj zastanawiają się państwo zapewne, kto zapłaciłby za ukroczenie łba konkurencji dla aptekarzy. Pytanie jest oczywiście retoryczne: zapłacą państwo – klienci. Zyskałaby aptekarska korporacja, która za parę lat będzie równie silna i pełna patologii jak korporacje prawnicze. ©©

„Gołąb Nadziei” dla redakcji „Do Rzeczy”

Łomżyńskie diecezjalne Radio Nadzieja z okazji 15-lecia istnienia przyznało nagrody Gołąb Nadziei. Wśród laureatów znalazł się tygodnik „Do Rzeczy”.

Gołąbie Nadziei powędrowały także do ministra rolnictwa i rozwoju wsi Krzysztofa Jurgieła, a także Opery i Filharmonii Podlaskiej Europejskiego Centrum Sztuki oraz Caritasu diecezji łomżyńskiej. Nagrodzeni zostali

również burmistrz Czyżewa Anna Bogucka, wójt gminy Kolno Józef Wiśniewski, przedsiębiorca Marek Załuska, Komenda Miejska Państwowej Straży Pożarnej w Łomży, prezynter Radia Nadzieja Hubert Chojnowski oraz prowadzący autorską audycję „Bliżej jazzu” Mirosław Dziewa.

Diecezjalne Radio Nadzieja z siedzibą w Łomży to ewangelizacja przez media, której mocną stroną jest program

„ABC wiary”, szukający prostych odpowiedzi na trudne pytania o sprawy ducha. W siedzibie rozgłośni odbywają się spotkania autorskie, których gośćmi są pisarze, publicyści i dziennikarze. Radio organizuje też koncerty wykonawców różnych rodzajów muzyki. Wysoki poziom informacji i publicystyki zapewniają z kolei programy „Południowe espresso” oraz „Na czasie”. (mp) ©©



JEŚLI PSYCHOPACI, TO TYLKO W SHOW-BIZNESIE

Aktorka Anna Powierza, szerszej publiczności znana głównie jako Czesia z „Klanu”, po tym, jak schudła 30 kg i napisała o tym książkę, planuje dalszą karierę aktorską. Czesia na propozycje filmowe i jest gotowa na wyzwania. W niedawnym wywiadzie opowiedziała, że jej marzeniem jest zagranie psychopatk. – Chciałabym zagrać w filmie psychopatkę. Nie wiem dlaczego, ale bym chciała. Tak sobie jakoś kiedyś pomyślałam: chcę – stwierdziła. – Myślę, że to byłaby bardzo trudna rola, ale przez tę trudność jest dla mnie bardzo pociągająca. Zazdroszczę



FOT. VPHOTO/EAST NEWS

Charlize Theron, nie ukrywam, bo to jest po prostu strasznie fajnie, móc tak poeksperymentować ze sobą i tak to wykorzystać jeszcze zawodowo. Świat na pograniczu normalności zawsze jest trudny, dziwny, straszny – dodała. W ramach przygotowań do roli marzeń Czesia wróciła do show-biznesu. I słusznie. Tu najlepiej pozna świat na pograniczu normalności.

DODA DO SCHRONU!

Pamiętacie słynną fotkę Dody z Antonim Macierewiczem? No właśnie. Nie wiemy, co pan minister Dodzie naopowiadał, ale od tamtego czasu celebrytka podejmuje dziwne decyzje. Nie tak



FOT. PAMEŁ GROMADA

dawno pochwalała się zdobyciem pozwolenia na broń i tym, że „ma prawdziwą broń w domu”, a teraz na jaw wyszło, że chce sobie wybudować własny, prywatny schron na okoliczność wojny. Sprawa wydała się przypadkiem, bo wygadała się Maryla Rodowicz, którą gdzieś zagadnięto o Dodę. Chciała powiedzieć coś miłego i wyszło, jak wyszło. – Jest zwariowaną wizjonerką – stwierdziła Rodowicz. – Ostatnio powiedziała mi, że kupiła sobie kawałek lasu i buduje w nim schron. W razie wojny będzie w nim mogła mieszkać z rodziną przez trzy lata – zdradziła.

„Super Express” zadzwonił w tej sprawie do Dody, pytając, czy to, co mówi Maryla, jest prawdą. – To jest tajemnica – odpowiedziała Doda. – Nic nie powiem, w końcu to schron – dodała. I sami widzicie. Już nawet media traktuje tak samo jak minister Antoni.

PISARKA ISABEL

W końcu jest! Najbardziej wyczekiwana i gorąca książka tego roku, czyli literacki debiut Isabel Marcinkiewicz, byłej już żony byłego premiera Kaza. Książka nosi tytuł „Zmiana”, ma najbrzydszą okładkę, jaką można sobie wyobrazić, i jest ponoć „prawdziwa i bez cenzury”, przynajmniej tak ją zachwala autorka. „Mam nadzieję, że uda mi się państwa wzruszyć i zastanowić i zainspirować” – napisała na Facebooku Isabel i ujawniła fragment swojego dzieła. „Nigdy mnie nie kochał. Prawdziwa miłość przetrwa wszystko. Dziś już to wiem na pewno” – pisze Isabel. „Sprawa rozwodowa rozwiązała wszelkie wątpliwości. Cztery razy nie patrzyliśmy sobie w oczy. Cztery razy ścisnęło mnie w gardle [...] W taksówce wzięłam tabletki przeciwbólowe i na uspokojenie. Zastanawiałam się, jak będzie wyglądał. Czy będzie smutny, przygnębiony, czy z podkrążonymi oczami. Mój – jeszcze aktualny mąż – wyglądał kwitnąco. Trochę przybrał na wadze. Twarz miał odprężoną, jakby to, co się między nami dzieje, niewiele go kosztowało. Ja byłam rozedrgana. Nogi mi drżały, za dużo mówiłam do mojego prawnika. Czułam się, jakbym za chwilę miała zemleć [...] W gardle ścisk poczułam ogromny, czułam się, jakbym żabę w całości połknęła. Czułam, że zaraz wybuchnę płaczem. Spokojnie!!! Nie ty pierwsza się rozwodzisz i z pewnością nie ostatnia, przywołało mnie do porządku”. Obawiamy się, że jedyną osobą, która w całości przeczyta to dzieło, będzie prawnik Kaza. Gorsza od przy Isabel jest bowiem tylko jej poezja. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, na fali oburzenia wyborem Donalda Trumpa pomyśleliśmy sobie o tych wszystkich obietnicach, których w przyszłości nie dotrzyma Duda, i poczuliliśmy nagłą wściekłość i potrzebę wykrzyczenia swojego niezadowolenia na ulicy.

Potem pomyśleliśmy sobie o tych wszystkich obietnicach, które Duda dotrzymał i znowu poczuliliśmy nagłą wściekłość oraz potrzebę wykrzyczenia swojego niezadowolenia na ulicy.

W związku z tym musimy sobie zrobić dwustronny transparent o treści: „DUDA, PRZEPROŚ ZA NIESPEŁNIONE OBIETNICE” i „DUDA, PRZEPROŚ ZA SPEŁNIONE OBIETNICE”. Dzięki temu mamy pewność, że niczego ważnego nie pominiemy, a nasz protest będzie spójny i komplementarny, a przy okazji pokażemy solidarność z protestującymi w Ameryce.

Jak gdyby nigdy nic minęła kolejna rocznica wyzwolenia tego kraju spod nazistowskiej okupacji. Przypominamy: postępową Armia Czerwona wraz z odpowiednio uświadomionymi obywatelami tego kraju wyparła nazistów za Odrę, a następnie zbudowała PRL,

odwracać naszej uwagi od tego, co się w tym kraju obecnie dzieje, a więc: zawłaszczenie Trybunału, brak demokracji i prześladowania opozycji fakturami oraz zdjęciami w samolocie.

Może więc warto odwrócić oczy świata od Syrii, Iraku i innych odległych państw, które

Musimy sobie zrobić dwustronny transparent o treści:

„DUDA, PRZEPROŚ ZA NIESPEŁNIONE OBIETNICE”

i „DUDA, PRZEPROŚ ZA SPEŁNIONE OBIETNICE”. Dzięki

temu mamy pewność, że niczego ważnego nie pominiemy, a nasz protest będzie spójny i komplementarny

który generalnie był dość zabawny, bo w sklepach był tylko ocet, a nie było papieru toaletowego i tylko czasem były jakieś ścieżki zdrowia, poza tym pełna kultura.

Of kors o tej rocznicy nie dowiecie się z prawicowych mediów, które wstydzą się PRL i sugerują, jakoby nie był niepodległym tym krajem, ale tym krajem zależnym od Rosji. Widzicie – typowa prawicowa rusofobia xD

Słowo wyjaśnienia jeszcze, bo pewnie nie wiecie, co się stało z nazistami – otóśh wzięci w kleszcze z jednej strony przez Armię Czerwoną, a przez podnoszących się z ucisku Niemców z drugiej strony, tak się przestraszyli, że wyparowali i zostały po nich tylko klamerki od pasków oraz guziki od mundurów.

Trwa akcja, która ma zwrócić uwagę społeczności międzynarodowej na fakt, iż nie było czegoś takiego jak polskie obozy. Nie wnikać, nie będziemy się kłócić – kwestia semantyki i historii, każdy ma prawo mieć własne zdanie.

Jednak nawet fakt tego, iż nie było polskich obozów, nie może

nie mieszczą się na mapie Europy, i skierować je na dramatyczną sytuację w tym kraju, póki jeszcze nie jest za późno i nie ma obozów internowania dla opozycjonistów?

W ogóle mamy pewien dysonans związany z Trumpem. Od razu po jego zaprzysiężeniu pomyśleliśmy sobie: lol, beka z wąsatych Johnów z niewielkich camperów, iż Trump został w końcu tym ich prezydentem i nie spełnił jeszcze żadnej obietnicy.

A chwilę potem Trump jednym podpisem ograniczył amerykańskim waginoosobom prawo do wyboru i drastycznie zmniejszył ich uprawnienia reprodukcyjne.

Sami już nie wiemy, co myśleć: czy beka, bo Trump nie realizuje wszystkich obietnic, czy też raczej strach, iż Trump pokazał się jako oszalały maskulinistyczny fashysta? Mamy nadzieję, że postępowe media w tym kraju szybko nam to wytłumaczą. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



dwaj panowie g



Zarzucają nam niektórzy, że plotkujemy. Jednak gdzie tam nam do Ryśka Petru! Opowiada ostatnio zaufanym, że Joanna Schmidt, słońce Madery i jego życia, jednak będzie kandydowała z ramienia Nowoczesnej Kropki na prezydenta Poznania. Na złość niedowiarkom i żeby udowodnić, że wcale nie porzuca Wielkopolski. To zmusza nas do postawienia trudnego pytania: Czy Rysiek przeprowadzi się za nią do Poznania?

Takie rozwiązanie byłoby nawet logiczne. Jeden lider opozycji w Festung Breslau, drugi – w Festung Posen. Pocztą pneumatyczną przesyłali-by sobie konkurencyjne plany Sturm und Drangperiode wymierzonego w reżim kaczystowski.

À propos Ryśka i Joanny – mamy złe wiadomości. Na liście hotelowych gniazdek, które odwiedzali, znajduje się hotel w Olszewnicy Nowej znany zaufanym z tego, że pracuje tam były szef kuchni z knajpy Sowa i Przyjaciele oraz były kelner z tejże. Nie bylibyśmy więc zdziwieni, gdyby prędzej czy później Nowoczesna para mogła dołożyć do grona pamiątek ciekawy zapis audio, powszechnie zwany taśmą.

À propos podsłuchów. Mieszkańcy zamieszkujący dom przy ul. Orłowskiego w Warszawie, gdzie swoją norkę ma Rysiek, zauważyli dziwną prawidłowość. Za każdym razem, kiedy pojawiają się tam działacze Nowoczesnej, by spiskować, jak obalić Kaczora-Dyktatora, pada sieć komórkowa. I to nie jedna, ale wszystkie. Plotka głosi, że uruchamiana jest aparatura wycinająca wszystkie sygnały radiowe.

Panowie G. są jednak zwolennikami osobowych źródeł informacji. Te z naszych wiewiórek, które ulokowane są w KOD, donoszą, że wśród potencjalnych następców Wielkiego Kuca Kijowskiego pojawił się nowy czarny koń (kuc?). Oprócz Krzyśka Łozińskiego i Władka Frasyniuka wielką chrapkę na szefowanie ma bowiem niejaki Krzysztof Król. Popieramy kandydaturę. Kiedyś było o nim głośno i gazety pisały o nim „zięć Leszka Moczulskiego”. No i jedną organizację na literę „K” już wykończył – chodzi o KPN.



iz konsekwencje wobec H.G.W. zostaną wyciągnięte, gdy tylko zakończy się audyt. A my wierzymy Grześkowi.

Kochany poseł Michał Szczerba z Peło to mistrz lansu co się zowie. Wyruszył kilka dni temu na pogrzeb gen. „Gryfa” Brochwicz-Lewińskiego. Stawił się na Powązkach w typowo pogrzebowym stroju – jasnym płaszczku z wielbłądziej wełny. Potem próbował włączyć się do konduktu w tym miejscu, gdzie maszerowała rodzina. Niestety, rodzina „Gryfa” okazała się nieczuła na żal i rozpacz posła Szczerby i posłała go w zupełnie inną stronę.

Kipowskiego Obrona Dokrobytu



Wzruszyła nas premier Bełata. Wyznała podczas wręczania Kaczorowi-Dyktatorowi wielkiej nagrody tygodnika rybackiego, że dzięki niemu (znaczy Kaczorowi-Dyktatorowi, a nie tygodnikowi) zrozumiała prawdziwe znaczenie słowa „wolność”. Wyjaśniamy: wolność to uświadomiona konieczność.

Apropos Bełaty, ale Kempy. Wiewiórki ćwierkają, że jest ona niezwykle zaharowana, gdyż ciężko pracuje nad przygotowaniem rozlicznych zmian, dzięki którym kancelaria premier Bełaty będzie pracowała lepiej, a nawet dobrze. Nie wierzymy w te plotki. To niemożliwe, by kancelaria premier Bełaty mogła pracować jeszcze lepiej.

Uwaga, ważą się losy BOR! Sytuacja jest poważniejsza, niż spekulują niektóre gazety. Rozważana jest już nie tylko wymiana kierownictwa, lecz także po prostu likwidacja Biura Ochrony Rządu. Pamiętamy niesławę, jaką biuro okryło się w czasach gen. Mariana Janickiego zwanego Mańkiem, więc jesteśmy „za”. Szkoda nam tylko trochę obecnego szefa, charakternego górala z Małego Cichego, czyli Jędrka Pawlikowskiego.

Amoże nie szkoda? Jakby co, Jędrk miałby pójść w dyplomaty. Są bowiem do obsadzenia dwie nowe placówki. Generał Andrzej Pawlikowski miałby trafić jako ambasador do Nairobi. Za to do Caracas pofrunąłby były szef Agencji Wywiadu, płk Grzegorz Małecki.

Niestety, wszystkie te zmiany nie znaczą, że siepacze Kamińskiego i Ziobry spoczywają na laurach. Wyobraźcie sobie, że doszli oni do wniosku, iż korupcja nie ma barw politycznych. W związku z tym apelujemy do niektórych polityków PiS, szczególnie ze Śląska (zarówno Górnego, jak i Dolnego), żeby zawczasu odkładali papierosy. To bardzo cenna waluta w miejscach, do których wkrótce się udacie.

Smuteczek. Nowy resort, który powstanie w miejsce Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu, nie będzie się nazywał Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, jak chcieliby w TVN. Ani nawet UB czy SB. Będzie to Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

Wiele już powiedziano na temat „Ucha prezesa”, ale nie wyjaśniono do końca, kto właściwie odpowiada za to, że serial powstał. Wyjaśniamy. W roku 2012 zapowiadał: „Jak PiS znowu wygra, to też będę się z nich śmiał. Chyba że mnie przekupią dziesięciometrowym pomnikiem na koniu w centrum Warszawy. Wtedy będę uprawiał ostrą i radykalną satyrę prorządową”. Wiadomo, kto odpowiada za pomniki w Warszawie. Czyli wszystko przez Hanke.

Apropos Hanki. Audytu w sprawie reprivatyzacyjnych harców Gronkiewicz-Waltz w warszawskim ratuszu nie będzie. Nie czujemy się zdziwieni. Wszystko dlatego, że pamiętamy, jak Grzesiek Schetyna zapowiedział,

Chcieliśmy się włączyć w dyskusję o dziennikarskim obiektywizmie i od razu raz na zawsze zamknąć temat, bo wiele ostatnio o to sporów. Najłatwiej zrobić to na przykładzie jednego z wiodących portali internetowych. Przykład nr 1: „Dwadzieścia aut rozbitych na A1. Zawiniła pogoda”. Przykład nr 2: „Auto Macierewicza rozbite pod Toruniem. Jechali na czerwonym świetle?”.

Słyszeliście o Mieczysławie O.? To był szef Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Od siedmiu miesięcy siedzi w areszcie i ma zarzuty korupcyjne. To człek światowy, cały czas jednocześnie jest drugim wiceszefem WMO (Światowa Organizacja Meteorologiczna przy ONZ). A nawet kandydatem na pierwszego wiceszefa. A teraz najfajniejsze – Ministerstwo Środowiska napisało w związku z tym do prokuratury, czyby może Mieczysław O. nie wypuścić, by mógł godnie reprezentować Polskę na forum ONZ. Spadliśmy z krzesła. Jednak turlać się zaczęliśmy dopiero w momencie, gdy odkryliśmy, że w tej samej sprawie interweniowało także MSZ.

Ciekawostka z innego ministerstwa – kultury. Szczególnie częstym gościem jest tam ostatnio Paweł Machcewicz, dyrektor Muzeum Historii II Wojny Światowej. Dokładnie chodzi o wizyty w Biurze Kontroli i Audytu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Otóż za każdym razem Machcewicz przyjeżdża z prawnikiem i zgłasza wciąż nowe zastrzeżenia oraz uwagi do protokołu kontroli, dzięki czemu dawno zakończona w realu kontrola wciąż nie może zakończyć się na papierze. Liczba papierków dawno już przekroczyła objętość wszystkich artykułów „Wyborczej” o tym, jak źli PiS-owcy chcą wykończyć dobrego dyrektora – a to przecież naprawdę duża sztuka.

Na zakończenie dobra wiadomość. Narodowe Centrum Kultury wyciąga wnioski ze słusznej krytyki, jaka spotkała je po pierwszym posiedzeniu jury w sprawie konkursu na scenariusz filmu historycznego. Podano wtedy bezy, ale bez widelczyków, jedynie z łyżeczkami. Dlatego z satysfakcją informujemy, że na finałowym posiedzeniu jury widelczyki były. Byli również jurorzy. Dlatego konkurs uznajemy za udany. ©





**Z Dorotą Gawryluk, dziennikarką
i prezenterką telewizyjną**
rozmawia Łukasz Warzecha

PiS powinien sięgać szerzej

ŁUKASZ WARZECHA: „Dobra zmiana” czy „dobra, zmiana”?

DOROTA GAWRYLUK: To zależy gdzie, dla kogo. Nie ma jednej odpowiedzi. W niektórych kwestiach dobra zmiana faktycznie jest. Jeśli chodzi np. o gospodarkę, to wydaje się, że pojawiło się myślenie perspektywiczne, strategiczne. Takiego trochę brakowało. Nie wiemy wprawdzie jeszcze, czy ono się przełoży na konkrety, ale żeby były konkrety, najpierw musi być plan. I wygląda na to, że taki, choć na razie bardzo ogólny, jest.

A może polityków z wizją należy się bać?
Donald Tusk zdobywał władzę, kusząc wizją ciepłej wody w kranie.

Chyba nie takie jest obecnie oczekiwanie. Polacy chcą konkretnej recepty na poprawę sytuacji, a nie tylko zarządzania.

To znaczy, że przekonuje cię plan Morawieckiego? Faktycznie, rozmach w teorii ma duży.

Jeszcze nie wiem. Na razie obserwuję wicepremiera i przekonuje mnie samo to, że potrafi myśleć w takiej perspektywie. Oczywiście pozostaje otwarte pytanie, w jaki sposób da się to przełożyć na konkrety. Czy wystarczy determinacji, ambicji, pieniędzy? Czy w którymś momencie w obozie rządowym nie zaczną się kłótnie o to, kto przejdzie do historii, a kto nie? Czyj głos bardziej się liczy? Kogo prezes bardziej słucha?

Czyli gra jest także o to – o zapisanie się w historii? Brzmi bardzo wzniośle.

Tak moim zdaniem jest, choć nie wiem, czy to jest główna motywacja. Natomiast na pewno odgrywa sporą rolę. To można wyczytać ze słów Mateusza Morawieckiego, ze sposobu, w jaki mówi o rozwoju Polski. Bez względu na to, czy motorem napędowym są jego osobiste ambicje czy bezinteresowna chęć rozpaddinga polskiej gospodarki. Chyba nikt nie zaprzeczy, że to jest bardzo pożądany kierunek. Miałam nadzieję, że taki sposób myślenia będą mieć także inne siły polityczne. Tego się spodziewałam.

Naprawdę? Oczekiwałaś, że opozycja podejmie merytoryczną dyskusję z rządem? To się chyba od lat nie zdarzyło w III RP.

Jasne, że nie spodziewałam się, iż opozycja będzie rządowi pomagać, ale myślałam, że dzięki konstruktywnej krytyce będzie więcej ciekawych pomysłów i wszyscy na tym zyskamy. Śmiesz się? No dobrze, może to było naiwne, ale jestem trochę marzycielką, przynajmniej w takich sprawach.

Hasłem Morawieckiego jest „Innowacyjność”. Podobna ci się?

Bardzo! Zawsze zastanawiało mnie, jak sprawić, żeby polska gospodarka była innowacyjna, bo przecież to oznacza też wyższe pensje Polaków. Tam, gdzie trzeba używać czegoś więcej niż najprostszych umiejętności, pracodawcy muszą też więcej zapłacić. To naturalne. Ja zresztą od lat zadaję politykom to samo pytanie i niektórych ono bardzo dziwi: „Co ma pan zamiar zrobić, żeby Polacy zarabiali więcej?”.

Politycy ze szkoły Leszka Balcerowicza twierdzą, że to pytanie niemądre, że nie należy go zadawać, bo tę kwestię reguluje rynek. Ja sądzę, że przeciwnie – ono jest bardzo ważne i powinien na nie odpowiedzieć każdy, kto chce rządzić Polską. Nie tylko w naszym kraju widzimy, że tzw. niewidzialna ręka rynku to mit. Najzamożniejsze kraje dotują swój przemysł, np. Niemcy – motoryzację, a przez to wpływają też na wysokość pensji obywateli.

Ten rząd wybrał najprostszą metodę – wprowadził wyższą stawkę godzinową i podwyższył płacę minimalną. Czyli wprowadził przepisy. To chyba nie jest najlepsza metoda.

To również jest potrzebne. Nie można udawać, że nie ma płac poniżej ludzkiej godności. Nie jest zdrowa sytuacja, w której szef zarabia kilkaset razy więcej niż pracownik. To zresztą nie jest dobre również dla tych lepiej zarabiających, bo gdy połowa społeczeństwa zarabia na poziomie najniższego wynagrodzenia, mogą się z tego zrodzić bunt, rewolucja, a one uderzą również w najzamożniejszych.

Ten socjaldemokratyczny kurs PiS...

Nie tylko PiS. Takie akcenty widać również w programach innych ugrupowań. Weźmy choćby Partię Razem.

Nie wiem, czy partia Jarosława Kaczyńskiego chciałaby być porównywana do ugrupowania Adriana Zandberga.

Ja też nie wiem. Po prostu dostrzegam podobieństwa. Uważam, że szansę na wygrywanie w kolejnych wyborach mają

■ ci, którzy będą mieć plan zmniejszenia nierówności, które dziś są ogromne.

Nie masz wrażenia, że skupiając się na naj słabszych i najuboższych, PiS odpuścił sobie zupełnie ofertę dla średniaków?

Dla średniaków w dużej mierze jest program „Rodzina 500+”, o ile oczywiście mają dzieci w odpowiednim wieku. Teraz wreszcie mają pieniądze, których im brakowało, żeby spłacić budżet. Ludzie to dostrzegają, doceniają. Dostrzegają to także politycy opozycji, bo ci, z którymi rozmawiam, przyznają nieoficjalnie, że bardzo trudno byłoby im się wycofać z tego programu.

Wycofanie się pewnie nie jest możliwe. Najwyżej modyfikacje.

I one powinny być wprowadzone, bo nie rozumiem, dlaczego do korzystania z programu „Rodzina 500+” są uprawnione osoby zamożne. Nie rozumiem też, dlaczego dziś z „500+” korzystają, choć wcale nie jest im to potrzebne. Powinny mieć więcej poczucia odpowiedzialności, solidaryzmu społecznego i przyzwoitości.

I tu rodzi się pytanie, kim jest w Polsce bogaty, a kim jest średniak.

Klasy średniej w Polsce nie ma. Są ludzie bogaci i są ci, którzy mimo pracy na wielu etatach wciąż nie są w stanie dopiąć swoich budżetów. Tymczasem przedstawicielem tzw. klasy średniej, która w ogromnej części buduje zamożność kraju, powinni przynajmniej mieć poczucie bezpieczeństwa finansowego na podstawowym poziomie, tak aby móc zająć się dodatkowo rozwojem intelektualnym swoim czy swoich dzieci. Często słyszymy o rodzinach, których nie stać na bilety do kina, i nie są to bezrobotni ani beneficjenci „500+”.

Jeśli komuś nie wystarcza pieniędzy, to chyba trudno nazywać go średniakiem. Na przykład wicepremier Morawiecki ustalił swego czasu granicę bogactwa na 10 tys. zł miesięcznie. Moim zdaniem to śmiesznie nisko.

Z kolei Ryszard Petru ustawia ją, jak rozumiem, na poziomie 6 tys. zł, skoro twierdzi, że poczwórzy od tego progu, nie powinno się otrzymywać pieniędzy z „500+”. Nie ma tu jednej odpowiedzi. Kilka lat temu przeprowadzono badania wśród polskich emigrantów. Zapytano ich, przy jakiego zarobkach wróciliby do kraju. Najwięcej wskazało na ok. 4 tys. zł netto. Przecież to nie są ogromne pieniądze. To pokazuje, jaki jest poziom oczekiwań i jakie wynagrodzenia

są uznawane za satysfakcjonujące. Nawet jeśli od czasu tego sondażu granica trochę przesunęła się w górę.

Ty o „500+” i przedszkolach, a tymczasem nadciągą dyktatura. Jej ramieniem wykonawczym mają być Wojska Obrony Terytorialnej, czyli prywatna armia Macierewicza.

Ta „prywatna armia” to sposób na zwiększenie bezpieczeństwa państwa znany doskonale w innych krajach. Nie rozumiem, jak można go sprowadzać do narzędzia „dyktatury”, szczególnie że podobne plany mieli poprzednicy, choć może chcieli je zrealizować w innej formie.

Macierewicz to tylko fragment układanki, w której centrum zasiada przy Nowogrodzkiej naczelnik państwa Jarosław Kaczyński, tak jak niegdyś Piłsudski w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, i stamtąd wszystkim zarządza.

Nie wiem, czy faktycznie zarządza wszystkim, a jeżeli nawet, to nie zawsze

Problemem jest, gdy dziennikarze wychodzą ze swej roli. Gdy zamiast informować, agituja

mu się to udaje. W wielu miejscach władza trzeszczy, a skoro tak, to może prezes powinien pomyśleć o tym, żeby się nią bardziej dzielić ze współpracownikami.

Gdzie trzeszczy?

Nie trzeba długo szukać. Kto wymyślił np., żeby ograniczyć dziennikarzom możliwość poruszania się po Sejmie – w kraju, gdzie ludzie są uczuleni na wszelkie ograniczenia, gdzie reagują na nie alergicznie i są niezwykle trudni do okiełznania? Nie chce mi się wierzyć, żeby ten pomysł wyszedł od Jarosława Kaczyńskiego. Nie podoba mi się też, że w PiS ocenia się ludzi według ich wierności partii, a nie według kompetencji. To żadna sztuka przekonywać przekonanych.

Prezes zawsze podkreślał, że to jest słuszne i najważniejsze kryterium, bo w czasach próby trzeba mieć pewność co do ludzi.

Sądzę, że jednak powinno się sięgać szerzej. Mądra władza powinna wciągać w realizację swojej wizji jak największą liczbę osób, także spoza kręgu swoich zwolenników. Coś takiego deklarowała

Platforma, ale na deklaracjach się skończyło, bo ostatecznie działała na zasadzie „kto nie z nami, ten przeciw nam”. A przecież warto wykorzystywać talenty różnych ludzi o różnych poglądach. Wtedy jest to nawet bardziej twórcze. To nie byłoby takie trudne, bardzo często nie potrzeba wiele, żeby sobie zaskarbić czyjąś wdzięczność i wsparcie. Przy okazji realizacji moich programów rozmawiam z bardzo wieloma osobami, również spoza kręgu zwolenników PiS, i widzę, że nie-rzadko wystarczyłoby gest, wystarczyłoby się z kimś skonsultować, żeby ten ktoś poczuł się doceniony, zauważony. Teraz ci ludzie, mający sporo ciekawych rzeczy do powiedzenia, mają często poczucie wykluczenia. Nie widzę tu żadnej sprzeczności z opinią prezesa, którą przywołałeś. Zaufanych ludzi można mieć w kluczowych miejscach, ale to nie przeszkadza rozmawiać z tymi, którym się nie ufa.

No dobrze, ale od braku konsultacji z ludźmi spoza własnego kręgu jeszcze bardzo daleko do dyktatury, o której mówi część opozycji.

Mamy do czynienia z tragiczną dewaluacją pojęć. Targowica, dyktatura, Hitler, Stalin, Putin – politycy używają tych słów bez zastanowienia, a kiedy faktycznie wydarzy się coś złego, zabraknie określeń. Gdyby kiedyś naprawdę zagroziła nam dyktatura, nie mielibyśmy jej już jak nazwać. Ale cóż – mamy tragicznie ostrą walkę polityczną, a do tego politycy bywają bezradni językowo i nie tylko.

Ta walka polityczna oznacza także drastycznie ostry podział właściwie już na każdym poziomie. A może przesadzam? Może nie jest tak źle?

Nie, nie przesadzasz. Tak jest od katastrofy smoleńskiej. Wcześniej politycy, owszem, spierali się w studiach radiowych czy telewizyjnych, czasami nawet bardzo ostro, ale to się nie przekładało na ich relacje prywatne. Witali się ze sobą, gawędzili, lubili się, nawet jeśli byli ze zwalczających się ugrupowań. To się zmieniło po 10 kwietnia. Dzisiaj zdarza się, że politycy boją się przyznać, iż kogoś z innej partii lepiej znają czy cenia, bo a nuż ktoś doniesie kolegom i będą mieć problemy. Mam nawet wrażenie, że jest oczekiwanie, aby okazywać sobie niechęć również poza kamerami. Bardzo mi się to nie podoba.

Niektórym się jednak podoba. Mogliby powiedzieć, że nareszcie skończyła się hipokryzja, której przejawem było, że najpierw politycy kłócili się na pokaz, a potem szli razem na wódkę.

Z wódką to przesada... To nie była jednak hipokryzja. Nie ma nic złego w tym, że ludzie się szanują, rozmawiają ze sobą, okazują sobie sympatię, nawet jeżeli dzielą ich bardzo mocno poglądy. A jak zauważyłeś, napięcie jest nie tylko między politykami, lecz także, często znacznie większe, między zwykłymi ludźmi.

Ktoś z bliskich opowiadał mi niedawno o rodzinnym spotkaniu, na którym nagle stała się rzecz straszna – zaczęto mówić o polityce. Na szczęście – cieszył się ten, kto zdawał mi relację – teść rozładował napięcie: „Uwaga, wkrada się polityka, więc się napijmy”. A przecież w normalnych warunkach nie byłoby powodu, żeby uciekać od rozmowy o polityce.

Swoje dokładają też media. Jak ci się podobają? Większość „obsługuje” określoną grupę czytelników, starając się akcentować wyrazistą tożsamość. Pół biedy, jeśli to się nie dzieje kosztem rzetelności, ale często tak jest. Chodzi po prostu o dobrą sprzedaż i oglądalność czy może dziennikarze mają wyraziste przekonania?

Nie przesadzajmy z tym narzekaniem na media. Nie przeszkadza mi ich zróżnicowanie. Jest po prostu więcej do czytania i oglądania. Problemem jest,

gdy dziennikarze wychodzą ze swojej roli. Gdy zamiast komentować i informować, agituja oraz stają się uczestnikami politycznej walki. Lepiej, gdyby po prostu odważyli się zająć polityką, zamiast udawać, że wciąż pozostają dziennikarzami.

To napięcie nie bierze się z niczego. Może nam się nie podobać, jak wiele jest w tym emocji, ale te zwolenników partii rządzącej wydają się zrozumiały.

Tak, bo jest w nich ogromne i autentyczne poczucie krzywdy po katastrofie smoleńskiej – że została podeptana pamięć ofiar, że rząd PO prowadził swoje działania w lekceważący sposób. Druga strona też – myślę tu głównie o politykach PO, a niekoniecznie o zwykłych wyborcach – ma swoje emocje. Tam jest rzeczywista obawa, że „PiS będzie chciał nas powsadzać do więzienia”. Uważam, że bez resetu tych emocji nie da się zmieniać Polski trwale. Żeby bowiem to zrobić, trzeba się pogodzić przynajmniej w kilku najbardziej fundamentalnych sprawach.

Koniecznie trzeba? Przecież Stefan Niesiołowski powiedział: „Wygrajcie sobie wybory, to

będziecie robić, co będziecie chcieli”. PiS wybory wygrał i robi, co chce i czego oczekują jego wyborcy.

Owszem, można dokonywać zmian na siłę, przełamując opór, ale tak wprowadzone zmiany w dłuższym czasie się nie utrzymają. Gdy tylko zmieni się władza, nowi rządzący natychmiast odwrócą wszystko, co zrobili poprzednicy. Nic z tego nie pozostanie. Jeżeli zatem zmiana ma być trwała, to – jak powiedział papież Franciszek – odrobina Bożego miłosierdzia by tu nie zaszkodziła.

Nie bardzo widać, żeby mógł się pojawić jakiś impuls, który dałby okazję do opamiętania.

Czas leczy rany.

Niektórzy czytelnicy pewnie będą mieć do ciebie pretensje, że stawiasz obie strony sporu na jednej płaszczyźnie, że równo dzielisz odpowiedzialność.

Nie, to nie jest tak, że odpowiedzialność jest identyczna po obu stronach. To oczywiste. Od tego jednak jesteśmy ludźmi, żeby zdobyć się na refleksję i umieć odpuścić. A ja optymistycznie, może idealistycznie, wierzę w mądrość Polaków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NAJNOWSZA KSIĄŻKA KRÓLOWEJ POLSKIEJ FANTASTYKI



— MAJA LIDIA —
KOSSAKOWSKA

KRÓLESTWO BOŻE
I OTCHŁAŃ W WYPRAWIE
DO KRAIN POZA CZASEM.

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ, W KTÓREJ FIKCJA MIESZA SIĘ
Z USTALENIAMI NAJWIĘKSZYCH BADACZY BIBLII, KORANU,
DZIEŁ APOKRYFICZNYCH, LEGEND Z CAŁEGO ŚWIATA.





Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli prawdą jest obiegowe twierdzenie, że media są podstawą demokracji, to z demokracją jest dziś gorzej niż kiedykolwiek. Co poszło nie tak?

Mieszkańcy Zachodu przywykli wierzyć w to, co usłyszą w telewizji albo przeczytają w gazecie. Ta wiara od dziesięcioleci stanowiła dla tamtejszych społeczeństw jedną z podstaw poczucia bezpieczeństwa, w jakim żyły: cokolwiek się stanie, będziemy o tym bezstronnie poinformowani i ostatecznie to my na podstawie danej nam wiedzy określimy swoje zdanie oraz wybierzemy tego z polityków, który zaproponuje najlepsze rozwiązanie. Oczywiście do przeciętnego Amerykanina, Francuza czy Niemca od dawna docierały coraz silniejsze utyskiwania na tę czy inną stację albo gazetę, oskarżenia o stronniczość czy nawet obliczone na wsparcie konkretnych partii manipulacje. Niemniej wciąż trwała wiara, że system jako taki działa i ciągle umożliwia wyborcom kontrolę nad władzą.

Wojna informacyjna, jaką amerykańskie media wypowiedziały Donaldowi Trumpowi, jawna propaganda uprawiana przez media zachodnioeuropejskie na rzecz eurokracji i cenzura, którą skutecznie objęły one wszelkie ekscesy imigrantów, stopniowo kładą temu przekonaniu kres. Zachód z trudem zaczął sobie uświadamiać to, co w krajach doświadczonych półwieczem komunizmu przyszło znacznie łatwiej: że media nie są w polityce arbitrem, ale stroną. Że mają właścicieli zainteresowanych zyskiem oraz politycznych dysponentów których chcą utrzymać u władzy, że nie kierują się „społeczną misją”, tylko uprawiają propagandę, nierzadko bez zażenowania, świadomie posługując się w niej kłamstwem.

WYCHOWAĆ NOWEGO CZŁOWIEKA

Zrozumienie tej sytuacji dojrzało latami. W miarę, jak w publicznym dyskursie zaczynała dominować telewizja, debata publiczna coraz bardziej przesunęła się w stronę zarządzania emocjami.



FOT. EDMUNDOWICZ/FOTOLIA

Wielki coming out mediów

W pewnym sensie wynikało to z rewolucji technologicznej: obraz, który – jak wiadomo – „wart jest tysiąca słów”, nie niesie przekazu intelektualnego, ale tylko czyste emocje. Emocje sprzedawały się lepiej niż argumenty, oglądalność rosła wtedy, gdy przed kamerą robiło się „gorąco”, a malała, gdy ktoś próbował być poważny i merytoryczny. Przy pewnej dozie cynizmu producentów medialnego „kontentu” wręcz skłaniało to, by traktować odbiorcę jak psa Pawłowa – przestać go informować czy nawet zabawiać, tylko wręcz warunkować, by na pewne nazwiska i hasła reagował odruchową, irracjonalną niechęcią albo rechem.

Wychowankowie lewackich rewolt 1968 r. szybko dostrzegli, jakie to otwiera możliwości do budowy ich „nowego,

wspaniałego świata” i właśnie na opanowaniu mediów skupili swe wysiłki. Przez dziesięciolecia przekształcili je w narzędzie kształtowania postulowanego przez lewicę „nowego człowieka”, co z czasem doczekało się nieskrywanej instytucjonalizacji, szczególnie w Europie, gdzie rozmaite karty etyczne i lojalki wprost narzucają dziś pracownikom obowiązki krzewienia „wartości europejskich”, „kształtowania ducha tolerancji” i „zwalczania nienawiści”.

Na lewicowy „długi marsz przez instytucje” nałożyła się logika biznesu, prowadząca do koncentracji mediów i tym samym ich oligarchizacji. W USA np. przez dwa dziesięciolecia praktycznie zniknęła prasa lokalna, niegdyś będąca ostoją debaty publicznej. Miejsce setek gazet



na tu przypominać, jak amerykańskie liberalne gazety i telewizje niszczyły Ronalda Reagana albo jak doszczętnie ośmieszyły za pomocą plotek, aluzji i szyderstw Dana Quayle'a. Tym, co stanowi nowość czasów Trumpa i Brexitu, jest fakt, że media te spotykają się z krytyką i wrogością bezbronnego niegdyś społeczeństwa i że same poczuły się zmuszone opowiedzieć się jako strona politycznej wojny.

WYJŚCIE Z CENIA

Na całym świecie następuje ten sam proces, który w Polsce mogliśmy obserwować na przykładzie „Gazety Wyborczej”. Czy w swojej świetności gazeta Adama Michnika miała jakąś polityczną linię? Tak, co dla krytycznego obserwatora było oczywiste. Jednak dla jej przeciętnego czytelnika – wręcz przeciwnie. Gazeta wykreowała się na byt ponadpolityczny, owszem, mający swą misję, ale polegającą na krzewieniu wartości humanistycznych, na „opowiadaniu się po stronie wolności, demokracji”, czyli po prostu – po stronie szeroko rozumianego dobra przeciwko złu. Skuteczne ukrywanie zaangażowania w budowę bardzo konkretnego politycznego projektu stanowiło podstawę siły oddziaływania całego konglomeratu sprzymierzonych z nią i współrezonujących mediów, które swą propagandę przedstawiały jako spojrzenie bezstronne i zdroworoządkowe, a siebie jako reprezentatywne dla „ludzi wykształconych i na pewnym poziomie”.

Dzisiaj ta sama gazeta i te same sprzyjające jej media pozycjonują się zupełnie jawnie jako głos politycznej opozycji, aż do publikowania wezwań na manifestacje, plakatów, instrukcji sporządzania transparentów czy formularzy zgłoszenia członkostwa w KOD.

Z opóźnieniem w stosunku do Polski, ale równie wyraźnie następuje ten proces wszędzie. Media dotąd udające obiektywizm jawnie już przechodzą z pozycji rzekomych arbitrów sporu politycznego na pozycję jednej z jego stron. A w sytuacji kryzysu partii, stanowiących tradycyjną reprezentację politycznej oligarchii, wręcz zajmują ich miejsce. W Polsce chaos i zagubienie partii opozycyjnych spowodowało środowisko Michnika do wykreowania KOD jako siły, która rozbija opozycję zjednoczy (jak mu to wyszło, to inna sprawa). Podobnie rzecz zdaje się w tej chwili wyglądać w USA, gdzie „liberalne” media zaczęły w organizowaniu oporu wobec Trumpa

wyręczać demokratów, spustoszonych dwiema kadencjami Obamy i skostnieniem aparatu, który wbrew wszystkiemu usiłował wmusić Amerykanom na prezydenta swoją kandydatkę, mimo jej oczywistej „niewybieralności”.

Na przesilenie polityczne nakłada się jednak w mediach także zmiana biznesowa. Media tradycyjne, także elektroniczne, których supremacja jeszcze dekadę temu wydawała się niezagrożona, spychane są systematycznie z rynku przez komunikację internetową, w znacznym stopniu samoradną. Menedżerowie przyzwyczajeni do tradycyjnego funkcjonowania, gdzie nadawca określał „kontent”, a odbiorca mógł wybrać tylko na tej zasadzie, na jakiej klient restauracji zmuszony jest wziąć coś z karty, generalnie przegrali walkę o przejście wielkich grup medialnych do Internetu. Specyfika nowego sposobu komunikowania okazała się zabójczą dla projektów opartych na poczuciu bezpieczeństwa wielkich polityczno-finansowo-medialnych organizmów, że ewentualny konkurent musiałby dysponować analogicznym budżetem i rozmachem – a takich konkurentów nie mamy, to znaczy ze wszystkimi, którzy by mogli tę rolę podjąć, jesteśmy zblatowani.

NIEOPŁACALNY OBIEKTYWIZM

Jasne opowiedzenie się po jednej ze stron politycznego konfliktu jest więc dziś dla mediów określanych niegdyś jako „wiodące” ucieczką w model biznesowy, który wydaje się bezpieczniejszy. Zapanowało przekonanie, że nie ma już sensu przekonywać odbiorców, że jest się bezstronnym i obiektywnym, bo bezstronność i obiektywizm przestały się opłacać. W czasie światowej rewolty „populizmu” przeciwko zasiadziałym elitom bardziej opłaca się wybrać jedną ze stron i obsługiwać jej emocje. Oczywiście wciąż bardziej opłaca się służyć elitom, które trzymają rękę na kase – zresztą, latami dobierani i tresowani według „postępowego” klucza pracownicy mediów skłaniają się ku temu instynktownie.

Czy to trwała tendencja czy tylko zawirowanie, po którym wróci popyt na media mające ambicje bycia czymś więcej niż tylko doboszami w wielkich polityczno-ideowych formacjach? To pytanie o przyszłość mediów jest zarazem pytaniem o przyszłość demokracji.

wydawanych w poszczególnych miastach czy hrabstwach zajęły lokalne dodatki do mediów ogólnokrajowych. Analogiczny proces przeorał rynek lokalnych telewizji, które stały się lokalnymi serwisami wielkich sieci. Z kolei wielkie grupy medialne, będące skutkiem tej konsolidacji, wchodziły w symbiozę z innymi grupami biznesowymi, przede wszystkim finansowymi. A ponieważ biznes, szczególnie bankowy, najlepiej miał się pod opieką polityków, niepostrzeżenie postępował oligarchiczny zrost, zmieniający demokrację w fasadę – symbioza „zblatowanych” w jeden establishment polityków, magnatów medialnych i finansowych zyskała możliwość tak skutecznego manipulowania masami, tak skutecznego budzenia i wyciszania ich hysterii, agresji, szczucia i uspokajania, że mechanizm wyborczy wydawał się zupełnie już nieistotną formalnością, w żaden sposób niezdolną zaburzyć neofeudalny układ społeczny ani nawet zarysować jego lewicowo-liberalną fasadę.

Fakt, że media uprawiają lewicową propagandę, że manipulują emocjami, wyolbrzymiając jedne sprawy, a tuszując inne czy wręcz zmyślając nośne propagandowe tematy, przedstawiając aberrację jako normalność, odzierając z godności i powagi jednych, a idealizując i lansując na autorytety innych, nie jest niczym nowym – moż-

Prujemy „zetkę”!

Wśród ujawnionych akt są dokumenty dotyczące Sue Burggraf, oficer CIA „prowadzącej” Ryszarda Kuklińskiego FOT. IPN



Sławomir Cenckiewicz

Decyzja władz IPN z 24 stycznia 2017 r. o jednorazowym ujawnieniu blisko 6,5 tys. teczek, które przez kilkanaście lat ukrywano w tajnym zbiorze zastrzeżonym ulokowanym w archiwum IPN, jest bezprecedensowa i stanowi wielki krok w stronę jawności!

Operacja likwidacji „zetki”, jak wśród historyków określa się zbiór wyodrębniony (zastrzeżony), trwa faktycznie od czerwca 2016 r.

Pierwszym etapem była nowela ustawy o IPN, która w artykule 19.1 sankcjonuje realną (nie zaś formalną) likwidację tajnego zbioru wyodrębnionego w ciągu roku od wejścia znowelizowanej ustawy. Drugi etap, który zresztą wciąż jest realizowany, to przegląd ukrytych przez lata w „zetce” akt. Prezes i Kolegium IPN wspólnie z ministrami nadzorującymi tajne służby, będącymi prawnymi następcami (niestety) służb specjalnych PRL, 19 września 2016 r. ustalili terminy i zasady owego przeglądu. Uzgodniliśmy wówczas, że przewidziany w ustawie o IPN roczny (liczony od dnia wejścia w życie nowelizacji ustawy o IPN, czyli 16 czerwca 2016 r.) przegląd utajnionych akt zostanie zakończony do 31 marca 2017 r., zaś pozostałe niecałe trzy miesiące przeznaczymy na rozstrzygnięcie ewentualnych sporów związanych z nadaniem klauzul tajności jednostkom archiwalnym podlegającym przeglądowi. Należy jednak pamiętać, że klauzule tajności ostatecznie nadaje prezes IPN, a zatem może on nie zgodzić się ze stanowiskiem przedstawicieli służb dokonujących przeglądu i rekomendujących nadanie klauzuli tajności konkretnym jednostkom archiwalnym. I – co ważne – każda rekomendacja służb dotycząca nadania klauzuli tajności musi zostać pisemnie uzasadniona, co wynika wprost z art. 19.1 ust. 2 ustawy o IPN, ale prezes IPN – po zasięgnięciu rady powołanej przez siebie komisji składającej się z archiwistów i członków Kolegium IPN (Marzena Kruk, Witold Bagieński i Sławomir Cenckiewicz) – może się z takim uzasadnieniem nie zgodzić. W każdym razie 16 czerwca 2017 r. nie będzie już śladu po „zetce”, co w dużej mierze uwolni instytut od przemożnej kurateli tajnych służb, które od 2000 r. „terroryzowały” IPN swoim specjalnym nadzorem nad zasobem wyodrębnionym i w związku z tym narzucały interpretacje związane z realizacją ustaw (także w zakresie ochrony informacji niejawnych).

PIERWSZA ROZPRAWA Z „ZETKĄ”

W okresie powstawania IPN zbiór zastrzeżony liczył blisko

2 km akt podzielonych na służby cywilne i wojskowe PRL. A zatem w ramach archiwum IPN powstało jakby równoległe archiwum pozostające pod specjalną pieczęą tajnych służb. „Zetka” na dobrą sprawę zaczęła topnieć dopiero w okresie prezesury Janusza Kurtyki, zwłaszcza w latach 2006–2007, dzięki sprzyjającemu otoczeniu politycznemu (rządy PiS). Najbardziej spektakularnym osiągnięciem tamtego czasu było odtajnienie ogromnej ilości materiałów wojskowych (Wojskowej Służby Wewnętrznej i Zarządu II Sztabu Generalnego). Bezpośrednią przyczyną uderzenia w wojskową „zetkę” była likwidacja Wojskowych Służb Informacyjnych, które w praktyce stosowały filozofię chowania w zbiorze zastrzeżonym prawie wszystkich materiałów wojskowi PRL. Likwidatorzy WSI otrzymali jednak kompetencje badania wojskowej „zetki”. Wówczas okazało się, że kluczowe dokumenty dotyczące żołnierzy WSW i Zarządu II, kulis afery Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, biznesowych działań wywiadu wojskowego i przestępczych operacji zmierzających do przejmowania majątków po osobach bezpotomnie zmarłych na Zachodzie ukryto w zbiorze zastrzeżonym. Ówczesny wiceminister obrony narodowej Antoni Macierewicz podjął wówczas wiele decyzji przenoszących akta wojskowe z „zetki”

do zbioru ogólnego IPN. Próba odwrócenia tej sytuacji podjęta po zwycięstwie Platformy Obywatelskiej w listopadzie 2007 r. nie była już w całości możliwa.

METRAŻOWA SKALA WYZWAŃ

Trzeba przyznać, że nawet w czasach rządów PO (zwłaszcza drugiej kadencji) wiele materiałów tajnych służb PRL opuściło zbiór zastrzeżony. Na fundamentalny przełom musieliśmy jednak czekać aż do 2016 r. Obecnie łączny metraż byłego tajnego zbioru wynosi 347,38 metrów bieżących (stan na 18 stycznia 2017 r.). Największy jest zbiór, którego prawo przeglądu znajduje się w gestii Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wynosi ogółem 214,89 m.b., w tym 188,12 m.b. stanowią akta operacyjne i akta osobowe funkcjonariuszy, 10,47 m.b. – kartoteki, a 16,3 m.b. – pomoce ewidencyjne (dzienniki rejestracyjne i archiwalne). Metraż zbioru Agencji Wywiadu wynosi natomiast 42,83 m.b., w tym 39,45 m.b. stanowią akta, zaś 3,38 m.b. – kartoteki. Metraż zbioru Straży Granicznej to ogółem 36,47 m.b., w tym 30,93 m.b. stanowią akta, a 5,54 m.b. – kartoteki. Metraż zbioru znajdującego się w gestii ministra obrony narodowej i podległych mu służb (Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego) wynosi ogółem 53,19 m.b. SKW ma do przeglądu 21,22 m.b., zaś SWW – 31,97 m.b., z czego 46,17 m.b. stanowią akta

operacyjne i dokumentacja osobowa (SKW – 15,54 m.b.; SWW – 30,63 m.b.), natomiast 7,02 m.b. to kartoteki (SKW – 5,68 m.b.; SWW – 1,34 m.b.).

TRAJEKTORIA PRZEGŁĄDU

Po 16 czerwca 2016 r. do przeglądu tajnego zbioru przystąpiły Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencja Wywiadu oraz Straż Graniczna. Służba Wywiadu Wojskowego rozpoczęła przegląd 14 listopada, a Służba Kontrwywiadu Wojskowego – 9 grudnia 2016 r. W okresie od 16 czerwca 2016 r. do 23 stycznia 2017 r. tajne służby dokonały przeglądu łącznie 14 261 teczek. To spore osiągnięcie. Warto zauważyć, że przez długie lata praktyczną

TAJNE
spec. znaczenia

Nr ewidencyjny _____

KWESTIONARIUSZ
osoby rozpracowywanej - sprawdzanej *)

1. Nazwisko i imię BURGGRAB SUE ANN

2. Imiona rodziców i nazwisko panieńskiego matki Edwin - Clandine

3. Data urodzenia 04.06.1945

4. Miejsce urodzenia SANDUSKY OHIO, USA

5. Narodowość _____

6. Obywatelstwo USA

7. Rysopis: wzrost ok. 165 oczu brązowe włosy ciemne

8. Wykształcenie wyższe studia na Uniwersytecie w Ohio - 1967 r.

9. Zawód: wyuczony _____ wykonywany PRAĆ. DIPLOMATYCZ.

10. Wykształcenie specjalne _____

11. Służba wojskowa _____

12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany paszport dyplomatyczny K-133267

13. Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, telefon służbowy AMBASADA USA w Warszawie; ATTACHE w MNDP. POLITYC. tel. 220

14. Poprzednie miejsca pracy i zajmowane stanowiska:

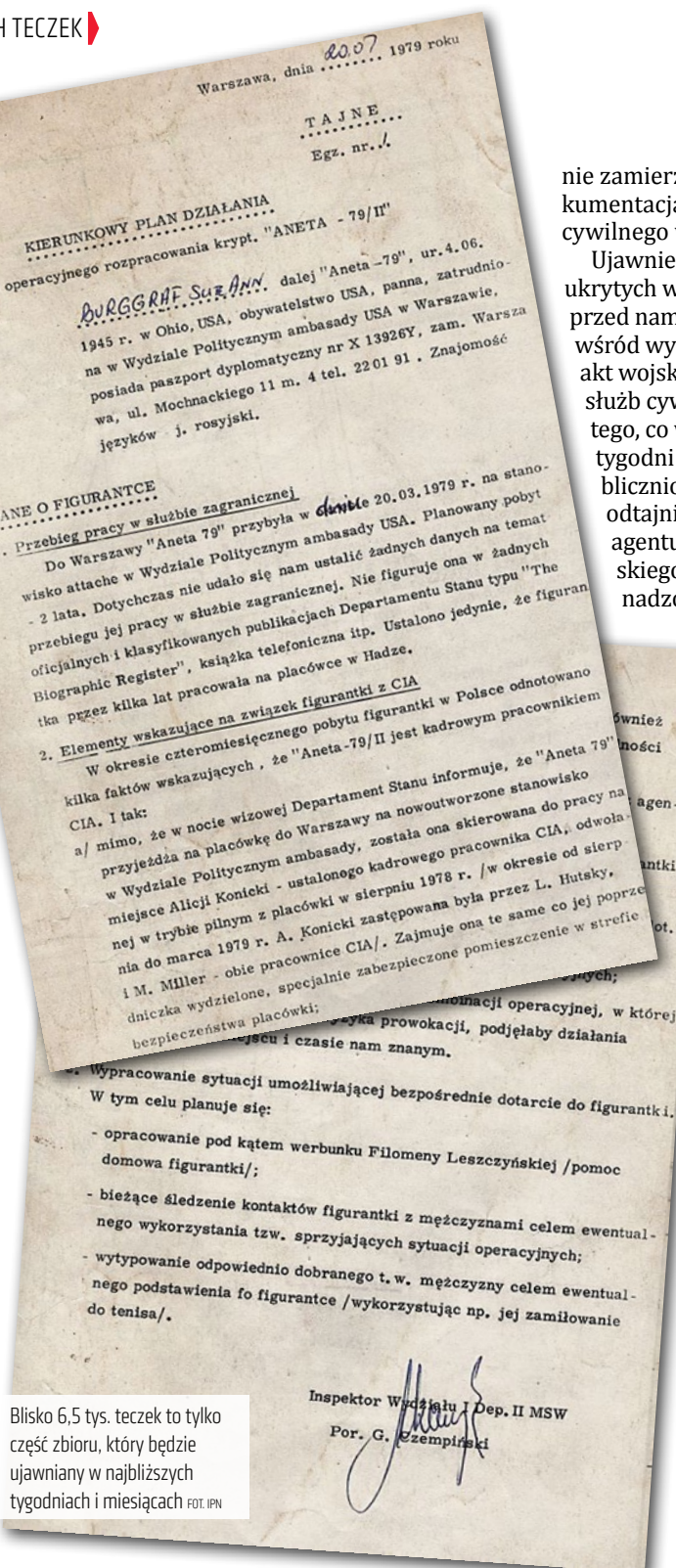
Lp.	Czasokres pracy	Nazwa zakładu pracy	Zajmowane stanowisko
1.	1970 - 1979	Dep. St. Ładowniczy USA	pracownik u/s rozpr.

■ barierą w przeglądzie „zetki” i odtajnieniu akt – co często wykorzystywały służby – była niechęć szefów tajnych służb do delegowania funkcjonariuszy w celu przeglądu dokumentów ukrytych w zbiorze zastrzeżonym. Dzisiaj ten problem przestał istnieć. Funkcjonariusze ABW weryfikując klauzule tajności, przejrżeli 4828 jednostek archiwalnych (j.a.), AW – 2110 j.a., SG – 6304 j.a., SWW – 828 j.a. oraz SKW – 191 j.a. Do przeglądu pozostało ogółem 4244 j.a., w tym ABW – 2640 j.a., AW – 457 j.a., SG – 0 j.a., SWW – 776 j.a. oraz SKW – 371 j.a. Przytoczona statystyka nie uwzględnia kart ewidencyjnych oraz wszystkich informatycznych systemów gromadzenia informacji i danych SB (analogicznie także wojska): EPI, ESEZO, ESPIN, EZOP IV i KADRA MSW.

Należy podkreślić, że od 16 czerwca 2016 r. do 23 stycznia 2017 r. służby skierowały do prezesa IPN łącznie 163 pisma informujące o nienadawaniu klauzul tajności dokumentom, w tym ABW – 104, AW – 42 oraz SG – 17. Pisma te objęły ogółem 10 653 j.a., w tym ABW – 4840 j.a., AW – 2143 j.a., a SG – 3670 j.a. Do tej pory żadna ze służb nie skierowała wniosku o nadanie klauzuli tajności dokumentom.

GDZIE JESTEŚMY? DOKĄD ZMIERZAMY?

Moja satysfakcja nie oznacza jeszcze jednak euforii. Obecna sytuację określiłbym tak: jesteśmy na początku procesu ostatecznego i rzeczywistego końca zbioru zastrzeżonego IPN. Ujawnienie opinii publicznej wykaz tezek jest bardzo interesujący i zapewne istotny dla rozpoznania mechanizmów funkcjonowania tajnych służb PRL, gier wywiadowczych oraz kontrwywiadowczych z CIA i BND



Blisko 6,5 tys. tezek to tylko część zbioru, który będzie ujawniany w najbliższych tygodniach i miesiącach. FOT. IPN

nie zamierzamy zadowolić się pełną dokumentacją zaledwie jednego nielegala cywilnego wywiadu!

Ujawnienie najważniejszych spraw ukrytych w zbiorze zastrzeżonym jest przed nami. Należy podkreślić, że wśród wykazu 6,5 tys. tezek nie ma akt wojskowych, a ujawnione akta służb cywilnych stanowią tylko część tego, co w perspektywie najbliższych tygodni i miesięcy zostanie upublicznione. Przykładem niech będą odtajnione bardzo ważne tomy akt agenturalnych Dominika Morawskiego („Sao”), którego działalność nadzorował pion nielegalów

Departamentu I MSW (Wydział XIV), zaś bezpośrednio prowadził Andrzej Madejczyk (znany wcześniej ze sprawy o. Konrada Hejmy). Akta Madejczyka, który zajmował się penetracją Stolicy Apostolskiej, zachodnich agend Solidarności, paryskiej „Kultury” czy KPN, wciąż nie zostały ujawnione i nie wyobrażamy sobie, by mogło tak pozostać.

Odrębną kwestię stanowi podejście do kartoteki, która w każdej tajnej służbie stanowi coś zupełnie wyjątkowego. Kluczowe kartoteki, żeby wymienić tylko WSW, Zarządu II i Departamentu I MSW (w tym kartoteka nielegalów), wciąż pozostają tajne. Pamiętajmy, że o ile w latach 1989–1990 (w wojsku także później) niszczone materiały operacyjne zabezpieczyły cywilnej czy wojskowej, o tyle proces dekompozycji zasobów ewidencyjnych był stosunkowo najmniej zaawansowany. Tak więc to, co bezpowrotnie zniknęło z półek magazynów archiwalnych, może być

odnotowane w kartotekach osobowych. Może to właśnie kartoteki i ewidencja są ostatnią reductą bronią przez ludzi tajnych służb przed dekonspiracją.

To wszystko pokazuje jednak, że najważniejsza bitwa o koniec „zetki” jest dopiero przed nami!

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KOSZULKA Z ORŁEM**



139 zł

oszczędzasz 109 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 9575c5af8b



Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, europosem Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Frankfurter Allgemeine Zeitung” podaje, że wizyta kanclerz Angeli Merkel w Polsce może doprowadzić do „pragmatycznego postępu” w polsko-niemieckich relacjach. Zgadza się pan z tą tezą?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Artykuł, który pan cytuje, oparty jest na fałszywej tezie, jakoby wcześniej nie było pragmatycznych relacji i że te relacje były złe. Jeżeli istniało wrażenie, że między Polską a Niemcami pogorszyło się po zwycięstwie PiS, to takie wrażenie było sztucznie wywołane przez publikacje mediów niemieckich, w tym właśnie „FAZ”. W dodatku autor cytowanego artykułu twierdzi, że wobec Brexitu i prorosyjskości nowego prezydenta USA to „Polska szuka partnera”. To bardzo jednostronne ujęcie, bo to Niemcy są zaniepokojeni polityką Trumpa, w tym także jego polityką gospodarczą, która może uderzyć w ich interesy. Niemcy czują się odpowiedzialne za przyszłość Unii Europejskiej i właśnie dlatego w sytuacji, gdy Brytyjczycy wychodzą z UE, a dodatkowo Amerykanie stają się niepewnym sojusznikiem i kraje południa Europy domagają się innej polityki finansowej UE, Berlin potrzebuje wsparcia Warszawy.

O czym Merkel będzie rozmawiać z Jarosławem Kaczyńskim?

Myślę, że tu nie będzie niespodzianek. Będą rozmawiać o tym, co należy zmieniać w Unii po wyjściu Brytyjczyków.

Polska i Niemcy w obecnym układzie politycznym są zdane na siebie? Kaczyński chwalił ostatnio Merkel, zdając sobie chyba sprawę, że to najbardziej antyputinowski polityk niemiecki z możliwych...

Wspólnota interesów istnieje nie od dziś. To jest wynik reorientacji polityki niemieckiej, nie polskiej. To przecież Niemcy widzieli wcześniej w Rosji partnera. I to zarówno za czasów Schrödera, jak i na początku rządów Merkel. Jeśli dziś na linii Warszawa – Berlin obserwujemy zbliżenie, to dlatego, że to Niemcy zrozumieли słuszność polityki, jaką Prawo i Sprawiedliwość od dawna prowadziło wobec Rosji. Dzisiaj się okazuje, że to kanclerz Merkel się myliła, a przemówienie



prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi w 2008 r. okazało się prorocze. Chociaż należy docenić obecne stanowisko kanclerz Merkel, to na pewno są w Niemczech politycy, którzy są w co najmniej równym stopniu „antyputinowscy”.

Czyli jesteście awangardą zmian, choć oczywiście nikt w Niemczech tego nie przyzna.

Nie tylko Angela Merkel, lecz także prezydent Obama na początku prowadził prorosyjską politykę, by po czasie zrozumieć, że to Polacy mieli rację. Jeśli chodzi o relacje z Rosją, to możemy się różnić z rządem niemieckim w szczegółach, np. jak prowadzić proces pokojowy na Ukrainie, ale obecnie ogólny kierunek jest wspólny.

A co ze sprawą „polskich obozów koncentracyjnych”? Sprawa ZDF pokazuje, że ciężko liczyć na poprawę relacji w sprawie polityki historycznej.

Oficjalnie Niemcy się do swojej nazistowskiej przeszłości przyznają. Ostatnio wielkie oburzenie w Niemczech wywołały

słowa jednego z polityków AfD, który negatywnie ocenił pomnik Holokaustu w Berlinie.

Z kolei słychać głosy, że wstawki o „polskich obozach” w niemieckich mediach to przejęzyczenie, choć z drugiej strony za ten rzekomo przypadkowy błąd przeproszają niechętnie...

Zawsze oficjalnie mówi się, że to przejęzyczenia, a Polacy są przewrażliwieni. Jednak tendencja, żeby „niemieckie obozy” zastępować „nazistowskimi”, jest oczywista. Po reakcji ZDF na akcję polskich internautów widać wyraźną niechęć, aby ciemne karty historii Niemiec wiązać z niemieckością. Gdy Niemcom zdarza się mówić o polskich obozach, traktują to jako językową niedbałość, ale już kiedy ktoś przypomni o obozach jako niemieckich, czują się dotknięci. I choć Niemcy generalnie nie negują swojej przeszłości, widać, że niestety pamięć o polskich ofiarach nie zajmuje istotnego miejsca w niemieckiej świadomości. Trzeba to zmieniać. Przypuszczam, że kanclerz Merkel byłaby

bardzo zdziwiona, gdyby ktoś jej powiedział, że polskie ofiary nie znalazły w Niemczech właściwego upamiętnienia. Potrzebne byłyby więc jakieś nowe inicjatywy, raczej w sferze kultury i nauki niż polityki, choć oczywiście politycy powinni taki proces wesprzeć. Gdy toczyła się dyskusja nad pomnikiem ofiar Holokaustu, odrzucono koncepcję ponadnarodowego upamiętnienia wszystkich ofiar. Teraz trochę trudno zrozumieć, dlaczego w Berlinie obok pomnika Holokaustu są także ślady martyrologii Romów, homoseksualistów, a nie ma żadnych miejsc pamięci poświęconych Polakom pomordowanym przez nazistów. To ważny problem, ale nie ma nic wspólnego z bieżącymi relacjami politycznymi między Polską a Niemcami.

Pragmatyzm, o którym pisze niemiecki dziennikarz, widoczny jest np. w biznesie. Niemcy wciąż są najważniejszym partnerem handlowym Polski, a kanclerz Merkel odebrała niedawno nagrodę od polskich przedsiębiorców.

I tak pozostanie. Niemcy są dla nas najważniejszym partnerem gospodarczym.

To jakie problemy do rozwiązania są przed nami?

Stałym tematem, którego rozwiązania na razie nie widać, jest problem uznania praw polskiej mniejszości w Niemczech. Jednak ja bym wymienił trzy podstawowe sprawy, w których polski rząd powinien próbować w najbliższym czasie wpłynąć na niemiecką politykę. Po pierwsze: polityka energetyczna – w tym sprawa Nord Stream 2. Po drugie – trzeba odpowiedzieć na pytanie, czy po Brexicie UE powinna dążyć do federalizacji czy do decentralizacji. Rząd niemiecki zajmuje stanowisko pośrednie, boi się głębokich zmian. Zamiast gruntownych reform Merkel woli poza traktatami doszukać nowe przepisy. My zaś uważamy, że bez traktatowego wzmocnienia państw narodowych Unia nie przetrwa. Po trzecie – gospodarka. Nas interesuje innowacyjność, technologie zaawansowane, nie chcemy być dalej dostarczycielem taniej siły roboczej, drenowanym z zasobów demograficznych podwykonawcą firm niemieckich. Chcemy być równorzędnymi partnerami...

I jakie są na to szanse?

Rozpoczyna się pewien proces zmian. Dużo się okaże podczas marcowego szczytu unijnego w Rzymie. Jeśli padną jasne deklaracje o odejściu od budowy europejskiego superpaństwa i wzmocnieniu znaczenia państw narodowych w Unii, to

będzie to już pierwszy sukces. Merkel nie podziela dążeń Steinmeiera, polityka SPD, który zwołując po Brexicie posiedzenie przywódców sześciu krajów UE, niejako zasugerował, wielce dla Polski niekorzystną, redukcję wspólnoty do starej Unii. Poza wszystkim zgadzamy się z Niemcami w kwestii podstawowej – chcemy, aby Unia trwała.

A co z Nord Stream 2?

Mówi się, że to inicjatywa czysto komercyjna, ale podobnie jak w przypadku mediów także tutaj wpływ czynnika państwowego na prywatny jest rzeczywistości znaczący. Strona niemiecka zdaje sobie sprawę z tego, że jest to punkt, który mocno zadrażnia relacje z Polską i innymi krajami naszego regionu. Wycofanie się z Nord Stream 2 byłoby ze strony Niemiec sygnałem, że poważnie traktują solidarność europejską i partnerskie relacje z Polską. Na pewno niełatwo będzie to osiągnąć, ale trzeba o tym rozmawiać. Trzeba szukać dróg współpracy gospodarczej. Niedługo odbędą się targi w Hanowerze, na których Polska ma być krajem partnerskim.

Rozmawiając w PE z kolegami z Niemiec, widzi pan jakościową zmianę w podejściu do Polski?

Raczej ilościową niż jakościową. Zmiana tonu w sposobie relacjonowania tego, co się dzieje w Polsce, jest jednak warunkiem współpracy. Rząd niemiecki chyba zdaje sobie sprawę z tego, że trudno o poprawę stosunków, jeżeli radio publiczne opisuje polski kryzys parlamentarny słowami przywódcy partii opozycyjnej Grzegorza Schetyny, nie podając przy tym stanowiska rządu polskiego. Niemcy są niedoinformowani, słuchają podszeptów kolegów z PO, często wydaje im się, że oto cały naród powstał przeciwko rządowi PiS. To świadczy o braku kwalifikacji politycznych. Jak trafnie stwierdził jeden z niemieckich polityków, „w Polsce minął rok od wyborów, nie możemy już działać tak, jak do tej pory, coś się musi zmienić”.

Chyba jest lepiej. Autor tekstu w „FAZ” jednak nazywa Polskę „stabilnym krajem”.

Byliśmy stabilni, zanim niemieccy dziennikarze to łaskawie zauważyli. Czy to my irracjonalnie ocenialiśmy naszych zachodnich partnerów? Nie. Wiemy, że są silnym państwem, znamy kierunki ich polityki, wiemy, czego się po nich spodziewać. Tymczasem to Niemcy wciąż nie są w stanie dokładnie ocenić nastrojów i sytuacji

politycznej w Polsce ani nawet poprawnie zinterpretować wyników wyborów.

No to jest dobra zmiana w naszych relacjach czy jej nie ma?

Autor cytowanego artykułu w „FAZ” wcześniej wyróżniał się atakami na Polskę, a teraz pisze w zupełnie innym tonie. Na ile jest to trwała zmiana? Być może poza potrzebą partnera ma tutaj znaczenie ostatnia kompromitacja polskiej opozycji. Niemieckie media zaczynają rozumieć, że wrzucanie PiS do jednego worka z takimi partiami jak AfD czy Front Narodowy jest bezzasadne. Być może politycy niemieccy zrozumieli, że nie przyjdzie jednak ta dobra wróżka, która jednym ruchem czarodziejskiej różdżki miała przywrócić zieloną wyspę, a na niej królewicza Tuska czy Schetynę, a w związku z tym należy polski rząd traktować poważnie.

Dziennikarz „GW” wysuwa tezę, że Merkel przyjeżdża, bo chce poznać bliżej Kaczyńskiego, który nie jeździ po świecie i wciąż jest zagadką dla Zachodu...

To opinia na granicy fantazji i propagandy. Merkel zna dobrze Jarosława Kaczyńskiego, tak jak znała i ceniła Lecha Kaczyńskiego. I nie będzie to pierwsze spotkanie Angeli Merkel z Jarosławem Kaczyńskim w ostatnich miesiącach.

Jak to? Przecież ponoć ostatnio widzieli się nieoficjalnie w 2006 r.

Nie, to nie będzie ich pierwsze spotkanie po latach.

Merkel zapyta o Trybunał, o media czy o cokolwiek, czego chce totalna opozycja?

Nie sądzę. Będą rozmawiać o Unii, o światowej polityce. Zauważmy, że wcześniej PiS był indagowany i pouczany przez urzędników unijnych, nie przez członków rządu niemieckiego. Angela Merkel nie wypowiadała się na temat Polski. O TK może ewentualnie zapytać prezydenta Dudę albo premier Szydło, ale nie prezesa Kaczyńskiego. Nie ma potrzeby, bo sprawa TK została rozwiązana. Poza tym Merkel nie przyjedzie tutaj, by wygłaszać opinie opozycji, tylko po to, aby porozmawiać z polskim rządem. Zapewne pojawi się też kwestia stanowisk w instytucjach europejskich.

Polska nie poprze Tuska, ulubienica Merkel?

Stanowisko rządu polskiego w tej sprawie nie będzie zaskoczeniem.

Ostre rafy pod



Piotr Semka

Chociaż w Niemczech odrzuca się termin „polskie obozy zagłady”, to wciąż czasem się go używa. Nic dziwnego, że arogancja niemieckiej telewizji publicznej ZDF wywołała w Polsce tak ostre protesty. To znacznie więcej niż spór o nazewnictwo

Czy spór dotyczący niemieckich obozów zagłady ma sens? Czy sprawa nie jest oczywista? Takie pytania zadał mi jeden z portali w kontekście akcji polskich internautów polegającej m.in. na zasypywaniu stacji ZDF e-mailami z hasłem #German-DeathCamps. Tak nad Wisłą odpowiedziano na nonszalanckie potraktowanie przez niemiecką stację wyroku sądowego nakazującego przeprosiny za użycie określenia „polskie obozy zagłady”. Powtórzmy więc pytanie: Czy ten spór ma sens?

Formalnie na linii Polska – Niemcy kontrowersji w tej sprawie nie ma. Przy każdym spotkaniu prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem Joachimem Gauckiem podkreślano w zeszłym roku sukces pojednania.

Nikt w Niemczech nie broni określenia kacetów polskimi obozami. Czy to jednak wyczerpuje problem? Nie, bo w tak drażliwej sprawie istotne stają się niuanse. Polaków niepokoi pobłażliwe traktowanie za Odrą przypadków użycia określenia „polskie obozy”.

ZDF miała przeprosić byłego więźnia Auschwitz – Karola Tenderę, który wygrał proces o naruszenie dóbr osobistych i opublikować wyrok. Stacja umieściła przeprosiny na swojej stronie internetowej w zakładce z napisem „Doku/Wissen”, do której mało kto zagląda. Co więcej, niemiecka telewizja publiczna

nie spuściła z tonu i ogłosiła, że e-maile z hashtagem #German-DeathCamps uznaje za spam i natychmiast kasuje.

A przecież ZDF mógł zaprosić z wszystkim honorami pana Tenderę do swojej centrali w Berlinie i np. zrobić z nim spotkania dla dziennikarzy newsroomu. W kraju, w którym tyle mówi się o wadze „historii mówionej”, spotkanie z polską ofiarą III Rzeszy na pewno pomogłoby zapamiętać, jak bardzo Polaków boli określenie „polskie obozy”.

PROCESY? A PO CO?

Być może arogancja ZDF nie wzbudziłaby tak masowego protestu, gdyby nie jej wcześniejsze wyczyny – film „Nasze matki, nasi ojcowie” czy skandaliczny klip z Beatą Szydło. To jednak problem wykraczający poza tę stację. Wszyscy za Odrą odrzucają termin „polskie obozy”, mimo to co rusz zdarza się, że ktoś go użyje i wraca spór o procesy przeciwności w sprawie tego skandalicznego sformułowania. Rozmowy z niemieckimi dziennikarzami na ten temat zazwyczaj mają podobny do siebie schemat.

Najpierw pojawia się solenna deklaracja, że użycie określenia „polskie obozy” to skandal, ale zaraz pojawia się porada: „Nie warto przesadzać z reakcjami, bo to jedynie pomyłka”. Na pytanie, dlaczego ta pomyłka zdarza się tak często, rozmówcy odpowiadają, że trzeba edukować młodych dziennikarzy. Jednak zaraz dodają: „Wytaczanie procesów redakcjom to zła droga”. Gdy polski rozmówca wskazuje, że bez procesów nie będzie wyostrzenia uwagi na ten typ pomyłki, znów słychać powtarzane zakłęcia: „Wszystko to prawda, ale procesy to nie jest żaden sposób”.

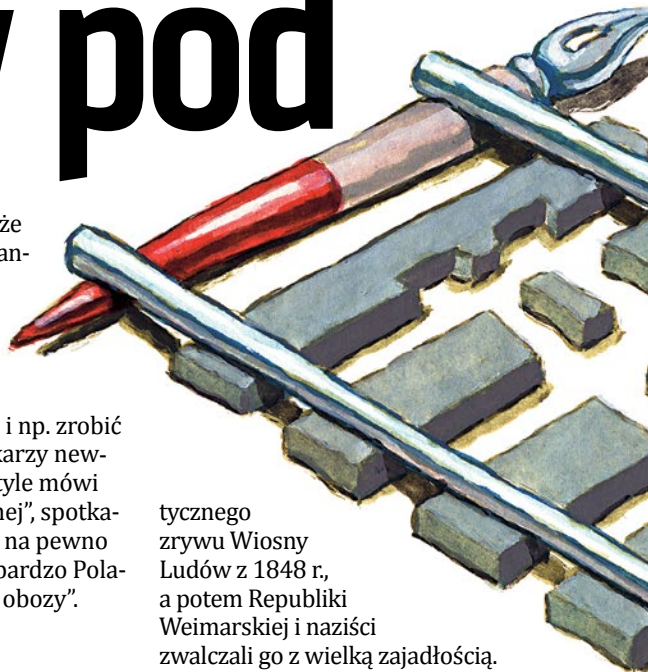
Kolejnym etapem tego sporu jest irytacja wokół plakatów z napisem: #German-DeathCamp – szczególnie gdy pojawiają się na nich barwy RFN – czerń, czerwień i żółć. Tę konsternację wokół łączenia barw RFN ze zdjęciami obozów można jeszcze zrozumieć – czarno-czerwono-złoty sztandar był symbolem demokra-

tycznego zrywu Wiosny Ludów z 1848 r., a potem Republiki Weimarskiej i naziści zwalczały go z wielką zjadłością. Widok flagi mającej tak pozytywne dla Niemca skojarzenia ze zdjęciem bramy obozu w Birkenau może budzić sprzeciw. Jednak już irytacja z powodu używania nazwy „niemieckie obozy zagłady” zdradza inny rys myślenia Niemców – „my sami rozliczamy się z brzemienia naszej winy i nie znosimy, gdy robi to ktoś obcy”.

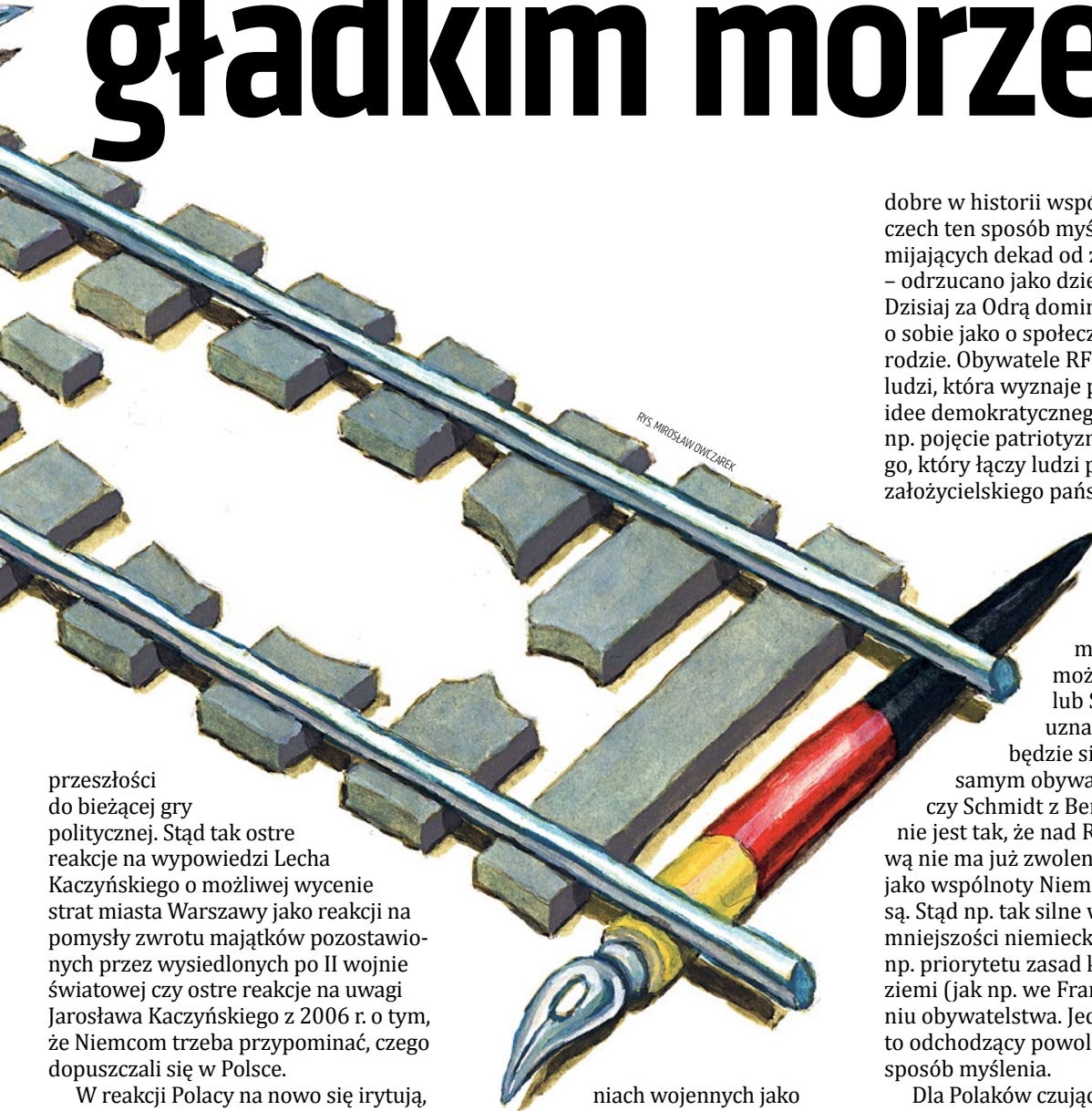
Tutaj już musi nastąpić konflikt. Polacy jako naród ofiar będą reagować, gdy ktoś w RFN – w tym przypadku ZDF – uchyli się od wyrazistych przeprosin. A im bardziej ich wyczulenie się zbywa, tym bardziej przypominają Niemcom – często z niechętną przekorą – „nie zapominajcie, że jesteście wnukami generacji sprawców”.

Rozmowa na ten delikatny temat z niemieckimi dziennikarzami jest niezwykle trudna. Gdy czytają w Internecie opinie Polaków, że Niemcy uchylają się od odpowiedzialności za zbrodnie, reagują gwałtownym sprzeciwem. „Jak można tak pisać, gdy pamięć o zbrodniach jest wyeksponowana w programach szkolnych, gdy ogromne sumy wydaje się na miejsca pamięci w byłych kacetach, gdy istnieją dziesiątki ośrodków dokumentacji zbrodni z lat III Rzeszy – tzw. NS-Dokumentationszentrum”.

To wszystko prawda. Jednocześnie to Niemcy chcą określać granice dyskusji o trwających do dziś konsekwencjach tamtej zbrodni. Dlatego co pewien czas demonstrują wyczulenie na to, co sami uznają za próby włączania wojennej



gładkim morzem



RYŚ MIROSLAW OWICZAREK

przeszłości do bieżącej gry politycznej. Stąd tak ostre reakcje na wypowiedzi Lecha Kaczyńskiego o możliwej wycenie strat miasta Warszawy jako reakcji na pomysły zwrotu majątków pozostawionych przez wysiedlonych po II wojnie światowej czy ostre reakcje na uwagi Jarosława Kaczyńskiego z 2006 r. o tym, że Niemcom trzeba przypominać, czego dopuszczali się w Polsce.

W reakcji Polacy na nowo się irytują, bo są zdania, że nasi sąsiedzi zza Odry to ostatni naród na świecie, który ma prawo oburzać się z powodu przypominania o swych wojennych wyczynach. Taki sam mechanizm zadziałał w Grecji, gdy w czasie dyskusji o zadłużeniu wobec RFN wypomniano Berlinowi śmiesznie małe odszkodowania powojenne. Poirytowana prasa RFN uznała to za naciąganie i granie przeszłością – co jeszcze bardziej rozwścieczyło Greków.

CZY COŚ NAS ŁĄCZY Z DZIADKAMI?

I wreszcie najbardziej czuła sprawa. Tendencja Niemców, by mówić o zbrod-

niach wojennych jako dziele nazizmu, a o sprawcach zbrodni jako o nazistach. W Polsce uznaje się to – niemal wyłącznie – za dowód dość cynicznej chęci wyparcia się zbrodni. Sprawa jest bardziej skomplikowana.

Jest to wynik zupełnie odmiennej postawy do idei wspólnoty, jaki reprezentują Niemcy i jaki dominuje wśród Polaków. Tutaj, nad Wisłą, myślimy o wspólnocie ludzi zamieszkujących nasz kraj w ramach tradycyjnego poczucia narodu, czyli wspólnoty ludzi związanych więzami krwi. Owe więzy krwi to sekwencja pokoleń, które są pośrednio odpowiedzialne za to, co złe i co

dobrze w historii wspólnoty. W Niemczech ten sposób myślenia – w miarę mijających dekad od zakończenia wojny – odrzucano jako dziedzictwo III Rzeszy. Dzisiaj za Odrą dominuje myślenie o sobie jako o społeczeństwie, nie o narodzie. Obywatele RFN mają być grupą ludzi, która wyznaje pewne wspólne idee demokratycznego państwa. Stąd np. pojęcie patriotyzmu konstytucyjnego, który łączy ludzi poprzez kult aktu założycielskiego państwa, i stąd np.

o wiele większa niż w Polsce akceptacja dla masowej imigracji. W ramach tego myślenia można przybyć z Mali lub Somalii, ale jeśli uznaje się zasady RFN, to będzie się z czasem takim samym obywatelem jak Müller czy Schmidt z Berlina. Oczywiście nie jest tak, że nad Renem i nad Szprewą nie ma już zwolenników idei narodu jako wspólnoty Niemców. Owszem, są. Stąd np. tak silne wsparcie CDU dla mniejszości niemieckiej w Polsce czy np. priorytetu zasad krwi, a nie prawa ziemi (jak np. we Francji) w przyznawaniu obywatelstwa. Jednak na razie jest to odchodzący powoli w zapomnienie sposób myślenia.

Dla Polaków czujących się spadkobiercami ofiar Niemców takie podejście budzi skojarzenia z niegdyśszym stosunkiem do zbrodni nazizmu w komunistycznej Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Jeszcze 30 lat temu wielu obywateli NRD uznawało, że państwo robotników i chłopów na tyle wyraźnie zerwało z nazizmem i odwróciło się plecami od niemieckiego militarysty, iż obywatele NRD nie muszą czuć się odpowiedzialni za zbrodnie. Dla Polaków tego typu argument jest absurdem, gdyż znaczna część obywateli NRD żyła w epoce Hitlera, była mu posłuszna i stanowiła trybiki w maszynierii III Rzeszy.



Auschwitz-Birkenau, niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady

■ Młodzi NRD-owcy pytani, czy czują się współodpowiedzialni za obozy koncentracyjne, z dumą kręcili głową: „Jesteśmy spadkobiercami tych, których za swoją walkę z faszyzmem wtrącano do kacetów. Naszym duchowym ojcem jest wódz niemieckich komunistów Ernst Thälmann zakatowany w Buchenwaldzie, a nasz przywódca Honecker przeszedł przez obozy”.

Teraz w RFN taki podświadomy sposób myślenia jest jeszcze łatwiejszy, ponieważ dziś dominują ludzie urodzeni po wojnie. Niemcy żyjący w świadomy sposób w epoce Hitlera to już sędziwi starcy. Wielu przedstawicieli współczesnego pokolenia – choć rzadko wypowiada się tak wprost – uważa, że Republika Federalna odkupiła wszystkie swoje winy, w związku z tym czepianie się Niemiec jest czepianiem się RFN, państwa, które „przepracowało” temat swojej winy.

Czasami z tego „dobrego samopoczucia” wyciągany jest jeszcze bardziej bulwersujący Polaków wniosek: „Skoro my, Niemcy, mamy za sobą straszny przypadek podeptania demokracji, ale »odpracowaliśmy« to, budując wzorcowe państwo demokratyczne – to ciąży na nas obowiązek bicia na alarm, gdy PiS tworzy państwo autorytarne”. Polacy takiej logiki nie rozumiemy, a jak w końcu ją pojmują – wpadają w furję. Jeszcze trzy dekady temu starsze pokolenie wojenne podkreślało bardzo wyraźnie, że zbrodnie to kwestia, która zawsze będzie hańbiła Niemcy i osłabia prawo Niemców do pouczenia innych. Młodzi często nie mają już takich zahamowań. Obozy mogą być tylko nazistowskie.

RAZEM DO WALKI Z KOŁTUNEM!

Sytuację komplikuje dodatkowo to, że stosunek do Niemców stał się znakiem rozpoznawczym w sporach polsko-polskich. Lewica i liberałowie szczycą się „pozbawionym uprzedzeń stosunkiem do Niemiec”, a zwolennicy PiS – czę-

sto na zasadzie przekory – tym chętniej przywołują skalę wojennych zbrodni.

Nieprzypadkowo rzecznik Nowoczesnej, Paweł Rabiej, odpowiadając na post jednego z internautów, przypominającego, że obozy były niemieckie, a nie faszystowskie, kontrował tweetem: „Naziści, nie Niemcy. Na tej samej zasadzie: TK nie zniszczyli Polacy, ale @pisorg i on za to odpowie, a nie Polacy”.

Ryszard Petru uznał, że takie poglądy rozwścieczą Polaków, i zdymisjonował Rabieja, ale ten sposób myślenia ma zaskakująco wielu zwolenników. Dla nich RFN to wzorzec modernizacji, a grzebanie się w narodowej martyrologii to oznaka polskiego szowinizmu.

Najwyraźniej zdefiniował to w grudniu 2015 r. Maciej Stasiński, publicysta „Gazety Wyborczej”: „Niemcy po wojnie to bodaj jedyny w Europie naród i kraj, któremu tożsamość narodowa i interes narodowy zgadzają się z tożsamością i interesem europejskim. Inni mają też ciągle do Niemiec pretensje”. Stasiński zasugerował w swoim tekście, że Niemcom te dwie rzeczywistości – interesu europejskiego i narodowego – zgadzają się najczęściej i najlepiej, więc kto krytykuje Niemcy, ten działa przeciw idei europejskiej

Na swój sposób jest to logiczne. Według tego sposobu myślenia Niemcy są awangardą współczesnych postępowych Europejczyków i tworzą wspólnotę osób, które chcą zerwać z przeszłością i które aktywnie walczą z nietolerancją i nacjonalizmem. I należy uznać, że ta wspólnota „dobrych ludzi” nie dzieli się na Polaków czy Niemców, tylko polaryzuje się wewnątrz tych społeczeństw. Tak samo marksiści uznawali podział klasowy, a nie narodowy.

Są dobrzy i źli Niemcy, tak jak i, do brzy Polacy, którzy np. razem z dobrymi euroobywatelami z Niemiec walczą z nietolerancją i ksenofobią tu i teraz w swoich krajach. W związku z tym dla „dobrego” Tomasza Lisa „dobry” dziennikarz „Die

Zeit” jest bratem, a ci, którzy reprezentują wartości konserwatywne – tak w CSU, AfD czy PiS – są równie wielkim zagrożeniem. Tak jak dla NRD-owskich komunistów polscy komuniści byli znacznie bliżsi niż „odwetowcy Adenauera”.

W tej optyce o wiele ważniejsza niż narodowe rozliczenia wojenne jest lokalna walka z „polskim kołtunem”. I dlatego trzeba mu wypominać „polskie obozy koncentracyjne”, używając tego określenia wobec dziesiątków powojennych obozów NKWD i UB na terenie Polski. I dlatego tygodnik „Newsweek” na swoim portalu oskarżycielsko spyta: „Czy po wyzwoleniu nazistowskich obozów Polacy ponownie je otworzyli?”.

Temu nowemu podziałowi – europo- stępować kontra eurokołtun – sprzyjają postnarodowe trendy polityczne na Zachodzie, stawianie logiki patriotyzmu konstytucyjnego i wspólnoty ideowej nowej zjednoczonej Europy wyżej niż stare tożsamości wspólnoty narodowej. Problem w tym, że zwiastuni odwrotnego trendu – „unarodowienia” polityki pamięci w RFN, tacy jak politycy AfD – wysuwają z kolei hasło zakończenia bicia się w piersi za dawne winy. Lider AfD w Turynii Björn Höcke zaszokował niedawno Niemców narzekaniami, że Niemcy są jedynym narodem, który w centrum swojej stolicy zbudował pomnik wstydu, czyli memoriał Holocaustu, i wezwaniami, by porzucić uznawanie końca wojny za wyzwolenie i na nowo uznać tamten okres za narodową katastrofę.

TRUDNO ZAPOMNIEĆ

Tymczasem w Polsce wciąż mamy zarówno głęboko zakorzenione poczucie niemieckiej winy, jak i silne poczucie narodowej wspólnoty. Powoduje to zderzenia z oboma typami Niemców – „ponowoczesnymi” i „tożsamościowymi”. W innych krajach stosunek do niemieckiej winy nie jest tak ostry. Inne narody albo wywalczyły sobie faktycznie niekwestionowany status ofiar – tak jak Izrael czy Rosja – albo nie cierpiały tak wiele z rąk Niemców w czasie wojny, albo w czasie wojny kolaborowały i same mają „za uszami”.

A Polacy nie pasują do żadnej z tych grup. I dlatego mało kto, oprócz nas, uważa te ostre rafy nad pozornie gładką powierzchnią europejskiego pojednania. To stąd cały ten spór.

Kto zbawi lewicę



Wojciech Wybranowski

Kto mógłby się stać twarzą lewicowo-liberalnej opozycji? Kandydatów jest kilku, ale dziś żaden z nich nie jest w stanie przyciągnąć tłumów

Przyszłoroczne wybory samorządowe dla większości partii i środowisk politycznych będą niezwykle ważną przygrywką przed późniejszymi o rok wyborami parlamentarnymi i europejskimi. Czy wybory wyłonią nowe polityczne gwiazdy, które mogłyby się stać liderami rywalizacji z PiS?

Na prawo od partii Kaczyńskiego sprawa wydaje się jasna – nie ma „życia” poza ruchem Kukiz’15. Rockowy muzyk w szybkim tempie uczy się polityki i radzi sobie w niej coraz lepiej. Jego potencjalni konkurenci – Janusz Korwin-Mikke czy Robert Winnicki z Ruchu Narodowego – nie są dziś w stanie samodzielnie odegrać poważnej roli na scenie politycznej. Mniej oczywista jest za to odpowiedź na pytanie: Kto mógłby na czele „zjednoczonej opozycji” stanąć po lewej stronie sceny? Wizja powrotu Donalda Tuska jako „zbawcy na białym koniu” nie jest oczywista.

– Na Tusku ciąży bardzo poważny bagaż doświadczeń z okresu jego rządów, który sprawia, że wielu Polaków ocenia go źle. Ma za sobą kiepski, nieudany epizod w Europie, który pokazał, że niewiele umie, niewiele robi, na tle europejskich przywódców jest postacią drugoplanową – ocenia dr Jacek Kloczkowski z Ośrodka Myśli Politycznej.

W kolejnych miesiącach będą się pojawiać w mediach i w politycznych rozmowach kandydaci na kandydatów na liderów opozycji. Możemy już zrobić ich krótki przegląd.

RADOMIR SZUMĘŁDA

Wiceszef zarządu głównego Komitetu Obrony Demokracji ma olbrzymie ambicje, by przynajmniej brać udział w politycznym rozdaniu po

lewej stronie. Tydzień temu, podczas spotkania wyborczego wielkopolskiego KOD w Poznaniu, zadeklarował: – Nie możemy wykluczyć, że KOD stanie przed takim wyborem jak Solidarność w 1989 r., że jednak KOD będzie tworzyć komitety wyborcze dla całej opozycji. KOD patronowałby zatem listom wyborczym, na których mogliby się znaleźć politycy PO i Nowoczesnej. Rozmowy dopiero się zaczynają.

Jednak ambicje nie idą w parze z umiejętnościami. W 2011 r. i cztery lata później Szumęłda kandydował na posła z list PO. Bez powodzenia. W 2015 r. odszedł więc z Platformy. W środowisku KOD głośno się mówi, że to on i Jarosław Marciniak mieli stać za wyciekami do mediów faktur kompromitujących Mateusza Kijowskiego. Według naszych informatorów plan był prosty – po publi-

Twitterze, że pewnie wyjedzie z Polski. Dwa lata wcześniej dokonał coming outu – ujawnił, że jest gejem. Niedawno się pochwalił, że w młodości w Trójmieście „tłukł się z ZOMO”, co wywołało falę kpín internautów, którzy szybko obliczyli, że w okresie stanu wojennego miał 10 lat, a gdy upadała komuna – 16.

Szumęłda ma spore szanse odegrać znaczącą rolę w KOD, choć jego przeciwników w organizacji nie brakuje. „Byłam oburzona Pana obecnością na naszych wyborach w Krakowie, nie ufam Panu”, „Radomir, powstrzymaj się od szczania na KOD, ja cię bardzo proszę” – piszą członkowie Komitetu na jego facebookowym profilu.

ROBERT BIEDROŃ

Zadeklarował już, że będzie się ubiegał o drugą kadencję na stanowisku prezydenta Słupska. W licznych wywiadach przekonuje, że do polityki wracać na razie nie zamierza, bo swoją przyszłość wiąże z tym miastem. Jednak ludzie z bliskiego otoczenia Biedronia mówią, że raczej jest to ucieczka do przodu i gest rozpacz, bo choć jeszcze kilka lat temu miał być wielką nadzieją lewicy na przy-

Radomir Szumęłda z KOD ambicje ma duże, ale nie idzie to w parze z politycznymi umiejętnościami. Dwa razy kandydował na posła jako przedstawiciel Platformy. Bez powodzenia

kacjach w mediach chcieli doprowadzić do zawieszenia lidera KOD. Nie wyszło, a Komitet pogrążył się w wewnętrznej wojnie między stronnikami Kijowskiego a zwolennikami „puczystów”.

Aktywność polityczna Szumęłdy to pewna zmiana w jego niedawnych deklaracjach. Jeszcze w lutym 2014 r. – po tym, jak okazało się, że jego koleżdy z PO nie poparli przegłosowanej w Parlamencie Europejskim rezolucji „o stworzeniu unijnego planu działań przeciwko homofobii” – ogłosił na

szłość, to teraz konkretnych politycznych propozycji dla niego nie ma.

– On sam niczego nie stworzy, nie umie, nie interesuje go to. Chętnie by jednak firmował jakiś projekt, wydarzenie, stał się twarzą, pobłyszczal w mediach – mówi „Do Rzeczy” jeden z pomorskich znajomych Biedronia. – Słupsk miał być dla niego trampoliną, ale on się tu dusi, dlatego tak chętnie wyjeżdża.

Jesienią ubiegłego roku Radio Gdańsk ujawniło, że Biedroń zamiast pracować w magistracie na rzecz miasta, podró-

■ żuże po świecie: od początku kadencji łącznie siedem miesięcy spędził w rozjazdach.

Robert Biedroń, założyciel Kampanii Przeciw Homofobii, w polityce odniósł sukces, gdy jako kandydat Ruchu Palikota zdobył w 2011 r. mandat poselski. Trzy lata później, po widowiskowej kampanii, został prezydentem Słupska. Dla środowisk liberalnych i lewicowych wydawał się wtedy idealnym kandydatem na

się jedynie bardziej rozpoznawalnym miastem – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” Przemysław Woś, dziennikarz Radia Gdańsk.

Biedroń rozgłosu musi ostatnio szukać sam. Wrzucił na swój profil na Instagramie fotografię z wyprawy do Malezji, dokąd pojechał z partnerem. Zdjęcie opatrzył podpisem nawiązującym do niedawnej wpadki szefa MSZ: „Pozdrowienia z San Escobar”. Do przyjętej w ubiegłym tygodniu przez

które nie są partiami – jako ewentualnego kandydata lewicy na przyszłego „przywódcę”. Bodnar mógłby się stać dla lewicy atrakcyjnym kandydatem, gdyby polityczna batalia, jak to coraz częściej się dzieje w Europie, dotyczyła głównie kwestii ideologicznych i światopoglądowych.

– A jeśli PiS odwoła pana przed końcem kadencji? – pytam. Po długiej pauzie odpowiada: – Mam nadzieję, że tego nie zrobi. Mam jeszcze trzy lata i siedem



Radomir Szumelda, KOD
FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Robert Biedroń, prezydent Słupska
FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS



Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich
FOT. KAROL SEREWS/EAST NEWS

przyszłego lidera, niemal nie schodził z ławów bliskich tym grupom mediów. Jednak – jak ostrzegało „Do Rzeczy” w reportażu ze Słupska – Biedroń poza PR – jazdą na rowerze, zakazem kupowania wody mineralnej przez urzędników, zakazem wpuszczania do miasta cyrku czy parytetem w nazewnictwie ulic – pomysłu na potężnie zadłużone miasto nie miał. Wymiernym sukcesem było na razie głównie uzyskanie 10 mln zł pomocy od byłego rządu Ewy Kopacz.

– Sytuacja mieszkańców niewiele się zmieniła, gospodarczo miasto nie zyskało, Biedroń podniósł lokalne podatki, czynsze, znaczących ułatwień dla inwestorów nie ma. Słupsk stał

radę miejską „Strategii rozwoju Słupska do 2022 r.” wpisał postulaty dotyczące ideologii gender.

ADAM BODNAR

– Nie ciągnie mnie do polityki. Wiem, że ludzie mówią różne rzeczy, ale mnie to nie kręci. Po zakończeniu kadencji rzecznika praw obywatelskich chciałbym wrócić na uczelnię, zrobić habilitację – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich. I dodaje: – Chciałbym w przyszłości realizować się w strukturach europejskich.

Jego nazwisko coraz częściej się pojawia w kulisach rozmów różnych środowisk lewicowych – najczęściej tych,

miesięcy do końca kadencji i myślę, że ją dokończę.

Niektórzy posłowie PiS rzeczywiście rozważali taką możliwość. Przynajmniej na razie zrezygnowali jednak z tego pomysłu, uznając, że wykreowanie RPO na „męczennika” rządów PiS dałoby mu mocne paliwo startowe w roli ważnego lidera „frontu anti-PiS”.

Bodnara trudno oceniać w kategoriach bieli i czerni. Jako szef Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wszedł m.in. w ostry spór z byłym prezydentem Bronisławem Komorowskim, gdy ten przepychał zmiany w ustawie o zgromadzeniach, poważnie ograniczające prawo obywateli do demonstrowania swoich poglądów. Bronił też wojujących

z rządem Donalda Tuska kibiców piłkarskich. Zajmował się sprawą więzień CIA w Polsce, a jednocześnie lobbował w sprawie legalizacji związków partnerskich i popierał kobiety organizujące czarny protest.

Jako rzecznik praw obywatelskich dość jednoznacznie ustawia się po stronie lewicowo-liberalnej opozycji. Popierał ją w politycznym starciu wokół Trybunału Konstytucyjnego, sprzeciwiał się ekshumacjom ciał ofiar katastrofy

o reelekcję w stolicy Wielkopolski. – Jeśli do wyborów nie zrobi nic kompromitującego, to poprzemy go na drugą kadencję. Dobrze go oceniamy, radzi sobie, jest PR-owo sprawny – opisuje Tomasz Lipiński, poznański radny z klubu PO.

Niektórzy mówią, że polityczny PR to główna cecha Jaśkowiaka, bo „dobrze wygląda z oddali, a z bliska widać pustkę”. Dlatego ponoć bardziej cenią go centralne władze PO, które chciałyby z niego zrobić „nową, lepszą HGW”.

też funduje ideologiczną rewolucję. Nie pojawił się na obchodach najważniejszego dla mieszkańców święta – rocznicy powstania wielkopolskiego. Regularnie bywa za to na demonstracjach KOD i organizacji opozycyjnych. Wystąpił również na Paradzie Równości. Kiedy „Rzeczpospolita” i Onet ujawniły manipulacje finansowe w KOD, wsparł tę organizację. – Życzę państwu, byście potrafili pokonać te wszystkie przeszkody i umieli ze sobą współpracować. Bo KOD jest bardzo potrzebny Polsce – mówił wówczas.

Jacek Jaśkowiak z pieniędzy publicznych wsparł też sympatyczną KOD Krystynę Jandę, ostro krytykującą rząd. Kiedy jej teatr nie otrzymał publicznego dofinansowania, podpisał z nią umowę. Dzięki niej z miejskich pieniędzy otrzymała co najmniej 150 tys. zł za spektakle, które przez tydzień wystawiała na dziedzińcu urzędu miasta.

ADRIAN ZANDBERG

Lider partii Razem mimo popularności w mediach społecznościowych i wśród młodzieży szanse na stanie się twarzą „antypisowskiego oporu” ma najmniejsze. Głośno jest o nim głównie za sprawą radykalnych wypowiedzi („Bury» to zbrodniarz, nie bohater”, „Chłopi nie otrzymali odszkodowania za pańszczyznę”).

Zainteresowanie internautów nie przekłada się jednak na ewentualne poparcie. W opublikowanym na początku stycznia pierwszym sondażu prezydenckim zrealizowanym przez Pollster dla „Super Expressu” Zandberg zdobył poniżej 1 proc. Radykalny socjalista jest niewygodny również dla lewicowego i liberalnego mainstreamu.

– To, czy Zandberg będzie się liczył w polityce, zależy głównie od zimnej kalkulacji elit lewicowo-liberalnych: czy opłaci im się wystawienie, popieranie i lansowanie w bliskim im mediach kogoś, kto zablokuje SLD, który ma i tak coraz bardziej rachityczne struktury i gasnące poparcie – uważa prof. Rafał Chwedoruk.

Na razie młody historyk i przedsiębiorca w polityce gra samodzielnie. Krytykuje PiS, ale nie zawsze mówi jednym głosem z KOD, PO i Nowoczesną, jednak jego ugrupowanie chętnie współpracuje z innymi niszowymi organizacjami, m.in. feministycznymi (choćby przy czarnym proteście).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania

FOT. STANISŁAW KOŹDROŹEK/EAST NEWS



Adrian Zandberg, partia Razem

FOT. MARIUSZ KAPALA/EAST NEWS

smoleńskiej. Z jego biura wyszły też materiały, które posłużyły Komitetowi Praw Człowieka ONZ do przygotowania kuriozalnego raportu oskarżającego Polskę o łamanie międzynarodowych standardów praw człowieka.

JACEK JAŚKOWIAK

Przeciwnicy prezydenta Poznania, których w mieście przybywa z tygodnia na tydzień, złośliwie nazywają go „Tęczowym Jackiem”. Zwolennicy, których również mu nie brakuje, mówią o nim jako o przyszłej nadziei liberalnej lewicy. W Platformie, której jest członkiem, niemal pewne jest, że trafi do wielkiej polityki. Chociaż może nie tak prędko – zadeklarował już, że będzie się ubiegać

– Jacek co prawda opowiada, że po prezydenturze chciałby ponownie zająć się swoją firmą, ale widać, że ma pomysł na siebie. Mam nadzieję, że w końcu sobie od nas pójdzie – nie kryje emocji inny poznański radny Platformy.

Poznań, którego rozwój spowolnił już za czasów Ryszarda Grobelnego, za Jaśkowiaka niemal stanął w miejscu. Kierowcy narzekają na korki w mieście, pasażerowie na fatalną komunikację, wszyscy na sypiące się, coraz bardziej zapuszczone centrum miasta, główne ulice przechodzące „ewolucję wsteczną”. Jaśkowiak, który zasłynął tym, że jako menedżer Jacka Kaczmarskiego przekonał go do odejścia od patriotycznych utworów na rzecz filozoficznych, miastu

**Z Wiesławem Johannem,
sędzią Trybunału
Konstytucyjnego
w stanie spoczynku,
przedstawicielem
prezydenta w Krajowej
Radzie Sądownictwa**

rozmawia Łukasz Zboralski



ŁUKASZ ZBORALSKI: Jak pan ocenia reformę sądownictwa, którą proponuje Ministerstwo Sprawiedliwości?

WIESŁAW JOHANN: Na razie słyszę tylko hasła, nie ma projektów ustaw, poza dwoma, z którymi się już zapoznałem, czyli projektem zmian w ustawie o Krajowej Radzie Sądownictwa i projektem zmian w ustawie dotyczącej szkoły prokuratorsko-sędziowskiej w Krakowie.

To jak się panu podoba nowelizacja dotycząca Krajowej Rady Sądownictwa?

Nowelizacja zakłada, że prezydent będzie np. powoływał sędziów spośród dwóch lub więcej kandydatów. To dziwaczne rozwiązanie, wychodzące poza granice konstytucji.

Ta zmiana przewiduje, że kandydatów do KRS będzie wybierał parlament. No i że będą dwie izby. Jedna z udziałem prezesa NSA, osoby od prezydenta, posłów i senatorów oraz druga, w której skład wejdą sędziowie wszystkich szczebli zgłaszanych przez kluby poselskie.

Nie wiem, jaki to ma sens. Nie będzie to bowiem ani izba wyższa, ani niższa. W tej nowelizacji brak właściwości jednego i drugiego zgromadzenia. Jedno ma być takie zacne, składające się z przedstawiciela prezydenta, I prezesa Sądu Najwyższego, ministra sprawiedliwości, prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego, czterech posłów i dwóch senatorów oraz czterech sędziów.

Czy taki sposób wyboru sędziów zaszkodziłby w jakiś sposób Krajowej Radzie Sądownictwa?

Przede wszystkim przygotowując takie nowelizacje, np. dotyczącą Krajowej Rady Sądownictwa, wypadałoby tę radę zapytać, czy zmiany są potrzebne, jakie jest jej stanowisko. Tymczasem właśnie wpłynął do KRS projekt tych zmian, a czas na zajęcie stanowiska to kilka dni. Następne posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa jest dopiero w lutym, a nad takim problemem trzeba

Sędziów należy potraktować poważnie



FOT. DAREK GOLIŃSKI/FOCUS

się zastanowić. Moim zdaniem zespół, który w ministerstwie przygotowywał taki projekt, powinien wcześniej zapytać sędziów, niekoniecznie KRS, ale środowisko sędziowskie. Tymczasem to się robi w zaciszu gabinetu. I może propozycje są słuszne, może nie, ale warto nad nimi podyskutować, a nie przesyłać ad hoc.

Niektóre osoby ze środowiska sędziowskiego twierdzą, że wybór dokonywany przez parlament to złe rozwiązanie.

Oczywiście, że tak.

Dlaczego?

Krajowa Rada Sądownictwa jest to organ konstytucyjny. Ma reprezentować i stać na straży wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Środowisko powinno mieć wpływ na to, kto w Krajowej Radzie Sądownictwa zasiada.

Nie jest jednak tak, że samo środowisko sędziowskie nie pomaga w tej sprawie? Czy można na nim polegać, skoro np. nie potrafi samo się oczyścić – żeby wspomnieć choćby słabe działania w sprawach dyscyplinarnych sędziów?

Żadne środowisko nie może o sobie powiedzieć, że jest kryształowo czyste. Wszędzie zdarzają się czarne owce. Znam sądy od wielu lat. Są znakomici sędziowie i są sędziowie średniej klasy. Są i tacy, którzy po prostu traktują sąd na zasadach pewnej zapchajdziury. Charakterystyczny jest pewien okres, gdy mieliśmy dużo kobiet w sądach. Nie mam nic przeciw sędziom kobietom, są znakomite, wspaniałe. Tylko w mojej ocenie praca wielu pań nie była efektywna. Tak sobie układały program zajęć, że miały jedną lub dwie sesje w tygodniu, kolejny dzień to dyżur, a cztery dni opiekowały się domem i dziećmi.

Nie chcę się wypowiadać na temat środowiska, bo nie czuję się upoważniony. I nie nazwę go tak, jak jedna z sędziów, że to „nadzwyczajna kasta”. Ponieważ nią nie jest. To są ludzie, którzy mają wymierzać sprawiedliwość w imieniu Rzeczypospolitej. I tyle. Natomiast traktujemy to środowisko poważnie. I w przypadku wprowadzania zmian trzeba po prostu z tym środowiskiem pogadać. Moim zdaniem w resorcie nie ma wielu praktyków, to urzędnicy. A to jest ciężka robota. Prawo do sądu jest podstawowym prawem obywatela, za pomocą którego może on walczyć o swoje prawa i wolności obywatelskie. To jest szalenie odpowiedzialna sprawa.

No właśnie. Czy pomysł, żeby losować sędziów do spraw, aby minimalizować ryzyko, że będą one przekazywane konkretnym osobom, to nie jest dobre rozwiązanie w tej ważnej dla obywateli sferze?

Znów odpowiem: może tak, a może nie. Są przecież różnego rodzaju sprawy i są różni sędziowie – z mniejszym i większym doświadczeniem. Przychodzi 20-tomowa sprawa do sądu z aktem oskarżenia i tę sprawę będzie miał rozpatrywać wylosowany sędzia, który pełni funkcję od pół roku?

Moim zdaniem, gdy zaczyna pełnić funkcję, powinien być przygotowany do zawodu. Może raczej należy dodatkowo rozwiązać problem z kształceniem kadr?

Może system szkolenia nie jest najlepszy, może trzeba go zmienić, by sędziowie byli dobrze przygotowani do zawodu zarówno teoretycznie, jak i praktycznie. Czy kształcenie jednak załatwi ten problem? Dałem panu

Pokutuje u nas zdanie wypowiedziane przez prof. Strzembosza: „Środowisko sędziowskie samo się oczyści”. Nie, ono się nie oczyściło

przykład – gdy trudną i dużą sprawę dostanie sędzia z niewielkim doświadczeniem.

Poza tym są sędziowie specjaliści od spraw gospodarczych, są od spraw kryminalnych, którzy mają swoje działki w jednym palcu. Można zatem skład sędziowski losować, tak jak dziś to jest z ławnikami. Trzeba by jednak sprawdzić, jak by to wyglądało w praktyce, czy to będzie najlepsza metoda.

Niektóre z ministerialnych propozycji zostały już właśnie w praktyce zbadane, np. system informatyczny sprawdzający obciążenie sędziów pracą. To działa w innych krajach.

I co z tego, że ministerstwo wie, jak sędziowie są obciążeni? Jeśli się ma wiedzę o patologii, to trzeba jeszcze z tą patologią skutecznie walczyć.

Inną patologią jest przewlekłość postępowań. Czy pomysł karania adwokatów może ten problem rozwiązać?

To jest bolączka wymiaru sprawiedliwości od lat. I na tę przewlekłość postę-

powań ogromny wpływ mają adwokaci. Jeśli przychodzi adwokat i przedstawia np. świadectwo swojej choroby, to co sędzia ma zrobić? Przypomnę, że adwokata można ukarać na takich zasadach, jakie przewiduje ustawa o adwokaturze. Ten, który uchyla godności zawodu – a celowe przewlekanie postępowań takim zachowaniem zapewne jest – staje przed swoją komisją dyscyplinarną lub sądem dyscyplinarnym i odpowiada. Jakoś można było karać adwokatów w czasach komunizmu. Sam byłem zresztą karany za to, że na widzeniu podawałem więźniom politycznym kanapki, bo uznano to za czyn naruszający godność adwokata.

Z karaniem przez środowisko mamy jednak problem. I stąd, jak sądzę, pomysł, by instytucję zajmującą się sprawami dyscyplinarnymi dla sędziów sytuować przy Sądzie Najwyższym z prezesem powoływanym przez prezydenta. I żeby minister miał prawo powoływać konkretnych rzeczników dyscyplinarnych...

Oczywiście, mamy problem. Odnoszę jednak wrażenie, że ministerstwo chce trochę rozszerzyć swoje kompetencje. Proszę jednak pamiętać, że sądy są niezależne, a sędziowie niezawisli. I nikt tej zasady konstytucyjnej nie zmienia.

Pokutuje u nas to nieszczęsne zdanie, które swego czasu wypowiedział prof. Adam Strzembosz, I prezes Sądu Najwyższego: „Środowisko sędziowskie samo się oczyści”. Nie, ono się nie oczyściło i ponosimy tego konsekwencje. Jednak nie powinno tego robić ministerstwo. Wszystkie korporacje zawodowe, w których zapisane są zasady etyki i wykonywania zawodu, mają swoje zasady dotyczące odpowiedzialności.

A pomysł, by zamiast sądów rejonowych, okręgowych i apelacyjnych były tylko dwie struktury, jest dobry?

Według mnie zniesienie najniższych sądów może przynieść efekt. Co by to oznaczało jeszcze? Że będziemy mieli dwa poziomy sądy np. okręgowe i apelacyjne. I te niższe sądy będą rozpatrywały też drobne sprawy, które rozpatrują dziś sądy rejonowe. I znów będzie problem, czy ten sąd podzielić na wydziały zgodnie z zasadami wynikającymi z kodeksu postępowania karnego czy tworzyć inną metodę. Jednoznacznego poglądu w tej sprawie nie mam, choć myślę, że spłaszczenie struktur nie byłoby takie złe.



Kamila Baranowska

Do ludowców dotarło, że bycie częścią totalnej opozycji obok PO i Nowoczesnej to droga donikąd. Postanowili złagodzić kurs i na razie dobrze na tym wychodzą

Gdy główne partie opozycyjne liżą rany po wizerunkowej kłapie, jaką okazała się trwająca kilka tygodni okupacja sali sejmowej, politycy PSL są w wyśmienitych nastrojach. – Chwytny wiatr w żagle – śmieje się jeden z posłów, gdy pytamy go, co słychać w partii.

PSL wraz z klubem Kukiz'15 to jedyne partie opozycyjne, które z niedawnego kryzysu parlamentarnego wyszły obronną ręką. To one nawoływały do kompromisu, wyciszania emocji, to ich liderzy brali udział w negocjacjach, proponując konkretne rozwiązania, które miały zakończyć okupację sali sejmowej przez Platformę i Nowoczesną. I – jak się okazało – to ten koncyliacyjny przekaz trafił idealnie w oczekiwania społeczne.

Dobrze pokazuje to ostatnie badanie CBOS. Wynika z niego, że aż 62 proc. badanych uznało blokowanie przez posłów sali plenarnej Sejmu za niedopuszczalne. Do tego aż 48 proc. stwierdziło, że nie utożsamia się z żadną ze stron trwającego obecnie sporu politycznego. Reszta to tzw. twarde elektoraty PiS i anty-PiS. Wyborcy PSL deklarują neutralność.

Chociaż większość badanych przez CBOS zgadza się z opinią, że PiS nadużywa władzy, to co drugi respondent uważa, iż opozycja chce doprowadzić do obalenia legalnie wybranych władz.

Ponad dwie piąte badanych kwestionuje pogląd, że motywem działania opozycji jest troska o stan demokracji i praworządność, ponad połowa (52 proc.) sądzi, iż przeciw działaniom obozu rządzącego protestują głównie ludzie, którzy zostali pozbawieni władzy i przywilejów.

Badania te pokazują, jak bardzo Platforma i Nowoczesna rozminęły się z rzeczywistością, okupując przez kilka tygodni Sejm. I tłumaczą, dlaczego PSL zapunktowało swoim nagłym zwrotem (w ostatnim sondażu partia zanotowała wzrost o 3 punkty procentowe). Widać, że

FOT. BEZ DUDK / FORUM

Czas koniczyzny

ludowcy postanowili pójść za przykładem klubu Kukiz'15, który nie uczestniczy w politycznej awanturze i w większości sporów staje z boku. Biorąc pod uwagę, że Kukiz'15 nieźle stoi w sondażach, ta taktyka może się okazać słuszną.

NARÓD NAS PRZEKONAŁ

Zwłaszcza że przez ostatni rok PSL znajdowało się na politycznym marginesie. W sytuacji eskalacji politycznego sporu i rozbijania emocji do granic możliwości lider ludowców, Władysław Kosiniak-Kamysz, był dla najzagorzalszych przeciwników PiS zbyt mało radykalny. Po stronie opozycji ton nadawali rywalizujący ze sobą Petru i Schetyna oraz stojący na czele Komitetu Obrony Demokracji Mateusz Kijowski. Co prawda lider PSL chodził na marsze KOD, przystąpił do koalicji Wolność, Równość, Demokracja, która miała być wspólnym frontem przeciwko PiS, i mówił jednym głosem z opozycją, ale niewiele z tego dla partii wynikało.

Także ostatnim razem PSL początkowo ramię w ramię z Platformą i Nowoczesną okupowało salę sejmową, by niespodziewanie po kilku dniach zawiesić protest. Złośliwi komentowali, że ludowcy nie chcieli po prostu spędzać świąt Bożego Narodzenia w Sejmie, a przy tak małym klubie (16 posłów) właściwie wszyscy musieliby siedzieć w Warszawie. – Zrezygnowaliśmy w momencie, gdy PiS zrealizował nasz główny postulat, czyli przywrócił stare zasady pracy dziennikarzy w Sejmie. Nie było sensu protestować dla samego protestowania – tłumaczył lider ludowców.

Następnie świetnie wszedł w buty zatroskanego polityka, który przywołuje swoich kolegów z innych partii do rozsądku, apeluje o kompromis i nie- eskalowanie emocji. Znowu pełno go było w mediach.

– PSL zawsze było partią zgody i zdrowego rozsądku. W sporze o Trybunał Konstytucyjny też zaproponowaliśmy konkretne kompromisowe rozwiązanie, a nasz prezes w przeciwieństwie do innych polityków opozycji nie uchylał się od negocjacji z PiS, mających doprowadzić do zakończenia tamtego sporu – przypomina Piotr Zgorzelski, poseł PSL i sekretarz partii.

Grzegorz Schetyna miał być wściekły, gdy dowiedział się o „zdradzie PSL”. Próbował przekonywać ludowców, by nie rezygnowali z okupacji Sejmu. – Nasza

koalicja z Platformą skończyła się w październiku ubiegłego roku – odpowiada Zgorzelski. – W okresie okołoswiąteczno-noworocznym mieliśmy liczne spotkania z ludźmi w terenie i to oni nam uświadomili, jak są odbierane okupacja Sejmu i inne tego typu pomysły. Naród nas przekonał. PSL postanowiło iść własną drogą – wyjaśnia.

Nie zmienia to faktu, że PSL znajduje się w sytuacji niełatwej. Z jednej strony jest obciążone ośmioletnimi rządami, które ich wyborcy z prowincji oraz terenów wiejskich bardzo źle wspominają, i chcąc ich jakoś udobruchać, Stronnictwo musi stanowczo odciąć się od Platformy. Z drugiej strony, jeśli zbyt mocno zbliży się do PiS, to zostanie przez nie połączony. Musi więc mocno lawirować. – To nieustanne balansowanie na linie – przyznaje Kosiniak-Kamysz. – Nie będziemy w opozycji totalnej, ale musimy zachować swoją podmiotowość. To bardzo ważne – dodaje.

WALKA O WIEŚ

W walce o podmiotowość paradoksalnie najbardziej pomaga dziś ludowcom sam PiS. Ostatnie propozycje zmian w ordynacji wyborczej (ograniczenie kadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów miast do dwóch kadencji), ustawa dotycząca zarządzania wojewódzkimi funduszami ochrony środowiska (większa kontrola resortu środowiska kosztem sejmików), a wcześniej odebranie marszałkom władzy nad ośrodkami doradztwa rolniczego (na rzecz resortu rolnictwa) aktywizują samorządowców przeciwko PiS. – I to nie tylko tych z PSL – zaznacza Kosiniak-Kamysz. – Nawet marszałek województwa podkarpackiego Władysław Ortyl z PiS podpisał się pod uchwałami Konwentu Marszałków przeciwko zmianom w zarządzaniu funduszami ochrony środowiska. Nie wspominając o tym, jak zawyli wójtowie i burmistrzowie związani z PiS, gdy usłyszeli o pomysłe majstrowania przy ordynacji – mówi. – Zamiast ograniczać kadencje włodarzom miast i gmin, wystarczy wprowadzić lepsze mechanizmy kontrolne: zwiększyć rolę rad oraz wprowadzić skuteczny sposób odwołania złego gospodarza w trakcie kadencji. Dzisiaj w przypadku referendum lokalnego próg frekwencyjny jest często nie do przejścia. Dlaczego go zatem nie obniżyć albo całkiem nie zlikwidować? – pyta Piotr Zgorzelski. I dodaje, że na zmianach,

które chce wprowadzić PiS, ludowcy raczej nie stracą, bo nawet jeśli ich wójtowie i burmistrzowie nie będą mogli ponownie kandydować, to wzmocnią listy do rad gmin, powiatów i sejmików.

PRZEBUDZENIE

Politycy PSL przyznają, że aktywność PiS obudziła z letargu ich struktury lokalne. – Ludzie w terenie są tak wkurzeni, że aż miło popatrzeć. Nareszcie jest bojowość, a była ospałość – śmieje się jeden z posłów. W dodatku PSL dostał na tacy gotową narrację – już słyszymy o centralizacji władzy, wykańczaniu Polski lokalnej, niszczeniu sukcesu, jakim była decentralizacja itd. – Temat Trybunału z punktu widzenia „małych ojczyzn” był odległy i niezrozumiały, a sprawy samorządu dotyczą 2,5 tys. gmin w Polsce i to bardziej do ludzi trafia – zauważa Kosiniak-Kamysz.

PSL zamierza kuć żelazo, póki gorące, i zaważyć o Polskę lokalną w wyborach samorządowych. Od marca lider Stronnictwa rusza w objazd po wszystkich 85 sejmikowych okręgach wyborczych, w każdym z nich odbędzie się regionalna konwencja partii. Trwają też prace nad przygotowaniem całonocnego programu rolnego dla każdego województwa, będzie przedstawiany jako merytoryczna kontrola dla pomysłów PiS. Ludowcy wsparli też głośny protest gmin, które sprzeciwiają się włączeniu ich w granice administracyjne Opola. Lider PSL na bieżąco spotyka się z ich mieszkańcami.

Wyборы samorządowe to dla PSL ważny sprawdzian. W poprzednich, które wzbudziły wiele kontrowersji ze względu na wprowadzające w błąd karty do głosowania, PSL uzyskało rekordowy wynik 23,88 proc. Pozwoliło to ludowcom współrządzić wraz z Platformą w 15 sejmikach (na 16), blokując skutecznie PiS, który wybory do sejmików nieznacznie wygrał (PiS – 26,89 proc., PO – 26,29 proc.).

Niewielkie są szanse na to, że ludowcom uda się powtórzyć tak dobry wynik. Na pewno jednak zrobią wiele, by nie utracić władzy w sejmikach. W nieoficjalnych rozmowach politycy PSL nie wykluczają ewentualnych koalicji z PiS i wprost mówią, że trwanie po stronie opozycji totalnej mogłoby uniemożliwić jakąkolwiek formę przyszłej współpracy. – Mamy aż dwa lata do wyborów, nie dam się dzisiaj wciągnąć w żadne spekulacje – kończy Kosiniak-Kamysz.



Z Konstantym Radziwiłłem,
ministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Prawo do leczenia ma mieć każdy



FOT. JERZY DUBOK/FORUM

KATARZYNA PINKOSZ: Trzęsienie ziemi w Ministerstwie Zdrowia – tak mówi się o odejściu dwóch wiceministrów i powołaniu Józefa Szczurek-Żelazko na nową wiceminister. Resort jest krytykowany za zbyt powolne wprowadzanie zmian w służbie zdrowia i kontrowersyjne pomysły. Ostatnio odrzucony w komisji sejmowej został projekt „apteka dla aptekarza”. Czy zmiany personalne oznaczają zmianę kierunku reform, które zamierza wprowadzić Ministerstwo Zdrowia?

KONSTANTY RADZIWIŁŁ: Nie ma trzęsienia ziemi, jest ewolucja. Projekt był poselski, a my wyłącznie go recenzowaliśmy. Nowe spojrzenie na obecne prace zawsze jest wartością dodaną, ale te zmiany oznaczają raczej wsparcie tego kierunku, który – jak przypominam – jest realizacją programu wyborczego PiS. Zmiany muszą być prze-myślane, szerokie konsultacje z przedstawicielami całego systemu, które stają się

już wizytówką naszej pracy, wymagają czasu. Nasi krytykanci to przede wszystkim osoby, które przez osiem lat nie wykorzystały tego czasu zbyt aktywnie, żeby wręcz nie powiedzieć, że wykorzystały go źle. Dziwi mnie więc krytyka z ich strony czy namawianie do pośpiechu.

Według zapowiedzi pani premier wkraczamy w decydujący etap reformy zdrowia. Czy w 2017 r. nie będziemy musieli czekać kilka miesięcy na wizytę u kardiologa, a rok na rehabilitację?

Mam pełną świadomość, że pacjenci już dziś oczekują efektywnego działania służby zdrowia, a najbardziej dokuczliwy jest dla nich problem kolejek i zawłośc systemu opieki zdrowotnej. Wiele rzeczy już się zmienia. Do tej pory pacjenci sami byli „organizatorami” swojej opieki zdrowotnej. Taka sytuacja jest nie do przyjęcia,

dlatego wprowadzamy tzw. opiekę koordynowaną – np. pacjent, który trafi z zawałem serca do szpitala, po wyjściu z niego będzie miał zapewnioną dalszą opiekę. Szpital zorganizuje mu wizytę u kardiologa i rehabilitację. Chory nie będzie musiał sam szukać dla siebie kardiologa ani miejsca, gdzie są mniejsze kolejki. Podobne zasady będą stosowane po niektórych operacjach ortopedycznych np. po wszczepieniu endoprotezy stawu biodrowego, gdy konieczna jest intensywna rehabilitacja. Dzisiaj pacjent sam jej szuka i – jeśli nie jest w stanie opłacić za własne pieniądze – często czeka wiele miesięcy. Możemy to wręcz zniweczyć skutki operacji. Zmieniamy to tak, że szpital będzie zobligowany do zapewnienia rehabilitacji „w pakiecie”.

Mówi pan: „będzie”. Kiedy?

Zmiany wprowadzamy już teraz, od stycznia. Szpitale, które zapewnią takie „pakiety”, dostaną więcej pieniędzy. Pacjent, który ze względu na stan zdrowia po szpitalu musi być leczony w poradni, będzie do niej zapisany od razu. Nie będzie czekać.

A kiedy skrócą się kolejki do specjalistów dla tych osób, które nie były w szpitalu z powodu zawału czy operacji?

Ważne zmiany czekają nas dzięki ustawie o Podstawowej Opiece Zdrowotnej (POZ), która ma wejść w życie w lipcu tego roku. Lekarz rodzinny będzie bardziej odpowiedzialny za to, by swoim pacjentom zorganizować konsultację u lekarza specjalisty, jeśli to będzie konieczne. Przede wszystkim jednak chcemy zachęcić – także finansowo – lekarzy pierwszego kontaktu, by częściej leczyli u swoich pacjentów choroby o stabilnym przebiegu. Tak jest w wielu krajach. Generalnie trzeba przyjąć zasadę, że specjalista jest potrzebny wtedy, gdy z pacjentem dzieje się coś, z czym nie może sobie poradzić lekarz rodzinny.

W Polsce jest stosowana praktyka, że pacjenci mogący z powodzeniem być leczeni przez lekarzy rodzinnych, są od razu kierowani do specjalistów. Nie jest to korzystne chociażby dlatego, że może dojść do niebezpiecznych interakcji pomiędzy lekami zapisywanymi przez różnych specjalistów. Chcemy promować taki sposób leczenia, żeby lekarz rodzinny koordynował opiekę nad chorym w stanie stabilnym, a do konkretnego specjalisty kierował go tylko wtedy, gdy wymaga dodatkowej pomocy bardziej kompetentnego w danej dziedzinie lekarza. Recepty dla chorych w stabilnym stanie będzie mogła wystawiać pielęgniarka POZ.

Trudno uwierzyć, że lekarz pierwszego kontaktu będzie tak dobrze leczyć choroby skóry, oczu, serce jak dermatolog, okulista czy kardiolog.

To bardzo delikatna sprawa. Wielu lekarzy POZ nie podejmuje się leczenia tych chorób nie dlatego, że nie potrafi, tylko dlatego, że system zachęcał ich do kierowania pacjentów do specjalistów. Oczywiście każdy lekarz musi sam stwierdzić, gdzie są granice jego kompetencji, jednak zapewniam, że lekarze specjaliści medycyny rodzinnej są przygotowani do leczenia wielu schorzeń, którymi dziś zajmują się lekarze innych specjalizacji. Wytyczne WHO mówią, że ok. 80 proc. potrzeb zdrowotnych powinno być leczonych w Podstawowej Opiece Zdrowotnej.

Z drugiej strony pacjenci sami nie wiedzą, czego mogą oczekiwać od lekarza pierwszego kontaktu.

Oczekują leczenia przeziębienia i grypy...

Tak, jednak lekarz POZ to nie jest tylko „lekarz od przeziębienia” i lekarz „od skierowań”. Jest wszechstronnie wykształcony i powinien nieustannie się dokształcać.

Musimy powoli przyzwyczajać się do tego, że taki model jest bezpieczny, a z wyższych poziomów opieki należy korzystać tylko wtedy, gdy to konieczne. Nigdy nie będzie tak wielu lekarzy specjalistów, by leczyli się u nich wszyscy chorzy z nadciśnieniem, niedokrwinną chorobą serca, cukrzycą typu 2 czy niedoczynnością tarczycy. Świetnie poradzi sobie z tymi dolegliwościami lekarz rodzinny.

Zapowiada pan likwidację NFZ i powołanie Narodowej Służby Zdrowia. Po co ta zmiana?

Obecnie ok. 7 proc. Polaków ma status nieubezpieczonych, a więc nieuprawnionych do leczenia się w publicznym systemie służby zdrowia. Istotą zmiany jest powszechny dostęp do służby zdrowia. NFZ jest instytucją ubezpieczenia zdrowotnego, a skoro znika pojęcie „ubezpieczenia zdrowotnego”, to znika też instytucja, która rządzi tym systemem.

Przejdziemy na powszechne uprawnienie do leczenia. Bezpośrednio państwo – a nie instytucja ubezpieczenia zdrowotnego – będzie odpowiedzialne za leczenie. Zadania NFZ przejmie administracja państwowa. W praktyce wyraźnie zmieni się sytuacja osób do tej pory nieubezpieczonych – często biednych – które obawiały się, że w przypadku zachorowania nie zostaną przyjęte do szpitala albo będą obciążone kosztami. Dodatkowo zniknie potrzeba krążenia dużej części pieniędzy pomiędzy ZUS a NFZ, które na tej drodze topnieją. Nie trzeba też będzie wydawać pieniędzy na sprawdzanie, czy pacjent jest ubezpieczony.

Niedawno zmarły poseł Tomasz Kalita walczył o legalizację marihuany medycznej. Dlaczego ministerstwo tak się przed nią broni?

Nie ma czegoś takiego jak marihuana medyczna. Są jedynie niezbyt mocne dane, że pochodne marihuany mogłyby mieć zastosowanie w leczeniu. Jednak medycyna opiera się na solidnych wynikach badań naukowych. Dlatego dopiero wtedy, gdy zostanie udowodnione, że jakaś substancja jest skuteczna i bezpieczna, można ją uznać za lek i finansować. Marihuana takiego

statusu nie ma. Wiele autorytetów medycznych wypowiada się jednoznacznie: nie ma żadnych dowodów, by marihuana była lekiem w jakiegokolwiek chorobie onkologicznej lub innej. Jeśli ktoś twierdzi, że marihuana leczy, to mija się z prawdą.

Może jednak znosić ból...

Jest nieco doniesień, że może nieznacznie poprawiać komfort w niektórych chorobach, np. w leczeniu bólu, depresji – jednak dowody na to są słabe w porównaniu z powszechnie stosowanymi lekami o udokumentowanym działaniu. Dlatego, jeśli w ogóle można ją brać pod uwagę, to tylko w ramach tzw. terapii eksperymentalnej. Ponieważ wokół marihuany narosło dużo nadziei, już od ponad roku możliwe jest sprowadzanie jej dla tej grupy pacjentów, dla których wnioskuje o to lekarze prowadzący. Pacjenci z padaczką lekooporną dostają preparaty sporządzone z marihuany za darmo. To głównie dzieci. Kilkadziesiąt osób w skali Polski. Nie jest więc tak, że miliony pacjentów czekają na preparaty marihuanopochodne.

Marihuana jest narkotykiem, z którym wiąże się niebezpieczeństwa. Cały obrót musi być poddany ścisłemu nadzorowi, tak jak w przypadku morfiny. W związku z tym uważam, że można dopuścić projekt, który dziś jest rozpatrywany w podkomisji sejmowej, żeby potraktować susz, olej i inne preparaty z konopi indyjskich jako surowce farmaceutyczne oraz dopuścić ich stosowanie na receptę. Natomiast nie widzę potrzeby dopuszczania możliwości uprawy konopi indyjskich w Polsce.

Niektóre pana sukcesy, jak choćby wprowadzenie dla dzieci szczepionek przeciw pneumokokom, są krytykowane: że został wybrany gorszy preparat, spoza UE, który nie chroni przed wszystkimi szczepami tych bakterii.

Dzięki wprowadzeniu tych szczepionek uda się uratować wiele osób od śmierci oraz ciężkiego kalectwa. Szczepionki, które kupiliśmy, pochodzą z Francji i Belgii i są z powodzeniem stosowane w krajach Europy Zachodniej! Produkuje je jedna z wiodących firm, która dostarcza wielu innych leków na polski rynek i nikt nie ma wątpliwości co do ich jakości czy bezpieczeństwa. Tak samo jest w tym przypadku. Koszt szczepionek przeciwko pneumokokom wyniósł 104 mln zł. To ogromne pieniądze, wydane w mądry sposób, z niepodważalnymi korzyściami dla zdrowia całego społeczeństwa.



Tomasz P. Terlikowski

Objęcie przez abp. Marka Jędraszewskiego urzędu metropolity krakowskiego świadczy o tym, że okres „wiecznego pokoju” i kultu świętego spokoju w Kościele dobiega końca

W kurialnych gabinetach Krakowa już się zagotowało, obaw – w prywatnych rozmowach – nie kryją także dziennikarze „Tygodnika Powszechnego” czy osoby związane ze „Znakiem”. Nowy arcybiskup jest dla nich symbolem tego wszystkiego, z czym zawsze walczyli: tradycyjnego katolicyzmu, przywiązanego do katolickiej moralności i nieobawiającego się walki ze współczesnymi zagrożeniami. Arcybiskup Jędraszewski nigdy też specjalnie nie ukrywał, że uważa, iż działalność niektórych krakowskich środowisk intelektualnych szkodzi Kościołowi. Wszystko to może oznaczać sporą rewolucję w zastanym środowisku Krakowa. A jeśli do tego dodać to, że nowy metropolita pochodzi z zewnątrz i nie jest w żaden sposób związany z żadną z krakowskich grup, to może to oznaczać, że w krótkim czasie przez struktury kurialne także przejdzie rewolucja i poleci wiele ważnych głów. Tyle że – wbrew temu, co sugerują media – wcale nie ta zmiana jest najistotniejsza.

„JEST KSIĄDZ BISKUP UPRIWILEJOWANY”

Jeśli szukać przyczyn, dla których to właśnie abp Jędraszewski został nowym metropolitą Krakowa, to – zdaniem wielu uważnych obserwatorów życia kościelnego – trzeba cofnąć się do Światowych Dni Młodzieży. To właśnie w ich trakcie arcybiskup podczas spotkania Franciszka z polskimi biskupami zadał absolutnie fundamentalne pytanie: „Ojcze Święty, wydaje się, że wierni Kościoła katolickiego i w ogóle wszyscy chrześcijanie w Europie Zachodniej są coraz bardziej w mniejszości w obrębie liberalno-ateistycznej kultury współczesnej. W Polsce mamy do czynienia z głęboką konfrontacją, ogromną walką między wiarą w Boga z jednej strony a myślą i stylem życia, tak jakby Bóg nie istniał, z drugiej. Twoim zdaniem, Ojcze Święty,



Przyspieszenie w Kościele

jakiego rodzaju działania duszpasterskie powinien podejmować Kościół katolicki w naszym kraju, aby naród polski pozostał wierny swojej ponadtysiącletniej tradycji chrześcijańskiej?”. Papież nie odpowiedział na nie od razu, ale zaczął od prostego pytania: „Eksceleńco, jakiej diecezji jesteś biskupem?”. „Łodzi, gdzie rozpoczęła się droga św. Faustyny; bo właśnie tam usłyszała głos Chrystusa, aby udać się do Warszawy i zostać zakonnicą, właśnie w Łodzi. Historia jej życia rozpoczęła się w moim mieście” – odpowiedział abp Jędraszewski. A papież dorzucił: „Jest ksiądz arcybiskup uprzywilejowany!”.

To właśnie ta rozmowa, pytanie i uwa- ga abp. Jędraszewskiego na temat miejsca swojego posługiwania biskupiego miała zafascynować Franciszka, który – nie zważając już później na uwagi swoich doradców – miał osobiście wskazać arcybiskupa na nowego metropolitę krakowskiego.

Dlaczego tak się stało? Ponieważ – jak się zdaje – papież Franciszek chce budowy Kościoła radykalnie zaangażowanego w ewangelizację (bliski przyjaciel Ojca Świętego, kard. Claudio Hummes, w swojej najnowszej książce wprost stwierdza, że Franciszek chce „Kościoła całkowicie misyjnego”), walczącego z postępującą



w Poznaniu, musiało być dla wielu krakusów szokiem. A poczucie szoku będzie się tylko pogłębiać, bo nie ma co ukrywać – Kościół w Wielkopolsce funkcjonuje inaczej niż w Małopolsce, inne są też tradycje polityczne (poznaniacy, i w takim duchu wydaje się być wychowany abp Jędraszewski, chętnie odwołują się do tradycji endeckiej, która była w zasadzie obca Krakowowi) czy filozoficzne. Wszystkich tych różnic nie zmienia nawet to, że filozoficznie nowy metropolita wydaje się bliski myśleniu Karola Wojtyły, który także fascynował się filozofią dialogu.

Istotna zmiana jest również taka, że w zastanie struktury biurokracji, w której obracają się wciąż ci sami duchowni, świetnie ustawieni i zblatowani z lokalnymi politykami, zostaje wprowadzony ktoś nowy; Arcybiskup Jędraszewski pokazał już, że potrafi błyskawicznie robić porządek, i to nie patrząc na lokalne uwikłania oraz towarzyskie konotacje. I wiele wskazuje na to, że w Krakowie też podejmie podobne decyzje i zacznie urządzać kurie po swojemu. Nic nie zapowiada też tego, by zamierzał tolerować działania „Tygodnika Powszechnego” czy środowiska „Znaku”. Już teraz ze środowisk bliskich arcybiskupowi płynie przekaz, że chciałby on przywołać je do porządku, a przynajmniej zbudować w Krakowie silną dla nich przeciwwagę. Wbrew zapewnieniom osób związanych z tymi środowiskami wcale nie musi to wywoływać buntu przeciwko niemu. Wielu duchownych z diecezji od dawna chciało uporządkowania sytuacji ze środowiskami, które głoszą poglądy mało katolickie, ale wciąż korzystają z finansowego wsparcia Kościoła, a do tego mienia się katolickimi. Nowy arcybiskup, który nie ma najmniejszych zaszłości towarzyskich lub historycznych, może to załatwić.

I wbrew temu, co twierdzą zwolennicy katolicyzmu otwartego, wcale nie musi to oznaczać zerwania z linią Franciszka czy budowania Kościoła zamkniętego. W kwestii gender i ideologicznej kolonizacji słowa abp. Jędraszewskiego są o wiele bliższe linii papieża niż to, co wypisują na ten temat publicyści „Tygodnika Powszechnego”, o redaktor naczelnej „Znaku” nie wspominając. Nie ulega też wątpliwości, że jeśli chodzi o szukanie nowych wiernych, to skuteczniejsza wydaje się strategia pozyskiwania ich po prawej (także przecież mocno zlaicyzowanej) niż po lewej stronie. Czy w tym kierunku pójdzie abp Jędraszewski, czas

pokaże. Jedno nie ulega wątpliwości: jeśli szybko nie poradzi sobie z uporządkowaniem sytuacji wokół „Tygodnika Powszechnego” i kurii, to może przegrać walkę o zmianę. Bez wstrząsu niewiele da się zmienić.

KONIECZNE ZMIANY

Ściągnięcie lejców, przyspieszenie i zmiana – to zresztą działania potrzebne całemu Kościołowi w Polsce. Po śmierci św. Jana Pawła II można odnieść wrażenie, że zapadł on w sen zimowy. Owszem, dzieją się ważne rzeczy, organizowane są (co ciekawe – często przez świeckich) wielkie spotkania modlitewne i od lat trwa wielka charyzmatyczna krucjata, ale hierarchia jakby odpuściła sobie walkę

Nic nie zapowiada tego, by abp Jędraszewski zamierzał tolerować działania „Tygodnika Powszechnego” czy środowiska „Znaku”

laicyzacją i odzyskującego wiernych. Pytanie arcybiskupa łódzkiego musiało zatem zwrócić jego uwagę. A jeśli do tego dodać miejsce, w którym posługiwał abp Jędraszewski, i jego nawiązanie do św. Faustyny, której przesłanie Bożego Miłosierdzia jest niewątpliwie bliskie Franciszkowi, to staje się jasne, jakie cele stawia przed nowym metropolitą papież. Kościół w Krakowie pod jego przewodnictwem ma być z jednej strony radykalnie misyjny, ewangelizacyjny, świadomy zagrożeń, a z drugiej mocno zakorzeniony w przesłaniu Bożego Miłosierdzia. I nie ulega wątpliwości, że nowy metropolita krakowski jest świadomy celów, jakie stawia przed nim sam papież.

WYJEŹDŻAJĄC Z KOLEIN

Ważniejsze od celów, jakie papież stawia przed nowym metropolitą, wydaje się jednak co innego. Otóż – niezależnie od tego, czy zrobione to było świadomie czy nie – Franciszek zdecydował się wypchnąć Kościół w Krakowie (a za jego pośrednictwem także w Polsce) z kolein. Mianowanie na metropolitę krakowskiego kogoś, kto został ukształtowany

o Polskę i Polaków. Ostrożność, unikanie konfliktów, niewchodzenie w drogę najważniejszym rozgrywającym politycznie to cechy, które widać zarówno w odniesieniu do poprzedniej, jak i obecnej ekipy. Biskupi niechętnie przypominają o tym, że na politykach ciąży obowiązek obrony życia, opinie na temat moralnych aspektów władzy formułują ezopowym językiem i starannie unikają tematów, które mogłyby nastawić przeciwko nim opinię publiczną. W efekcie ich przekaz coraz częściej nie trafia do nikogo, nie porusza, nie zmienia, nie formuje sumień.

Arcybiskup Jędraszewski już jako metropolita łódzki był inny. Jego kazania budziły kontrowersje, dyskusje, angażowały media i nie unikały trudnych tematów. Jeśli ten styl zostanie utrzymany, to będzie to oznaczało poważną zmianę symboliczną, ponieważ na jednej z dwóch najważniejszych stolic biskupich w Polsce zasiądzie ktoś, kto będzie ostrym polemistą, recenzentem i komentatorem rzeczywistości społecznej. A do tego ktoś, kto potrafi trafnie diagnozować prawdziwe wyzwania, jakie przed nami stoją. Nie ulega wątpliwości, że kogoś takiego Kościół w Polsce potrzebuje. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Szarada z Herodem



Wiesław Chetminiak

Wystawa „Wrocławska Europa” miała dwóch bohaterów: malarza uchodźcę i biskupa, który chciał zostać królem

Bartholomeus Strobel, za życia ceniony i naśladowany, po śmierci wylądował w artystycznym czyściku. Na tle młodszych o generację Michaela Willmanna, zwanego „śląskim Rubensem”, wydawał się mierną figurą. Historycy sztuki pisali o nim: „lokalna, rozdmuchana wielkość”, wytykali mu warsztatowe słabości, dziwaczność stylu i mętłą symbolikę. W XX w. doszły do tego zarzuty natury politycznej. Dla Polaków Strobel był zbyt niemiecki, z kolei

Germanie mieli mu za złe nawrócenie na katolicyzm i schlebienie słowiańskim gustom. Częściowej rehabilitacji wrocławianin dostał po 1945 r., gdy pod buńczucznym hasłem: „Byliśmy, jesteście, będziemy” ruszyła operacja udowadniania odwiecznej polskości ziem zachodnich. Artysta, który za młodu szukał zarobku w kraju Sarmatów, a w wieku dojrzałym szczylił się tytułem nadwornego malarza Władysława IV, poświadczał nierozzerwalny związek Śląska z macierzą. Spolszczono mu imię na „Bartłomiej”, jego obrazy zaczęto zaś wystawiać w muzeach narodowych.

Na polityce historycznej PRL skorzystał także współczesny Strobłowi Karol Ferdynand Waza. Przedstawiciel nie lubianej dynastii, kojarzonej ze zmierzchem potęgi Rzeczypospolitej, stał się persona grata z tytułu rzekomego podtrzymywania polskości nad Odrą. O tym, że biskup wrocławski i tytularny

książę opolsko-raciborski był półkrwi Habsburgiem, swymi śląskimi dobrami zarządzał zaś przez miejscowych pełnomocników (bo na stałe rezydował na Mazowszu), wspomniano półgębkiem i niechętnie.

WYMYŚLIŁEM I NAMALOWAŁEM

Gdy Wrocław wygrywał casting na Europejską Stolicę Kultury, zwichrowane tożsamości artysty i królewicza zdawały się atutem. Zwłaszcza Strobel płynął na wznoszącej fali. Self-made man, który dzięki talentowi i oczytaniu wdarł się do elity, zaprzysięgły pacyfista, wróg religijnego fanatyzmu – zestaw cnót wręcz wymarzony z punktu widzenia euroentuzjastów. Poeta Martin Opitz, syn rzeźnika z Bolesławca, pasowałby jeszcze lepiej, ale zgrzeszył namiętną apologią niemieczyny. Wykorzystano zatem jedynie jego wiersze, w których Strobel – godny następcy Apellesa –



„Uczta u Heroda i ścięcie św. Jana Chrzyciela”,
Bartholomeus Strobel FOT. MATERIAŁY PRASOWE

uosabia nieśmiertelność sztuki („Na przekór śmierci naszej wniwecz ją obrócisz”). Bartholomeus zrewanżował się przyjacielowi portretem wystawiającym na szwank jego reputację skrajnego werysty. Zamienił bowiem 40-letniego brzydala w czarującego młodzieńca.

Twórczy dorobek Ślązaka uległ rozproszeniu i w większości wciąż czeka na identyfikację. Od Opitza wiemy, że jego druh słynął z konterfektów kobiet, ale żadnego z nich nie znamy. W XX w. Strobel uchodził raczej za twórcę drugoligowego, lecz odkryto, że jest autorem jednego z największych obrazów w Prado – „Uczty u Heroda i ścięcia św. Jana Chrzyciela”. W czasach, gdy o wartości dzieła sztuki przesądza jego cena, wiadomo, że Hiszpanie w swoim czasie wycenili eksponat na zawrotną sumę 50 tys. reali, musi robić wrażenie.

Można się spodziewać, że podczas zabiegów konserwatorskich na niejednym anonimowym obrazie zostanie odnaleziona jego sygnatura, czasem z dodatkami dumnego stwierdzenia: „Pinxit et invenit”.

KRAJOBRAZ PRZED BURZĄ

W 1591 r., gdy Strobel przyszedł na świat, 30-tysięczny Wrocław przeżywał

okres prosperity. Zaopatrywał chłonne wschodnie rynki w tkaniny, płótno i papier. W przeciwną stronę wędrowały: zboże, bydło, skóry i futra. Biografia artysty pełna jest luk, co wynika ze zniszczenia archiwów i powojennego bałaganu. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że był dziedzicznie obciążony – malarstwem parali się zarówno jego przodkowie po mieczu, jak i po kądzieli. Pierwsze nauki pobierał od ojca. Bartholomeus senior przywędrował do Wrocławia z Saksonii. Miał na rynku kram, na którym za zgodą cechu sprzedawał swoje miniatury. Junior wyniósł z tamtych czasów skłonność do kaligrafii i cyzelowania szczegółów. A także niechęć do podlegania miejskiemu prawodawstwu. Z czeskiej Pragi, gdzie zaraził się manieryzmem, wrócił z mocnym postanowieniem uprawiania wolnego zawodu. To oznaczało, że zostanie dworakiem, bo jedynie monarchowie i książęta Kościoła mieli moc przyznawania przywileju wyjątkowego malarza spod jurysdykcji cechów.

Strobel brał stałą pensję od wrocławskiego bp. Karola Habsburga, brata cesarza, więc taki dokument od niego wyprosił. I miałby się jak pączek w masło, gdyby nie wojna trzydziestoletnia,

która wybuchła pod religijnymi auspicjami i spustoszyła Europę w stopniu dotąd niespotykanym. Jako protestant wysługujący się katolickim mecenasom Bartholomeus znalazł się w mało komfortowej sytuacji. Wrocław próbował zachować neutralność, ale było tylko kwestią czasu, gdy zawierucha dotrze nad Odrę. Od 1632 r. grasowali tu Sasi, Szwedzi i cesarscy najemnicy. Przemarsze wojsk spragnionych łupów, pożary i epidemie zrujnowały prowincję. Ludność zmalała o jedną trzecią, a Wrocławia – o 40 proc.

DE NIRO, CO TU ROBISZ?

Strobel ewakuował się do Polski. Być może znał osobiście Władysława IV z czasów, gdy ten, jeszcze jako król-e-wicz, bawił na Dolnym Śląsku. A na pewno zdarzało mu się przyjmować zlecenia od naszych szlachciców. Malarz – uchodząca zamieszkał w Toruniu. Mógł się tu czuć swojsko, gdyż elitę miasta stanowili Niemcy – ewangelicy. Musiał jednak sporo podróżować w związku z realizacją zamówień. Jego dzieła ozdobiły kaplicę św. Kazimierza w katedrze wileńskiej, kościoły w Pelplinie, we Fromborku, Włocławku i w Koprzywnicy. Specjalnością Strobla stały się



„Portret Vogta”, Bartholomeus Strobel
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Daniel i król Cyrus przed posągami Baala”,
Bartholomeus Strobel FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wysłała spod pędzla Strobla. Rebusem jest również ściągnięty z Muzeum Narodowego w Warszawie „Daniel i król Cyrus przed posągami Baala”.

OSTATNIA ZAGADKA

Niewykluczone, że jednym z klientów mistrza Bartholomeusa był przyrodni brat króla i bratanek cesarza, Karol Ferdynand Waza. Rodzina zadbała o jego przyszłość. Już jako 12-latek został biskupem wrocławskim, choć nie miał nawet święceń kapłańskich. Potem objął jeszcze biskupstwo płockie. Zapisał się w pamięci współczesnych jako uparciuch i odludek, lecz dobry gospodarz

■ Wniebowzięcie i Koronacja Maryi. Jako artysta szybko przyswoił sobie katolickie dogmaty, choć niektórym jego religijne malowidła wydawały się zbyt „ziemskie”. Ponoć potrafił przedstawić fundatorkę obrazu jako Madonnę, apostołom dać zaś twarze senatorów Rzeczypospolitej. Pozowali mu najwięksi magnaci: młody Janusz Radziwiłł, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński i prawdopodobnie sam król. Największe wrażenie na zwiedzających wrocławską wystawę wywarł jednak portret Johanna von Votgena z powodu lądującego podobieństwa starosty wrocławskiego do Roberta de Niro (zgadza się nawet brodawka na lewym policzku).

Strobel nie był pierwszym śląskim mistrzem pędzla, który zrobił karierę nad Wisłą. Szlak przetrwał Marcin Kober, nadworny malarz Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. W ślady przyjaciela poszedł też Opitz. Dostał posadę sekretarza i historiografa polskiego króla, lecz długo się nią nie nacieszył. W 1639 r. poeta padł ofiarą epidemii dżumy, która nawiedziła Gdańsk.

KSIAŻĘ NA PÓŁMISKU

Strobel pracował wtedy nad swym magnum opus – „Uczta u Heroda i ścięciem św. Jana Chrzciciela”. Płótno wypełnia tłum postaci biblijnych i współczesnych artyście celebrytów – od cesarskiego wodza Albrechta von Wallensteina do księcia Buckingham

i obiektu jego westchnień – królowej Francji Anny. A Herod to sułtan turecki, który zdaje się mówić: „Źle się, chrześcijanie, bawicie!”. Orgia kolorów, rewia mody. Na imprezę załapało się nawet dwóch mężczyzn w polskich kontuszach. Głowa św. Jana z półmiska ma rysy księcia brzeskiego i legnickiego Jana Chrystiana. Niewykluczone, że w orszaku tego zgermanizowanego Piasta Strobel przybył do Polski.

Tytuł dzieła jest mylący. „Uczta u Heroda” to alegoria, pamflet na europejskich polityków demaskujący ich intrygi i zbrodnie. Dla kogo Strobel wykonał gigantyczne (280 x 950 cm) malowidło, nie wiadomo. Może dla polskiego monarchy, który próbował narzucić się jako pośrednik w rozmowach pokojowych i był wielkim amatorem teatru, a rzecz jest bardzo teatralna. Inni kandydaci to: pomorski magnat Gerard Denhoff, jego teść – wspomniany książę brzesko-legnicki i dziekan kapituły wrocławskiej Nicolaus von Troil, którego herb kilkakrotnie pojawia się na obrazie. Sprowadzenie z Madrytu oryginału nie wchodziło w grę, Wrocław zamówił więc wideo-art u Lecha Majewskiego, którego słabość do dawnych mistrzów od lat owocuje intrygującymi filmami.

Barok kochał szarady. W Starej Pinakotece w Monachium znajduje się mniejsza wersja „Ucztu Heroda” z parą bohaterów wczesnej fazy wojny trzydziestoletniej. Zdaje się, że ona też

i organizator. Sprawami kościelnymi za bardzo się nie interesował. Polityką również, ale po śmierci Władysława IV kandydował do tronu. Bez powodzenia, nad czym ubolewa część naszych historyków.

Biskup kochał ogrody i tak jak wszyscy polscy Wazowie był zagorzałym melomanem. Nadwornym kapelmistrzem mianował Marcina Mielczewskiego – kompozytora, którego sława przekroczyła granice Rzeczypospolitej. Karol Ferdynand umarł nagle, tuż przed szwedzkim potopem. Z jego rezydencji w Wyszku i Warszawie nie został kamień na kamieniu. Przetrawiała za to część darów, jakie królewicz przekazał kościołom i klasztorom, na czele z rubinową sukienką dla jasnogórskiej Madonny – chyba najbardziej rozpoznawalnym eksponatem wystawy „Wrocławska Europa”.

A Strobel? Zepsuty powodzeniem obniżył loty, jego późniejsze obrazy są słabe i schematyczne. Na katolicyzm nawrócił się pod wpływem ciężkiej choroby. Ostatnie zlecenie wykonał w 1647 r. Nie wiadomo, czy zdążył napisać traktat o malarstwie, o którym wspominał Opitz. Gdzie i kiedy śmierć dopadła autora „Ucztu u Heroda”? To kolejna zagadka. Byłoby ironią losu, gdyby artysta, którego z rodzinnego miasta wyгнаła wojna, padł gdzieś w Polsce od kozackiej szabli, rosyjskiego noża albo szwedzkiej kuli. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Śp. Pptk Józef Bandzo „Jastrząb”

(1923-2016)



Uczestnik podziemia niepodległościowego w czasie II wojny światowej, potem powojennego podziemia antykomunistycznego. Jeden z ostatnich żołnierzy 3. i 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej.

Osobisty ochroniarz majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.

W latach 60-tych skazany na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie.

W komunistycznym więzieniu spędził 16 lat.



Pptk. Józefa Bandzo poznaliśmy na planie zdjęciowym naszego spotu „Rozgrzewamy Polskie Serca”. Zmarł kilka miesięcy później.

”Jestem dumny, że byłem w partyzantce. Można powiedzieć, że moje młodzieńcze marzenie spełniło się - walczyłem o niepodległość Polski. Dzięki naszej walce, naszemu uporowi ludzie - a szczególnie dzisiejsza młodzież - zaczynają się budzić i inaczej patrzeć na Polskę i patriotyzm. Gdybym jeszcze raz się urodził, tak samo bym postąpił. Niczego nie żałuję.”

Pptk Józef Bandzo „Jastrząb”



Piotr Gociek

Intryga kryminalna, gorzki komentarz do transformacji ustrojowej, bolesny obraz relacji dzieci – rodzice. Warto oglądać serial HBO „Pustkowie”

Pustina to fikcyjne miasteczko na pograniczu polsko-czeskim, miasteczko, które czeka zagłada. Pod ziemią kryją się wyjątkowo bogate pokłady węgla, na które wielką chrapkę ma pobliska kopalnia. Większość mieszkańców nie ma wątpliwości, że czeka ich zmiana na lepsze. Opuszczają swe domy, ale za rekompensaty będą mogli kupić nowe, w lepszej okolicy, a dzieci posłać do lepszych szkół. Bezrobotni znajdują pracę w kopalni. W obronie miasteczka walczy pani starosta, Hana Sikorova, prowadząca też miejscowe przedszkole. Sikorova chce opóźnić referendum, w którym mają zapadnąć kluczowe decyzje dla przyszłości (znaczy opuszczenia) Pustiny. Wielu się to nie podoba. Niektórzy sąsiedzi już w myślach wydają pieniądze, innych podjudzają emisariusze z kopalni, jeszcze inni po prostu chcieliby dokuczyć nie lubianej pani staroście. Jak niesie gminna obmowa, ona sama nieźle się ustawiła za unijne pieniądze (tak uruchomiła przedszkole), a innym skąpi dobrego zarobku. „To nasze miasto”, „tu leżą nasi przodkowie” – argumentuje Sikorova, ale jej argumenty brzmią wątko.

SEKRETY PROWINCJI

Miasteczko Pustina (tytułowe „Pustkowie”) to zapyziała czeska prowincja, tym brzydsza, że tuż obok niej rozciągają się apokaliptyczne tereny gigantycznej odkrywki, nad którą bez ustanku dymią kominy. Najładniejszy budynek w okolicy to podniszczony pałacyk, ale w nim znajduje się poprawczak. Niebo nad Pustiną wciąż zasnuwane jest chmurami, szare są pejzaże, szare są mury domów, a ludzkie twarze zmęczone i zacięte. Idealna sceneria dramatu – i w istocie już w pierwszym odcinku mamy zawiązanie wszystkich głównych wątków. Najpierw w lesie nieopodal przedszkola pani starosty ktoś bestialsko morduje trzymanego dla dzieciaków osiołka. Potem bez wieści znika córka Hany Sikorovej – 14-letnia Misa.



Tajemnice pogranicza

Poszukiwania nastolatki to oś fabularna całego serialu, a jej zaginięcie wyzwala lawinę wydarzeń, które odcisną swoje piętno na dużo większej liczbie bohaterów, niż się to początkowo wydaje. Scenariusz serialu wyprodukowanego przez czeskie HBO jest znakomity, gesty, precyzyjny i wytrzymuje porównanie z najlepszymi produkcjami zachodnimi. Blisko mu choćby do świetnego brytyjskiego „Broadchurch”. Dochođenje w sprawie zaginięcia dziewczyny prowadzone przez policję oraz prywatne śledztwo, za które zabierają się zrozpaczeni rodzice, ujawnia wiele sekretów, które mieszkańcy Pustiny chcieliby zachować dla siebie.

Dotyczy to także najbliższej rodziny zaginionej. Ojciec od kilku lat mieszka osobno, w otoczonej dziwaczными rzeźbami chacie pośrodku lasu. Ma poważne kłopoty psychiczne, częściową amnezję,

odwiedza prostytutki, z normalnej pracy dawno temu zrezygnował. Dlaczego? Za sprawą choroby czy może było odwrotnie – to jakieś nieujawnione grzechy w ową chorobę go wpędziły? I czy mógłby skrzywdzić własne dziecko?

Siostra zaginionej, starsza od niej Klara (ale wciąż nastoletnie dziewczątko), to postać najczystsza w całej historii, ale jej chłopak – nie. Pokątnie produkuje narkotyki, zadaje się z dilerami i alfonсами, wiecznie brakuje mu pieniędzy. Swoje tajemnice skrywają pensjonariusze poprawczaka, szczególnie ci, którzy notorycznie z niego uciekają. Osobną sprawą są gospodarze z Pustiny – pytanie, którzy tylko gardłują za szybką zmianą, a którzy robią to jeszcze za dodatkowe pieniądze od koncernu wydobywczego. Czy jest wśród nich ktoś na tyle chciwy, by porwać albo skrzywdzić dziecko pani starosty, by



FOT. HBO POLSKA

ga, jeśli chodzi o porównanie „Pustkowie” z polskimi produkcjami takimi jak „Pakt” (HBO) czy „Belfer” (Canal+). Czeska konkurencja daje lepszy i wierniejszy opis rzeczywistości, bo rozumie, że prawdziwy nauczyciel prowincjonalny zwykle wygląda jak Jaroslav Dušek, a nie jak Maciej Stuhr, wątpię też, by zgodziła się z tezą, że typowy dziennikarz śledczy wygląda jak Marcin Dorociński. Mieszkania i domy pokazywane w serialu wyglądają normalnie, a nie jak z żurnala dla projektantów wnętrz, bohaterowie jeżdżą takimi autami, na jakie stać mieszkańców Pustiny – to znaczy kilkunastoletnimi rękami, a nie eleganckimi SUV-ami wprowadzonymi do akcji w ramach product placement. Wielka różnica jest także w stylu opowiadania – twórcy „Pustkowie” rozumieją, że „mniej” znaczy „więcej”, dlatego zamiast scen, w których bohaterowie wykładają swoje motywacje czy oceny kawa na ławę, stawiają na niedopowiedzenia. W dodatku świetnie opowiadają obrazem.

Kilka słów o obrazie – odpowiada za posępny, depresyjny klimat serialu. W pierwszych sześciu odcinkach nie widzimy nawet przebłysku słońca, starannie zakomponowane kadry przypominają skandynawskie kryminały. Reżyser Ivan Zachariáš jest jednym z najlepszych czeskich speców od reklamy i to w „Pustkowie” widać, ale talent rozwinięty w komercyjnych klipach nie służy temu, by rzeczywistość efektywnie upiększyć, lecz temu, by była to opowieść wizualnie spójna. Do tego skąpa, sugestywna muzyka – i sukces gotowy.

Teraz o kontrowersjach – z początku mocno się zastanawiałem, czy nie byłoby na miejscu oskarżenia „Pustkowie” o celowe wyolbrzymienie brzydoty środkowoeuropejskiej. Znamy to zjawisko z polskiego kina, które kiedy nie idzie w stronę debilnie kolorowych komedii romantycznych, zamienia się w wyścig na wylizanie, kto pokaże więcej obrazów nędzy i rozpaczy. To oczywiście bardzo pasuje do wyobrażeń przeciętnego zachodniego widza HBO – Polska czy Czechy to takie ponure kraje, gdzie nie świeci słońce, a pomarszczeni mieszkańcy ubrani jak zombie z serialu „The Walking Dead” prezentują światu głównie braki w uzębieniu, ksenofobię i nie-

nawieść. Po chwili wahania decyduję się jednak czeskiego serialu bronić. Taki, a nie inny wybór scenerii ma sens, fabuła jest z nim związana nierozzerwalnie, a każdy, kto miał okazję wybrać się na samochodową wycieczkę po Czechach czy Słowacji i wyjechał poza rejony turystyczne, widział nieraz miasteczka takie jak Pustina.

Ciekawy jest obraz Polski – mamy w „Pustkowie” sugestie, że to polscy krwiożerczy kapitaliści czyhają na ziemię w Pustynie. I to do Polski właśnie – sodomy i gomory – udaje się jeden z bohaterów, by bez recepty kupić leki z pseudoefedryną, z których potem będzie produkował metaamfetaminę. Przystojny polski inżynier z koncernu Turkovo wydaje się przez większość opowieści uśmiechniętym diabłem, który zapewne macza paluchy w tragedii starosty Sikorovej oraz odpowiada za gorączkę złota w miasteczku tudzież winien jest grzechu znieczulicy. Bawi mnie to trochę, a trochę wbija w dumę. Jeżeli mam wybierać między polish jokes a sytuacją, w której strach przed Polską przypomina ten przed koncernami British Petroleum czy Exxon, to wybieram oczywiście opcję drugą – wolę, żeby się nas bano, niż żeby się z nas śmiano.

MĄDRA OPOWIEŚĆ

Chociaż reklamowana jest jako serial kryminalny (i jeśli chodzi o wyjaśnienie zagadki zaginięcia młodej Sikorovej – spełniający wymogi gatunku), to jest „Pustina” ciekawsza jako opowieść obyczajowa. Jest dobrym obrazkiem życia z prowincji, wraz z całym ładunkiem zawiści, uraz – ale i pewnym ładunkiem sielskości.

Jest ciekawą historią o ustrojowej transformacji, która przecież wciąż się nie zakończyła, z której owoców wciąż nie korzystają ci, którzy – tak jak mieszkańcy Pustiny – żyją na jej obrzeżach. Czy można mieć do nich pretensje o to, że gdy nadarzy się okazja, chętnie wyciągną po nią rękę? Jest to wreszcie mądra przypowieść o rodzinie, o braku porozumienia i zaufania między pokoleniami. Najbardziej poruszające są te momenty serialu, gdy wraz z panią starostą Haną Sikorovą odkrywamy, jak niewiele wiedziała o swoich dzieciach. Te trzy kwestie są ze sobą połączone – kiedy dotrzecie do finału „Pustkowie”, ujrzenie jak bardzo.



★★★★★
REŻ. IVAN
ZACHARIÁŠ
I ALICE NELLIS
„PUSTKOWIE”
(„PUSTINA”)
CZECHY 2016

wyst. Zuzana
Stivínová jr,
Jaroslav Dušek,
Eliška Křenková

użyć zaginionej jako elementu szantażu? A może sprawców trzeba szukać wprost w kopalni Turkovo?

Autorem scenariusza jest Stepan Hulič, autor m.in. wyreżyserowanego przez Agnieszkę Holland miniseriale „Gorejący krzew” (2013). Wtedy poradził sobie bardzo dobrze, teraz jest chyba nawet lepszy. W „Pustkowie” świetnie myli tropy, zręcznie naprowadza widza na rozwiązania, które wydają się wielce prawdopodobne, by z równą zręcznością przekonywać nas odcinek czy dwa później, że prawda musi jednak wyglądać inaczej. Puenta – ujrzenie ją, zgodnie z zasadami rzemiosła – w drugiej połowie ostatniego odcinka (jest ich łącznie osiem, polski kanał HBO wyemitował dotąd połowę) zaskoczy każdego, ale okaże się logiczna i wzmocni jeszcze przesłanie całego serialu.

REALIZM NA EKRANIE

Do wysokiego poziomu scenariusza dostosowali się aktorzy – Zuzana Stivínová w roli Sikorovej jest wręcz znakomita, reszta członków obsady niewiele jej ustępuje. Postacie są dobrze wymyślone i bardzo wiarygodne, choć trzeba oczywiście zauważyć, że wprowadzenie jako jednej z głównych osób dramatu osoby cierpiącej na amnezję to pójście na łatwiznę, trick, dzięki któremu pewne fakty wychodzą (albo nie) na jaw akurat wtedy, kiedy scenarzyście wygodnie. Ważna uwa-



Andrzej Horubała

Na Kuronia jest zapotrzebowanie. Widać to z rozszalałej akcji promującej najnowszą premierę w warszawskim Teatrze Powszechnym. Kuroń – bohater na nasze czasy, Kuroń – wrażliwy polityk, jakiego nam trzeba, Kuroń – świecki święty

Nie pierwszy raz gości Jacek Kuroń w polskiej literaturze. Można było dopatrzeć się go u Tadeusza Konwickiego w „Małej Apokalip-sie”, gdzie jako wyliniały cyniczny opo-zycjonista skłaniał bohatera, by dokonał samospalenia przed Komitetem Central-nym Partii. Był u Anny Bojarskiej w „Czego nauczył mnie August”, gdzie na oczach swych wstrząśniętych młodocianych podopiecznych doprowadzał swoją żonę do orgazmu, pieścąc jej stopy. Tam jakoś pseudonimowany, podlegający literackiej obróbce, zniekształcony, teraz, pod piórem Małgorzaty Sikorskiej-Miszczyk zjawia się w dramacie zatytułowanym po prostu „Kuroń” (z podtytułem „Pasja według świętego Jacka”).

Z wywiadów i wypowiedzi, które wy-drukowano przed premierą w reżyserii Pawła Łysaka, trudno było poza tęsknotą za Kuroniem wyłowić, kim niby miałby dzisiaj być bohater KOR. Liderem opozycji, który wyrastałby ponad miálkie i kom-promitujące się co krok postaci współcze-sności czy też przeciwnie: mężem opatr-nościowym, który pogodziłby zwaśnioną Polskę, i który – jako „człowiek rozmawia-jący ze wszystkimi” – uleczyłby nienawiść, zasypał podziały, tchnieniem miłości zaleczył rany.

Małgorzata Sikorska-Miszczyk posta-nowiła powtórzyć swój gest sprzed pięciu lat, gdy w intrygującej sztuce „Popiełuszko” (też zresztą reżyserowanej wówczas przez Pawła Łysaka) sprowadziła z zaświatów kapelana Solidarności, by sprawdzić, jak czułby się Polak Antypolak wobec patrona naszej wolności, męczennika narodowej sprawy. Sztuka, oskarżana przez niektó-rych pravicowych widzów o bluźnierstwo, stawiała jednak współczesności bardzo ostre pytania. Przerażająca groteskowa wizja, w której syty reprezentant klasy



FOT. ARCHIWUM TEATRU POWSZECHNEGO W WARSZAWIE

średniej walczącej z awarią ekspresu do kawy, nie tylko podejmuje w mieszkaniu chodzącego od domu do domu pokutujące-go prymasa Glempa, rozdającego obrazki z ks. Jerzym do powieszenia na lodówce, ale i ładowany jest do bagażnika ubeckiego dużego fiata, kończy się wstrząsającym choć dwuznacznym kazaniem księdza Jerzego do beneficjentów przemian, do publiczności. Teraz autorka, odpowiadając na społeczne zapotrzebowanie, sprowadza nam Jacka Kuronia jako lek na całe zło.

OSTRY POCZĄTEK

Przytomny człowiek rzekłby, że do żadnej z wyznaczanych mu ról – czy to lidera opozycji, czy męża opatrnościowego, Kuroń specjalnie by się dzisiaj nie nadawał: zaangażowany w latach 90. we wspieranie planu Balcerowicza-Sachsa, tragicomicznie bezradny nad garem zupy w tej kuchar-skiej czapce, opowiadający w telewizorze bajeczki pokrzywdzonym przez transfor-

mację, pokazał bezradność lewicy wobec neoliberalnego wiatru. I przecież wyglą-dałby dziś mało wiarygodnie kwestionując socjalne projekty PiS. A on jako mąż stanu słuchany ponad podziałami? Nie żartujmy.

Zresztą to właśnie punktuje Sikorska-Miszczyk w prologu swej sztuki. Umieszczeni wśród publiczności, reprezentanci podzielonej Polski, przeciętni rodacy, nienawidzący tych idiotów z przeciwnego obozu, bezpardonowo spierają się z sobą. Ostre spięcie zaostrza apetyt na rozgrywkę o tego bohatera zbiorowej wyobraźni, pa-trona „Krytyki Politycznej”, jednego z ojców założycieli III Rzeczypospolitej.

Absolwent SGPiS (w tej roli niezwykle wiarygodny Kazimierz Wysota – w polie-strowej marynarce, z wąsikami pierdoły-technokraty) wspomina rozczarowanie, jakiego doznał w Auli Spadochronowej swej uczelni na jesieni roku 1990, gdy Kuroń bredził z mównicy o roli klasy robotniczej i radach pracowniczych, a do

naszego słuchacza dotarło, że opozycja postkorowska nie ma żadnego pomysłu na transformację.

Dziewczyna w garsonce (Aleksandra Bożek) upomina się o 400 tys. pracowników PGR-ów zostawionych samym sobie, upomina się o kobiety Solidarności, przywołując niedawny demaskatorski wywiad Zofii Romaszewskiej udzielony Grzegorzowi Sroczyńskiemu, a protestujący grubas przerażony rządami PiS (Michał Jarmicki) może tylko odwoływać się do heroicznych cnót Jacka i liczby lat przesiedzianych przez niego w więzieniu.

Reprezentanci nienawistnie podzielonej Polski, wszyscy zawiedzeni tak Kuroniem, jak naszym społeczeństwem, pokazują wątpliwości, jakie budzą westchnienia tęsknoty za politykiem w dżinsowej koszuli.

Po tym mocnym wstępie, gdy na scenie zjawia się zmarły błędzący gdzieś w zaświatach Jacek Kuroń pod postacią brodatego, „zupełnie niepodobnego do Jacka młodzieńca” (Oskar Stoczyński), autorzy spektaklu z wolna porzucają bolesne konkrety i uciekają w krainę mitu. Oto Kuroń na nowo przeżywa swe życie, które tu oddane jest pod postacią metafory płynięcia od ściany do ściany z workiem książek u szyi. A książki to dość osobliwe: „Poemat pedagogiczny” Makarenki, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego, „Krótka historia WKP(b)”.

Meloman (Grzegorz Falkowski), któremu przechodząc przez Warszawę demonstrować obu zwaśnionych stron wrzeszczące „Zabij” uniemożliwiły wizytę w operze, gdzie mógłby rozkoszować się wezwaniem do zabójstwa podawanym koloraturowym sopranem, przypomina kompromitujące fakty z lat 50. Kariera stalinowskiego aparatchyka, śmierć trojga podopiecznych w Wiśle, sowietyzowanie harcerstwa... Pyta Kuronia o odpowiedzialność, nie zadawając się formułą o niewiedzy na temat konsekwencji zaangażowania.

PATCHWORK

Ale już za chwilę odlatujemy w przestrzeń symboliczną i młody Kuroń konfrontowany jest z Kobiętą, będącą raz ucieleśnieniem Polski – narcystycznej, przekonanej o swej wielkości, a jednocześnie rozmiłowanej w cierpieniu (monolog pełen postgombrowiczowskich stereotypów), a raz grającej Gajkę – największą miłość Jacka – jego muzę i natchnienie. Ewa Skibińska (prywatnie partnerka życiowa zdymisjonowanego dyrektora Teatru Polskiego we Wrocławiu – posła Nowoczesnej Krzysztofa

Mieszkowskiego i matka jego dziecka; ten obsadowy wybór dodaje sprawie pikanterii) z obtartymi do krwi kolanami, histeryczna, sugestywna, świetnie sygnalizuje możliwości, jakie niosłaby opowieść o Kuroniem jako namiętnym kochanku – Ojczyzny i kobiety. I przecież ledwie zaznaczony wątek rywalizacji kobiety i Ojczyzny mógłby zostać ciekawie pokazany przez tę brawurowo przerysowaną postać.

A i fragmenty z biografii Kuronia zdają się mieć bardzo mocny potencjał: wstrząsająca opowieść Kuronia o umieraniu Gajki czy scena najścia bojówki na wykład TKN – no tak, tylko trzeba by się na coś zdecydować.

Niestety, jakaś dziwna predylekcja do twórców patchworkowych każe Sikorskiej-Miszczyk nie pogłębiać i tych motywów, i przejść po raz kolejny do postaci pisarza (Grzegorz Artman), który mocuje się z powieścią o Jacku Kuroniem. Wprowadzenie tego osobnika to dla autorki możliwość poczęstowania nas niesłychaną grafomanią – od jakiejś nieskładnej metafory Polaków jako liter zesłanych z kosmosu, przez erudycyjne popisy aż do próbek poezji. Pisarz, raz po raz stając przed statywem z mikrofonem na podkładzie basów walących po bebeczach, włączając sobie echo, serwuje nam niezborne kawałki, by w finale zostać oskarżonym o napisanie wyrotowej książki.

Po polonezie, odtańczonym do zasumionych dźwięków Kilara z „Pana Tadeusza”, przez kipiących nienawiścią reprezentantów podzielonej Polski, staje bowiem nasz artysta wobec wziętego jakby z kina moralnego niepokoju obercenzora, który żąda od niego złożenia samokrytyki. Grozi też ów PiS-owski czynownik zakazem rozpowszechniania powieści i sankcjami związanymi z obrazą uczuć religijnych.

Co też może znajdować się w tej niebezpiecznej książce zatytułowanej „Pasja według świętego Jacka” za bardzo nie wiadomo, ale też Małgorzata Sikorska-Miszczyk rozwijając wątek tytułowy trochę się gubi. Oto obercenzor oburza się na utożsamienie Kuronia z Chrystusem, a przecież z tradycji tytułu „Pasja według świętego...” wynikałoby, że Kuroń pretendowałby raczej do funkcji ewangelisty, a nie mesjasza. No tak, ale o ile początek scenicznej opowieści o Kuroniem zdawał się ostry i precyzyjny, to w finale mamy do czynienia z jakimś niezwykle intelektualnym rozmemłaniem. Rozumiem, że pisarz jest też swego rodzaju alter ego autorki dramatu, ale jeśli

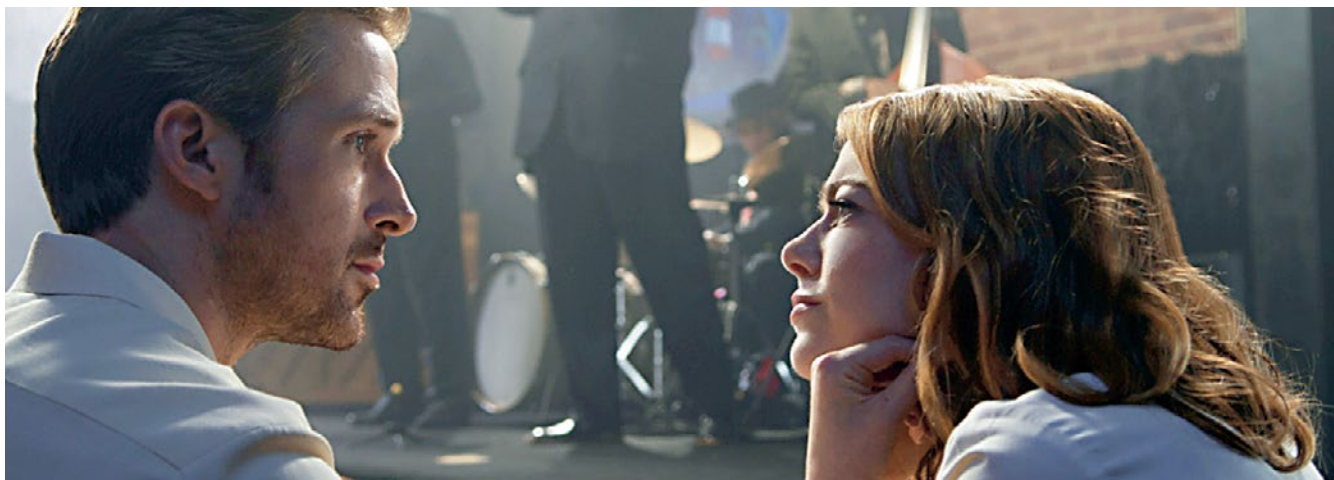
tak, to rzeczywiście sprawa nie tylko ociera się o kabotyństwo, lecz co gorsza mocno zafałszowuje rzeczywistość. Naprawdę, nie mamy tu PRL, działa kilka obiegów kultury, istnieje przestrzeń Internetu, funkcjonują media niepodległe władzy.

DWA FINAŁY

To, że państwo postanawia sprawować aktywny mecenat nad kulturą, nie oznacza zawłaszczenia wszystkich obszarów społecznej komunikacji. To, że po latach przypominano o odpowiedzialności artystów wobec społeczeństwa, wobec zbiorowości, narodowej tradycji, nie oznacza kresu wolnej sztuki.

Sikorska-Miszczyk wkładając wcześniej w usta scenicznych postaci krytykę postępowania władz wobec lewicowych twórców, ma do tego oczywiście pełne prawo, a i jej argumenty brzmią sensownie, ale kreowanie sytuacji, gdy autor książki o Jacku Kuroniem zmuszany jest do składania samokrytyki, w połączeniu z faktem, że nie za bardzo wiadomo, co też takiego wyrotowego i zakazanego miałoby znaleźć się w takiej opowieści o Kuroniem, serwowanej, czy to jako książka, czy oglądany właśnie dramat, czyni finał sztuki dość dziwnym.

Zresztą, nie jest to finał właściwy. Bo na sam koniec zjawia się znów młodzieńczy, a umarły Kuroń i marzy sobie o tym, że chętnie powróciłby do naszego świata. Zobaczył, jak śnieg prósy na jego Żoliborzu, przeszedł się Alejami... I rozanielony Jacek zastanawia się, co też u Antka Macierewicza, a co Jarek i Leszek Kaczyńscy, dokąd doszli w swej drodze prawa i sprawiedliwości... Na to ze smutkiem trzeba powiedzieć, że kończy swą sztukę Sikorska-Miszczyk akordem bardzo fałszywym. Przecież ten „rozmawiający ze wszystkimi” idol pozostawał w ostrym politycznym sporze z Macierewiczem i grupą „Głosu” już od lat siedemdziesiątych, z Kaczyńskimi spierał się przez całą III RP. I aniołek ów, rozmawiający ze strażnikami i kapusiami, dla swych bliższych politycznych przeciwników nie miał aż tak ciepłych uczuć. Walczył o władzę, walczył czasami bezwzględnie – jego prawo. Kończenie bajką o naiwnym i niewinnym społeczniku, który wszystkim dobrze życzył, a teraz zstąpiwszy na ziemię, pojednałby zwaśnione strony, jest zatem czymś naprawdę okropnym, na co zachnąłby się chyba sam Kuroń. I zaśmiałby się tym swoim charakterystycznym, zachrypniętym od papierochów i wódki śmiechem.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tancerz bez powodu



★★★★★
REŻ. DANIEL
CHAZELLE
„LA LA LAND”
USA 2016

wyst. Emma Stone,
Ryan Gosling,
Rosemarie DeWitt,
J.K. Simmons

Jeżeli 14 nominacji do Oscara zamieni się przynajmniej w 10 statuetek, to będzie można mówić, że amerykańskie kino wykonało duży krok do tyłu, a patriotyzm lokalny to potęgą.

Musical, podobnie jak westerny, kojarzą się ze złotą epoką Hollywood. Okres największej świetności przeżyły na przełomie lat 40. i 50. minionego wieku. Potem też trafiały się diamenty, lecz stopniowo utrwalało się przekonanie, że musical jest uroczym – ale jednak – anachronizmem. Próby unowocześnienia formuły, podczepienia się pod listy przebojów i aktualne mody zaowocowały m.in. apoteozą dyskoteki („Gorączka sobotniej nocy”) i kiczowatymi produkcjami Baza Luhrmanna. Ostatnim prestiżowym sukcesem było „Chicago” – film, którego 25 lat wcześniej nie

zdążył nakręcić Bob Fosse. I ten fakt najwięcej mówi o obecnej kondycji musicalu.

Kino kowbojskie przeszło podobną drogę. Oscarowy triumf „Bez przebaczenia” okazał się łabędzim śpiewem doszczętnie wyeksploatowanego gatunku. Najgłośniejsze westerny ostatnich lat to zremasterowane starocie albo pastisze. W przypadku „La La Land” również mamy do czynienia z dziełem na wskroś nostalgicznym i epigońskim, bezwstydnie czerpiącym z klasyki kina, nie tylko tańczonej i śpiewanej. Lubicie „Buntownika bez powodu” i „Casablanke”? Damien Chazelle kocha te filmy na zabój. Porównania do „Deszczowej piosenki”, którymi szafują zachwyceni recenzenci, wydają się mniej fortunne. Owszem, Ryan Gosling jest przystojniejszy niż Gene Kelly,

lecz jeśli chodzi o talent choreograficzny, to mógłby mu czyścić lakierki. Emma Stone ma dużo wdzięku, lecz wokalistka z niej średnia, zwłaszcza na tle Debbie Reynolds.

Oczywiście ten brak perfekcji jest zamierzony. Odgrywa rolę podobną do bezlitosnego dzwonka telefonu komórkowego przerywającego godowe płasy Mii i Sebastiana. Mam jednak wątpliwości, czy „City of Stars” okaże się przebojem równie ponadczasowym jak „Singin’ in the Rain”. Fabularnie „La La Land” też nie wnosi niczego nowego. Stawia bohaterów, początkujących artystów, przed odwiecznym dylematem: Sprzedać się czy przymierać głodem? Żądza sukcesu zatruwa ich związek bardziej niż chałtury, upokarzające castingi i dowcipne rady koleżanek („rusz tyłkiem i głową, ktoś cię odkryje”).

W kategoriach technicznych ten słodko-gorzki musical ociera się o perfekcję. Nie można też zapominać, że większość członków Akademii przyznającej Oscary rezyduje w Los Angeles i okolicach. A film Chazelle’a, mimo narzekania na zblazowanych Kalifornijczyków, którzy „czczą wszystko, ale nie cenią niczego”, buduje mit Miasta Aniołów (i marzycieli). Bo tylko tam można wznieść się do obłoków. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „T2. TRAINSPOTTING”

Ponad 20 lat po premierze filmu, który uczynił go sławnym, Danny Boyle powraca do opowieści o ćpunach z Edynburga. „T2” jest częściowo oparty na powieści Irvina Welsha „Porno”, czyli literackim sequelu do oryginalnego „Trainspotting”, ale pisarz (we współpracy z reżyserem) dołożył do niej dużo

nowego materiału. Co ważne, na planie spotkała się ponownie stara obsada: Jonny Lee Miller, Robert Carlyle, Ewan McGregor i inni. (pg) ©©

• „T2. Trainspotting”, reż. Danny Boyle, wyst. Ewan McGregor, Kelly Macdonald, Wielka Brytania 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Boy 7”, reż. Lourens Blok, Holandia/Węgry 2015
- „Jackie”, reż. Pablo Larraín, USA/Chile 2016
- „Rings”, reż. F. Javier Gutiérrez, USA 2017
- „Fukushima, moja miłość” („Grüße aus Fukushima”), reż. Doris Dörrie, Niemcy 2016

Chłopaki nie płaczą

Sześć nominacji do Oscara, lecz komercyjny potencjał poniżej średniej krajowej. I nic dziwnego – „Manchester by the Sea” to film o przezwyciężaniu traumy, który nie obiecuje łatwego pocieszenia. W odróżnieniu od telewizyjnych produkcji z maniakalnym uporem pokazywanych w porze najlepszej oglądalności.

Głównym bohaterem jest gburowaty i agresywny cieć z Bostonu. Kobiety na niego lecą, lecz on woli w samotności oglądać transmisje meczów hokejowych. Ani chyba skrywa jakiś mroczny sekret. Z kolejnych retrospekcji dowiadujemy się, że Lee kiedyś był bardziej gadatliwy i czuł na niewieście wdzięki. Teraz jednak musi wrócić w rodzinne strony, by zaopiekować się 16-letnim bratan-

kiem, przeżywającym męki dojrzewania.

Casey, mniej zniechęcony z braci Afflecków, stworzył wybitną, choć ascetyczną kreację. Po raz pierwszy (i ostatni) uśmiecha się dopiero w 110. minucie seansu. Nie znaczy to wcale, że mamy do czynienia z przyciężką, udrapowaną na grecką modłę,

tragedią. Źródłem komizmu jest tu skrzęta rzeczystwo – chyba każdemu kierowcy zdarzyło się przynajmniej raz w życiu zapomnieć, gdzie zaparkował samochód. Tylko w jednej sprawie Lonergano wi zabrakło wycucia. Niepotrzebnie zilustrował swój film muzycznymi hitami z dawno minionej epoki, na czele z zaduszkowym „Adagiem” Albino-niego. ©

Wiesław Chełmniał



★★★★★
REŻ. KENNETH LONERGAN
„MANCHESTER BY THE SEA”
USA 2016

wyst. Casey Affleck,
Luca Hedges,
Michelle Williams,
Kyle Chandler



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „INFINITE AIR”

Sezon zimowy w pełni. Dlaczego by nie spędzić go przed monitorem komputera? A jeżeli tak, to najlepiej przy grze, w której robilibyście to samo co na stoku, tylko bez stania w korkach na zakopanie. Oczywiście to samo, jeśli zjeżdżacie na desce z Mont Blanc, skacząc z helikoptera,

po drodze zaliczając kilkanaście ramp. Mniej więcej takie doznania oferuje „Infinite Air”, stworzone przy udziale mistrza świata Marka McMorrisa. W teorii to jeden z najlepszych symulatorów snowboardu na rynku, w praktyce trudny system sterowania, mała różnorodność grywalnego świata

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WŁADCY MARIONETEK

Zabawny, lecz okrutny film o toksycznych rodzicach. Groza jest tu ukryta za fasadą „działalności artystycznej”. W tytułowej rodzinie Fangów rodzice żyją z performance’ów polegających na wręczeniu przypadkowych świadków w dziwne sytuacje (bo prawdziwa sztuka wydarza się wtedy, gdy nikt nie ma pojęcia, że jest widzom), a ich dzieci do owych przedstawień zostają wciągnięte jako współtwórcy. Gdy mali Annie i Baxter dorosną, okaże się, że wciąż zachowują się wedle wzorów wdrukowanych im do głów za młodu, co oczywiście jest katastrofalne. Na tym nie koniec – starzejący się rodzice artyści szykują dla nich udział w jeszcze jednym show. Przemowy starego Fanga (znakomity Christopher Walken) o tym, jakie to niezwykle życie wiodło jego potomstwo, są słabą przeciwwagą dla emocjonalnych krzywd, jakich doznały. Artyści to dranie, i to większe niż przypuszczacie – przypomina aktor Jason Bateman, dla którego to drugi film w karierze reżysera.



wyst. Jason Bateman, Nicole Kidman, Christopher Walken

★★★★★
REŻ. JASON BATEMAN
„RODZINA FANGÓW” („THE FAMILY FANG”)
USA 2015,
IMPERIAL

VANESSA, POGROMCA WAMPIRÓW

Kiepska podróbka serialu „Żywe trupy”, tyle że z wampirami zamiast z kłizmie grupka żołnierzy pilnie strzeże tajemniczego pacjenta – pięknej kobiety w śpiączce. Na zewnątrz istne pandemonium – odkąd wybuch wulkanu pokrył niebo pyłem, wampiry mogą bez strachu przed słońcem dziesiątkować ludzkość. Z wampirami walczy podziemie, ale jest to opór symboliczny. Gdy tajemnicza kobieta odzyskuje przytomność, wszystkie frakcje wampirów będą chciały położyć na niej łapę. Dlaczego? Ponieważ nie tylko jest odporna na ukąszenia, lecz także sama potrafi przemieniać ukąszonych z powrotem w ludzi. Seria balansuje między typowym postapo a dość idiotyczną opowieścią o rumuńskich krwiopijcach, dialogi są drewniane, a w dodatku postaci ciosane są zbyt grubo.



wyst. Kelly Overton, Jonathan Scarfe, Christopher Heyerdahl

★★★★★
SERIAL, SEZON 1
„VAN HELSING”
USA/KANADA
2016,
NETFLIX

© recenzuje Piotr Gociak

★★★★★

i mocno przeciętna grafika marnują potencjał. © Marcin Makowski

- Gatunek: Sportowa
- Platforma: PS4/XONE/PC
- Producent, dystrybutor: Maximum Games/Cdp.pl
- Kwalifikacja wiekowa PEGI: 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

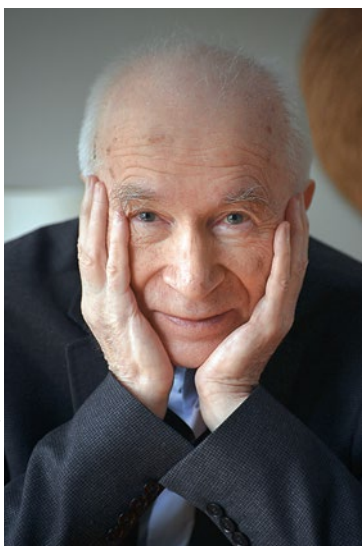
Kotka Piotra Wierzbickiego

Pisać o muzyce należy tak jak o wszystkim innym, tylko piękniej, bo ona tego piękna domaga się każdą swą nutą. Niewielu autorów to potrafi. Na pewno należy do nich jednak Piotr Wierzbicki. Meloman doskonały, bo niezwiązany z muzyką zawodowo, kochający ją bezinteresownie. A słuchający jej od dziecka, co jest zasługą jego matki, Teodory Wierzbickiej, absolwentki krakowskiej szkoły muzycznej im. Władysława Żeleńskiego.

Autor poradnika (bo jest to – prawda, że wyjątkowy – poradnik) „Jak słuchać muzyki” świadomy jest swoich przewag. Niemal od zawsze bowiem obcował z muzyką. Oczywiście tą, którą za godną słuchania uważa. Protestując zarazem przeciw określaniu jej jako „poważnej” czy „klasycznej”. W końcu coś za klasyk z Debussy’ego czy Liszta! A od kiedy to Mozart jest poważny?!

Do Bacha, Haydna, Chopina trzeba dorosnąć, to więcej niż pewne. Trzeba tej muzyki słuchać, słuchać, jeszcze raz słuchać. Tyle że aby się poznać na Haydnie – przyznaje autor – musiała mu stuknąć czterdziestka. Co zatem mają czynić prostaczkowie, tacy jak niżej podpisany, który zmarnował najlepsze lata, słuchając nie tego, czego słuchać należało, a w każdym razie z pewnością nie słuchając Haydna? Będą musieli z tym żyć tak jak ja...

Na szczęście z innymi gigantami muzyki bardziej mi po drodze, w czym zresztą też w jakiejś mierze pomógł Piotr Wierzbicki, a to jako autor m.in. „Życia z muzyką”. Najbardziej wdzięczny mu jestem jednak za ten właśnie wydany teraz poradnik. I zawarte w nim dobre słowa o np. Stanisławie Moniuszce, jeszcze nie tak dawno, bo po wojnie, powszechnie uważanym za drugiego po Chopinie najwybitniejszego polskiego kompozytora. Dopiero później Salon Warszawski wyrzekł



FOT. WUJCIK/STYL/STYL/STYL

się twórcy „Halki”, w jego miejsce podstawiając a to Karola Szymanowskiego, a to Witolda Lutosławskiego. Wskazuje Piotr Wierzbicki na nieprzemijające wartości „Śpiewnika domowego”, na porwijące uwertury do „Halki”, „Parii” czy „Hrabiny”, na „Straszny dwór” wreszcie, którego – czytamy – „warto by posłuchać w całości. Minimum to komiczna aria Skołuby i aria Stefana. Gdzie tam »aria«! Coś więcej niż aria, całe muzyczne – pierwsze i ostatnie po Chopinie – misterium narodowe, scena budzenia się przejmujących wzruszeń na głos kurantowego poloneza. Moniuszko przeszedł sam siebie. Był rok 1865. Na premierze płakano”.

O operach Piotr Wierzbicki pisze jakby na marginesach tylko, a jednak kilku z nich wyznacza miejsce szczególne w proponowanej przez niego muzycznej edukacji. Obok Moniuszki będzie to Wagner z „Pierścieniem Nibelunga” (tak, tak, też pamiętam z lat 80. wystawienie przez Roberta Satanowskiego w Warszawie całej tetralogii), no i – przede wszystkim – „Don Giovanni” Mozarta. Wyjątkowości tego ostatniego

dzieła dowodzi autor w sposób też wyjątkowy, przywołując pewien wieczór, gdy w swym mieszkaniu przy Elektoralnej słuchał muzyki w towarzystwie kotki o wdzięcznym imieniu Kreatura. I oto kocica niereagująca na żadne kakofoniczne nawet zgrzyty muzyczne przy „Don Giovannim” nastroszyła sierść, ogon jej napęczała, cała sprężyła się do skoku, jakby wyczuwając ten mozartowski „kosmiczny, dziwny, obcy ton”. To, oczywiście, żart, któremu jednak towarzyszy stwierdzenie całkiem serio, że „unikalność »Don Giovanniego« to magiczne zestrojenie śmiechu i grozy, błazenady i morderczego dramatu [...] owo zestrojenie nie jest zestrojeniem poprzez kontrast, ta groza i śmiech zawarte są w j e d n y m, przenikają się, żywią się sobą nawzajem, groza podsyta jest śmiechem, śmiech podsyty jest grozą”.

Piotra Wierzbickiego nic nie obchodzi mody ani antymody, dzięki czemu głośno upomina się też o pamięć o Schubercie, który – wydaje się – utracił łaski u mędrców naszego świata, zatem i naszej muzyki. W jednej jedynej kwestii mam wątpliwości co do jego wywodów – kiedy pisze o jazzie. To, że w ogóle znalazł on dla tej muzyki miejsce w swoim muzycznym panteonie, jest dla mnie zdumiewające, ale i bardzo miłe. Tyle że mam wrażenie, jakby autor „Jak słuchać muzyki” zatrzymał się na latach swojej młodości. Jazz dla niego to Dave Brubeck, Oscar Peterson, Thelonious Monk. Oczywiście trudno zapomnieć koncert tego ostatniego w Filharmonii Narodowej, ale jednak jeśli chodzi o pianistów jazzowych, to nie prześlepiłbym Keitha Jarretta, no a w ogóle niewymienienie w rozdziale o jazzie nazwiska Milesa Davisa jest niewytłumaczalne.

Co ja tu się będę mądrzył. Wielkie dzięki, panie Piotrze, za piękną i potrzebną książkę! ©©



★★★★★
PIOTR WIERZBICKI
„JAK SŁUCHAĆ MUZYKI”
BIBLIOTEKA
„WIĘZI”,
WARSZAWA 2016



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zatrute korzenie III RP

Znany historyk IPN Grzegorz Majchrzak opowiada historię stanu wojennego w 14 odsłonach – każdy rozdział poświęca innemu zagadnieniu. To dobry pomysł, który pozwala też na uporządkowanie ustaleń poczynionych przez badaczy w ostatnich latach. Jedną z kwestii – internowanie Wałęsy – autor opisał już wcześniej obszernie i osobno w książce „Kryptonim 333” napisanej wraz z Tomaszem Kozłowskim.

Są tu fragmenty, które łatwo rozpalą wyobraźnię czytelników urodzonych już po stanie wojennym – spektakularne ucieczki opozycjonistów i działalność Radia Solidarność. Jest i rozdział przypominający, czym zajmował się w owym czasie Jerzy Urban, dziś grający rolę emerytowanego skandalisty oraz ulubieńca salonów. Wszystko to wystarczyłoby do obwołania książki Majchrzaka interesującą. Znalazłem w niej jednak fragmenty, które czynią ją ważną i aktualną. To miejsca, w których opisując wydarzenia z lat 80., autor dotyka jednocześnie zatrutych korzeni III RP.

Popatrzymy na rozdział „Wymiar niesprawiedliwości”, z którego dowiadujemy się nie tylko o wyrokach wydawanych na opozycjonistów, lecz także o czystce wśród sędziów i prokuratorów, do której doszło po 13 grudnia 1981 r. Wszyscy podejrzani o nieprawomówność

stracili robotę, zostali tylko ci posłuszni i gorliwi. Co nam to mówi o wymiarze sprawiedliwości III RP? Przecież to on właśnie miał się „sam oczyścić”, jak to bajdurzył Adam Strzembosz. Nie oczyścił się ani nie został oczyszczony. Jakże zatem kadry rządziły palestrą po roku 1989?

Spójrzmy na rozdział „Łagodny stan wojenny” – po jego lekturze wiemy od razu, skąd się wzięły skandaliczne wypowiedzi płk. Adama Mazguły na dzisiejszych demonstracjach w obronie mordowanej rzekomo demokracji. Tezy o „kulturalnym” stanie wojennym to nie wykwit wyobraźni oficera, który dziś cierpi na schizofrenię (skoro stan był taki miły, to dlaczego Mazguła chce się koniecznie uwiarygodnić rzekomą współpracą z Solidarnością), tylko linia propagandowa ekipy Jaruzelskiego – kiedy i gdzie przyjęta, poczytać można u Majchrzaka. O propagandzie zresztą czytamy w kilku rozdziałach książki, i słusznie – była kwestią kluczową, gdy stan wojenny przygotowywa-

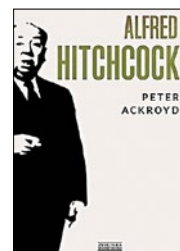
no i wprowadzano, okazał się kluczowy także w toczonej po 1989 r. wojnie o pamięć prowadzonej przez wybielających się „ludzi honoru”. Jedynym minusem pracy Majchrzaka jest brak podsumowania wszystkich przytaczanych faktów, ale nie każdy musi być interpretatorem, historii potrzebni są rzetelni kronikarze. ©©



★★★★★
GRZEGORZ MAJCHRZAK
„TAJEMNICE STANU WOJENNEGO”
ZONA ZERO 2016

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Książka Ackroyda, cenionego pisarza i autora licznych biografii (m.in. Dickens i Blake'a), to trzecia na polskim rynku opowieść o życiu genialnego reżysera. Najsłabsza, jeśli chodzi o objętość, ale dobrze wprowadzająca w temat.



PETER ACKROYD
„ALFRED HITCHCOCK”
ZYSK I S-KA

Opowieść lekarza, który od ćwierćwiecza pomaga uchodźcom przybywającym na wyspę Lampedusę, by szukać dalej ratunku i nowego życia w Europie. Kto widział głośny film „Fuocoammare. Ogień na morzu”, ten zna już tę postać.



PIETRO BARTOLO, LIDIA TILOTTA
„LEKARZ Z LAMPEDUSY”
JEDNOŚĆ

Polski czytelnik poznał pięć powieści z cyklu o komisarzu Wistingu (tomy 6–10). W „DRZ” recenzowałem tom 9. – „Jaskiniowiec”. „Gdy mrok zapada” to prequel serii. Cofa nas do roku 1983, kiedy William jest jeszcze posterunkowym.



JØRN LIER HORST
„GDY MROK ZAPADA”
SMAK SŁOWA

Pięć reportaży o ocalałych z niemieckiego piekła Auschwitz więźniach – w tym szczególnie mocny głos Karola Tendery, protestującego przeciw kłamliwemu sformułowaniu „polskie obozy zagłady”.



ALEKSANDRA WÓJCIK, MACIEJ ZDZIARSKI
„DOBRA NOC, AUSCHWITZ”
ZNAK

©© **poleca Piotr Gociek**

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Paula Hawkins „Dziewczyna z pociągu” (Świat Książki)** – ekranizacja przemknęła przez kino, powieść wróciła na szczyty list bestsellerów.
- M.L. Stedman „Światło między oceanami” (Albatros)** – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.
- Marie Tourell Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia” (Insignis)** – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniła się w radość dużą.
- Remigiusz Mróz „Wotum nieufności” (Filia)** – polityczny thriller, czyli kryminał w realiach polskiego Sejmu. Początek nowego cyklu „W kręgach władzy”.
- Piotr C. „Brud” (Nowae Res)** – nowa książka autora „Pokolenia Ikea”, znanego blogera. Mimo wysiłków wkładanych w tzw. wkurw proza raczej dziecinna.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 2 do 15 stycznia 2017 r.)



TO MI BRZMI

Odgłosy z głośnika

Gdy np. podczas jazdy samochodem przełączam stację radiową, to albo trafiam dokładnie na ten sam utwór, albo w kolejnej stacji za chwilę zaczyna się to, co w poprzedniej właśnie się skończyło. A generalnie nie jest to niestety zwykle nic ciekawego i raczej uciekam od tych stacji do kolejnych lub ostatecznie przełączam się na własny zasób MP3.

To jest praktyka. Teoria ją tylko potwierdza. Bo kiedy przyjrzałem się liście utworów muzycznych, które w 2016 r. najczęściej prezentowano w stacjach radiowych w Polsce, okazało się, że w pierwszej dziesiątce rozpoznaję trzy rzeczy. Poznałem połowę składu wykonującego drugi najpopular-



Dawid Podsiadło FOT. MATERIAŁY PRASOWE

niejszy utwór (bo znam Beyoncé). Rozpoznałem też „W dobrą stronę” Dawida Podsiadłego – który to numer znalazł się na miejscu siódmym. I całkiem miło kojarzyłem fantastyczny kawałek „Lost on You” artystki chowającej się pod pseudonimem LP, która zresztą niedawno gościła w Polsce na koncertach.

Gdy wodziłem palcem po kolejnej dziesiątce tego, co najczęściej słychać z głośników w kraju, nie było lepiej. Gdzieś tam na 16. miejscu uplasowała się Sylwia Grzeszczak (znam tylko dlatego, że mam córki, i to jeszcze małe), za nią Justin Timberlake z „Can't Stop the Feeling” (i kawałek znów znam dzięki dzieciom, bo to soundtrack z animacji „Trole”), a na

19. pozycji Enrique Iglesias (jego kojarzę wciąż bardziej dzięki nazwisku ojca i niesamowitym klipom w sieci, które wpuścił jakiś żartowniś z obsługi technicznej – nagrał, jak Enrique śpiewał na żywo, gdy zakrywał go playback).

Trochę się tym wszystkim zmartwiłem, bo wychodzi na to, że w Polsce z głośników sęczy się głównie bardzo słaba muzyka. Dobrze, że w jej zalewie trafiają się takie perełki jak Podsiadło (wy różniła się jakością w czołówce na równi z LP). Dobrze też, że wciąż są inne listy. Takie jak Top Wszech Czasów Trójki. Wolę już po raz kolejny wysłuchać „Stairway to Heaven” niż tego, co potem trudno mi nawet rozszyfrować w nazwie. I państwu też to polecam. ©©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zaopiekuj się mną

Sterany życiem mistrz wypruwania z siebie flaków powrócił, jak sam zaznacza, do ukochanych poetów: Mirosława Czyżykiewicza, Jana Kondraka, Jacka Musiatowicza i Roberta Kasprzyckiego.

Knajpiana muzyka na akordeon, trąbkę, kontrabas, piano i perkusję nieuchronnie kojarzy mi się z Tomem Waitsem. Szczególnie że Marek Dyjak ma równie szlachetnie zdarte trunkami struny głosowe.

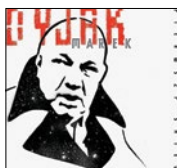
Niestety, bard nie ma odwagi na zerwanie się z postronka rodzimej piosenki aktorskiej, a odrobina dźwiękowego

szaleństwa zdecydowanie pomogłaby tej płycie.

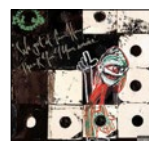
Kobiety po przejściach uwielbiają utracuszy w średnim wieku. A ten cierpi na płycie zacień i do tego oferuje zacyzny pakiet emocjonalny zawierający: palone fotografie, wino, pierwszą miłość, mamusię, samobójczy

list, przypadkową śmierć, kredyty, złą oną...

Za oknem słońce i breja, więc nawet ja odczuwam wraz z artystą jego męską depresję. Natomiast z nadejściem wiosny: „Pójdę i dojdę / odnajdę sens / odpowiedź kryje się / za horyzontem...”. ©©



★★★★★
MAREK DYJAK
„PIERWSZY ŚNIEG”
KAYAX



★★★★★
A TRIBE CALLED QUEST
„WE GOT IT FROM HERE...”
EPIC

Pierwszy od 18 lat i do tego rewelacyjny album mistrzów hip-hopu. Oczarowujące lekkością podkłady z nutą jazzu i reggae oraz pozbawione politycznych uproszczeń teksty. Wśród gości: Jack White, Kanye West, Kendrick Lamar i... Elton John. ©©



★★★★★
BONOBO
„MIGRATION”
NO PAPER

Szósty album Simona Greena zainspirował podróż wokół globu oraz śmierć krewnego. Emocjonalne pejzaże rozbrzmiewają w średnim cyfrowym tempie, łącząc jazz, folk i etno. Elektronice dodają uroku instrumenty akustyczne. ©©

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►



Z Matthew Tyrmandem

rozmawia

Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Frank-Walter Steinmeier napisał, że wybór Trumpa to „koniec starego świata XX w.”. Obserwowałeś ostatni akt „pokojuowego przekazania władzy w USA” z bliska – od zaprzysiężenia do balu inauguracyjnego. Czym twój obraz różni się od tego, który widzimy w mediach?

MATTHEW TYRMAND: Jeśli mówiąc „media”, pytasz o te głównego nurtu, to chyba wszystkim. To przerażające, że ci, którzy najgłośniejszą trąbią o pladze „fałszywych wiadomości”, sami brudzą sobie nimi ręce w tak perfidny sposób. Na pewno widziałeś zdjęcia porównujące inauguracyjne tłumy na National Mall przed Kapitołem. U Obamy wypełniony po brzegi, u Trumpa – ledwie w połowie pełny. Tyle tylko, że drugie ujęcie pochodziło z początku dnia z godz. 7 rano, gdy publiczność dopiero się zbierała. Siedziałem z przodu, więc gdy ceremonia się już zaczęła, specjalnie wstałem i spojrzałem za siebie. Tam było morze ludzi. Ten sam rodzaj alternatywnej rzeczywistości jak przy liczeniu uczestników protestów KOD w Polsce.

Przemówienie inauguracyjne wszyscy jednak słyszeli identycznie. Jakie wrażenia?

W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że składało się ono z trzech „P”: patriotyzmu, populizmu i protekcjonizmu. Każdy z wymienionych elementów jest ze sobą powiązany i ich zrozumienie będzie kluczem do właściwego odczytania intencji Trumpa. On bardzo wiele uwagi poświęcił przywróceniu narracji o amerykańskiej wyjątkowości i jedności, w przeciwieństwie do Obamy, którego polityka w rzeczywistości pogłębiła podziały rasowe w USA. Trump w mowie inauguracyjnej zadeklarował wprost, że nie liczą się kolor skóry, wyznawana religia ani orientacja – wszyscy razem budują Amerykę.

Nie chcę się czepiać, ale powiedział, że „wszyscy krwawią tą samą, czerwoną krwią”.

To niczego nie zmienia, ale właśnie fragment o jedności w obliczu tego samego narodu jest akcentem na pierwsze „P”, tj. patriotyzm. Z kolei fragment o odebraniu władzy Waszyngtonowi i przekazaniu jej ludziom w prosty sposób odnosi się do populizmu. Hasło „America First”, czyli postawienie na nasz interes – zarówno dyplomatyczny, jak i handlowy – oznacza trzecie „P”, protekcjonizm. Na



FOT. GETTY IMAGES

Patriotyzm, populizm i protekcjonizm



tych fundamentach będzie oparta jego prezydentura.

Fragment o odebraniu władzy elitom i przekazaniu jej ludowi jest żywcem wyjęty z przemówienia Bane'a z filmu o Batmanie. Bane sterroryzował władzę Gotham, wysadził mosty wokół miasta i urządził pokazowe procesy bogaczy.

Tak, słyszałem o tym, ale nie naciągniesz mnie na ironiczne analogie (śmiech). Realne podobieństwa zachodzą natomiast pomiędzy wizją polityki Trumpa a populistami i prawicą w Europie. PiS w Polsce również głosił konieczność wzmocnienia państwa narodowego, scedowanie władzy na obywateli oraz powrót do rodzimą gospodarkę. Oczywiście żaden z wymienionych procesów transformacji uprawianej polityki nie jest dobry, jeśli doprowadzi się go do skrajności. Zdrowy egoizm jest jednak w dzisiejszych czasach odpowiedzią na

przesadę w drugą stronę, czyli ofensywę globalizmu i myślenia w kategoriach prawdy etapu. Narody powinny wykorzystywać swoją przewagę konkurencyjną, bo jakkolwiek pięknie by to brzmiało, nie jesteśmy utopią, w której politycy działają dla wspólnego dobra.

Nie obawiasz się, że od protekcyjizmu jest już tylko krok do izolacjonizmu?

Dlatego tak istotne jest, aby rozumieć różnice między tymi postawami. Izolacjoniści chcą ignorować świat poza granicami kraju, protekcyjniści chcą w jego problemach uczestniczyć, ale na pierwszym miejscu stawiają dobre rozumiany interes. Naturalnie zawsze znajdą się ludzie, którzy będą chcieli pomieszać te pojęcia, ale tak było w walce idei od początku XX w. Prawica mówi o patriotyzmie, lewica oskarża ją o ksenofobię itd. Ameryka nie wycofa się ze świata, bo

właśnie w jej interesie leży, aby ustabilizować geopolitykę, utrzymać dobre relacje z sojusznikami i troszczyć się o korzystne umowy handlowe. Gdyby administracja Trumpa chciała izolacjonizmu, to po co miałaby się angażować w walkę z ISIS? Wystarczyłoby chronić lepiej terytorium Stanów Zjednoczonych.

I właśnie w duchu „stabilizacji geopolityki” prezydent Trump chce wycofania USA z TPP, Nafty i ONZ?

Złe umowy handlowe nie staną się z dnia na dzień dobre tylko dlatego, że ktoś je kiedyś podpisał, a jeszcze inny nie miał odwagi ich zerwać albo renegotjować. Wszyscy wiedzieli, z jakim programem startuje Donald Trump, więc nie sądzę, aby teraz demokraci mogli udawać zaskoczonych. Podobnie rzecz się ma z ONZ. Narody Zjednoczone to organizacja, która nieustannie stara się podważyć pozycję Ameryki jako dominującej globalnie gospodarki i – co najgorsze – robi to na naszym terytorium i w dużej mierze za nasze pieniądze. ONZ uchwała limity dwutlenku węgla uwalnianego do atmosfery i oczywiście to Ameryka musi dać przykład, ograniczając swój potencjał, a inne kraje tylko się przyglądają. Pora z tym skończyć.

Skoro Ameryka będzie na pierwszym miejscu, to co zmieni się z perspektywy Polski? Jeżeli współpraca z Rosją w kwestii walki z ISIS będzie wymagała wycofania wojsk NATO ze wschodniej flanki, to Trump po prostu przekalkuluje, co mu się bardziej opłaca.

Tylko co to znaczy „przekalkuluje”? Nie wszystko można wymiernie zmierzyć i wycenić, na pewno bezpieczeństwo wschodniej flanki sojuszu nie jest elementem targów. „America First” oznacza wzrost bezpieczeństwa na świecie i zerwanie z retoryką przepraszania za imperialne grzechy. Historycznie rzecz biorąc, silne Stany Zjednoczone były zawsze na korzyść demokratycznej Europy, a na niekorzyść ZSRS, a obecnie Rosji czy Chin. Koniec dyplomatycznych i militarnych wakacji USA to dobry sygnał dla Polski, która podąża podobną drogą aktywnego, a nie reaktywnego uprawiania polityki zagranicznej. Ten sam los czeka całe NATO.

O którym Donald Trump powiedział, że jest jak „skamielina”?

Nie powiedział tego o sensie istnienia sojuszu, ale o jego kształcie i sposobie zarządzania. NATO jest obecnie rozrośniętym i nieefektywnym mechanizmem,

■ w którego administracji dobrze się zarabia i wygodnie żyje, ale niewiele z tego wynika dla stabilizowania konfliktów zbrojnych na świecie. Większość państw, co nie dotyczy Polski, nie wydaje nawet zapisanych w traktacie funduszy na jego rozwój. Kiedy NATO w ciągu ostatnich 30 lat zrealizowało zakończoną spektakularnym sukcesem misję? I nie mówię tutaj o zaangażowaniu militarnym Ameryki, ale całego sojuszu. Dlatego właśnie trzeba mówić otwarcie, co zresztą czyni obecny sekretarz obrony gen. Mattis, że NATO jest na świecie potrzebne, ale aby wypełniać swoją powinność, musi być silne i działać solidarnie.

Wróćmy do wydarzeń w Waszyngtonie. Po samej inauguracji doszło do masowych protestów przeciwko prezydenturze Trumpa. Wybijano szyby w starbucksach, płonęły samochody, policja użyła gazu łzawiącego...

Dlaczego mnie to nie dziwi? Tak jak mówiłem na początku naszej rozmowy, amerykańska skrajna lewica nie jest najmądrzejsza, ale za to jest dosyć agresywna. To znak naszych czasów, że ludzie, którzy uważają się za otwartych i tolerancyjnych, kontestują wyniki demokratycznych wyborów, podpalając limuzynę przed siedzibą „Washington Post”. Przecież to nawet w warstwie symbolicznej nie ma większego sensu. Minęło już trochę czasu od wygranej kampanii, a hasło, z którym wychodzą na ulicę, to „Fuck Trump”. Zero refleksji, zero wyciągnięcia wniosków – wyparcie do kwadratu.

Następnego dnia odbył się już jednak pokojowy Marsz Kobiet. Globalnie przyciągnął ponad 2 mln uczestników. W 2009 r. z również oddolnego, ale prawicowego ruchu narodziła się idea Tea Party. Czy lewica doczeka się swojej Latte Party?

Moim zdaniem nie, ponieważ choć Marsz Kobiet był faktycznie masowy, to nie wykraczał poza ogólne hasła o równouprawnieniu oraz nienawiści do Trumpa. Tea Party zasiała ferment intelektualny, stworzyła grupę w Kongresie, która dopominała się liberalizacji prawa podatkowego i cięć w administracji publicznej. W jakimś sensie Donald Trump wyrasta ideowo z tego środowiska i realizuje dzisiaj część jego programu. Tylko ten program trzeba najpierw mieć. Sam skrót ruchu oznacza przecież Taxed Enough Already i jest pozytywnym ruchem reformatorskim.

Nie mogę uwierzyć, że lewica i liberałowie nie mają w tych kwestiach niczego do powiedzenia. Daj

Trumpowi rok, dwa lata prezydentury i możesz się zdziwić.

Czekam na to zdziwienie z niecierpliwością. Na razie jedną z twarzy Marszu Kobiet jest Linda Sarsour, wyznawczyni islamu, która popiera Hamas, potępia Izrael i racjonalizuje szariat. Jednocześnie nie powie nawet słowa na temat fatalnego traktowania kobiet np. w Arabii Saudyjskiej, gdzie szariat funkcjonuje od dekad. Ideały tych ludzi nie istnieją w konfrontacji z brutalną rzeczywistością, dlatego jeśli to podejście się nie zmieni, to nie będzie, jak to nazwał, Latte Party na lewicy.

Dla milionów głosujących na Donalda Trumpa dzień jego zaprzysiężenia był powodem do świętowania i balów. Chyba nikt z polskim paszportem nie był tak blisko wydarzeń. O czym plotkowały kuluary?

Słyszałem, że na miejscu był jeszcze Ryszard Czarnecki, ale nigdzie go nie spotkałem. Może był na innym wydarzeniu? Oficjalnych celebracji po zaprzysiężeniu jest ok. 20, z czego najważniejsze to Freedom Ball na ok. 25 tys. osób, Liberty

Silna Ameryka z dobrą i trzeźwo myślącą administracją to optymistyczna wizja przyszłości dla Polski

Ball dla kilku tysięcy czołowych donatorów i członków partii oraz Veteran Ball dla przedstawicieli armii. Ja uczestniczyłem w Liberty Ball – tutaj się pochwałem: w wydzielonej sekcji dla przyjaciół i rodziny prezydenta.

Rok temu w tym samym czasie robiłeś sobie złośliwe selfie z Olejnik i Krasną na Balu Dziennikarzy. Teraz z Giulianim, Ryanem, Farage'em na koktajlu u prezydenta Trumpa. Prawdziwy król życia.

No dobrze, dosyć lansu.

Z ust mi to wyjąłeś. Czekam na konkrety. Z kim rozmawiałeś, o czym i co z tego będzie miała Polska?

Dużo oczekiwania, ale OK. Najciekawiej rozmawiało się z Rudym Giulianim. Zawsze gdy na siebie wpadamy, zaczyna się od tego, że pochodzimy z tej samej dzielnicy Brooklynu, Flatbush. Ponieważ był niedawno w Warszawie, tym razem znalazło się jednak sporo punktów zaczepienia, jeśli chodzi o polską politykę. Bardzo chwalił rozmowę z Kaczyńskim,

Bielanem, senator Anders i Michałem Lisieckim. Rozumie, jakie zmiany polityczne zachodzą w Polsce, wspiera je i chce się bardziej we wspólne relacje zaangażować, tym razem jako biznesmen, a nie jako polityk.

Może w takim razie mówi to, co chcemy usłyszeć?

Możesz mi wierzyć – on nie jest miły, jeśli nie mówi tego szczerze. To jedna z najbardziej bezpośrednich osób, jakie spotkałem. Nie ma czasu na udawanie. Gdyby nie był zainteresowany Polską i nie cenił polskiej prawicy, nie twierdziłby, że jest inaczej. Jego entuzjazm będzie ważny dla relacji Warszawy i Waszyngtonu, bo Donald Trump na pewno będzie z nim w przyszłości konsultował wiele spraw, w dużej mierze właśnie biznesowych i inwestycyjnych. Oprócz niego Polską zainteresowany jest również Corey Lewandowski – jeden z menedżerów kampanii Trumpa oraz Newt Gingrich. Być może kogoś uda mi się w tym roku ściągnąć nad Wisłę na serię spotkań.

Widziałem również, że na innym wydarzeniu wpadłeś na Stephena Bannona, szefa strategii w Białym Domu. Wcześniej twojego znajomego, który ściągnął cię do portalu Breitbart.

Pomijając normalną w takiej sytuacji wymianę uprzejmości i gratulacje, z ciekawostek mogę dodać, że tak samo jak na początku naszej współpracy, tak samo teraz nie przestaje obserwować wydarzeń w Europie Środkowej. I też nie robi tego na pokaz. Gdy dałem mu egzemplarz dzienników mojego ojca, autentycznie przeczytał całą książkę i był pod wrażeniem, z jakiego głębokiego komunistycznego dołka Polska była w stanie się wydostać.

To dlaczego, skoro jest tak dobrze, wielu komentatorów w Polsce z niepokojem spogląda na Trumpa? Wszyscy się mylą, a tylko ty masz rację?

Rozmawialiśmy już na ten temat wielokrotnie, ale odpowiem najprościej, jak to możliwe. Trump to zagrożenie dla wszystkich ideologów, którzy przez dekady sprawowania rządów uwierzyli, że tylko lewica, socjaliści i liberałowie mogą propagować swoją wizję świata. Czasy się zmieniły, a wraz z nimi wyzwania. Silna Ameryka z dobrą i trzeźwo myślącą administracją to optymistyczna wizja przyszłości dla Polski, która podąża na czele zmian obejmujących swoim zasięgiem już nie tylko Europę. Czas pokaże, czy mam rację.



PIOTR WIERZBICKI

Czas zabrać głos

Wysokie drugie miejsce Jarosława Kaczyńskiego w prestiżowym międzynarodowym rankingu osobistości, które będą się najbardziej liczyć w perspektywie tegorocznych wydarzeń, odbiło się w Warszawie szerokim echem. Jednak, jak to zwykle u nas, na gratulacjach się skończyło. Sądzę, że skoro – jak widać – zauważa się Polskę i oczekuje się od niej wpływu na bieg spraw, to trzeba iść za ciosem i przedstawić opinii publicznej, władzom w Brukseli oraz Strasburgu, a także rządowi państw członkowskich polskie stanowisko w sprawie fundamentalnych traktatowych reform Unii Europejskiej, niezbędnych do tego, aby ta organizacja mogła przetrwać i aby nasze dalsze w niej członkostwo miało sens.

Byłoby niedobrze, gdyby skończyło się na ogólnikach i unikach, dlatego stosowny dokument powinien przybrać

kujących odbieraniem kolejnych kompetencji rządowi państw członkowskich; **3.** Władzom ani organom Unii nie przysługuje prawo do jakichkolwiek ingerencji w wewnętrzne polityczne spory toczące w parlamentach narodowych; **4.** Procedura karna bądź kontrolna wobec rządów może zostać wszczęta jedynie w obliczu ściśle określonych przejawów ewidentnego bezprawia (zamach stanu, wprowadzenie cenzury, zakaz demonstracji i zgromadzeń, procesy polityczne, jawne tolerowanie przestępczości kryminalnej i korupcji); **5.** Wszelkie przejawy przekraczania uprawnień przez unijnych liderów z Brukseli i ze Strasburga, w szczególności motywowane sympatiami politycznymi lub uprzedzeniami ideologicznymi akcje represyjne i pogróżki skierowane przeciwko krajom członkowskim, skutkują odwołaniem ze stanowiska.

Powiedzą, że lepiej poczekać na wybory we Francji i w Niemczech. A dlaczego niby „lepiej”? Taki czy inny wynik tych wyborów mógłby zwiększyć lub zmniejszyć szanse przychylnego przyjęcia polskich propozycji. Jednak jakim to cudem miałyby wpłynąć na ich treść? Przecież nie wyrzekniemy się niepodległości, bo jedna pani wygrała w jednym kraju, a druga w drugim przegrała. Przypominam, że jedynym leżącym na stole poważnym dokumentem dotyczącym przyszłości UE pozostaje w dalszym ciągu memoriał ministrów spraw zagranicznych Francji i Niemiec, w którym postuluje się faktyczną likwidację suwerennych państw narodowych.

Powiedzą, że nie ma się czym przejmować, bo system federacyjny to mrzonka. I tu do pewnego stopnia mają rację, faktycznie jakoś nie widać, by pani kanclerz Merkel paliła się do oddania Niemiec w ręce unijnych komisarzy, unijny projekt likwidacji państw narodowych w jego wersji klasycznej, totalnej, nie wydaje się całkiem realny. Rzecz jednak w tym, że wcielany właśnie w życie jest jego wariant umiarkowany, łagodniejszy. Zakłada on utratę suwerenności przez państwa członkowskie, tyle że nie wszystkie, ale te, których władze, niesłusznie wybrane przez wyborców, odmawiają wykonywania słusznych poleceń opozycji. Od kilku lat brutalna presja unijnych instytucji kierowana jest ku Węgrom, od roku – ku Polsce. Jak długo mamy tolerować ten stan?

Naszą dyplomację pochłaniają teraz całkowicie starania o niestałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Z całym szacunkiem dla tych wysiłków wiekopomnych – splendor, limuzyny, wielki świat – ale nas tu właśnie okładają maczugami po głowach typki z trochę bliższych, omal że sąsiedzkich stron.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FOTOLIA

formę jeśli nie wręcz kompletnej propozycji niezbędnego aneksu do starych ustaleń traktatowych, to przynajmniej wyliczenia tych zapisów, które dla Polski miałyby znaczenie kluczowe. **Można by je zawrzeć w pięciu punktach:** **1.** Unia jest i będzie związkiem suwerennych państw; **2.** Unia rezygnuje z dalszych działań skut-

Powiedzą, że najpierw trzeba by odbyć konsultacje choćby z rządami krajów Grupy Wyszehradzkiej i regionu. A dlaczego niby „najpierw”? Konsultacje niech się zaczną potem i niech mają za podstawę właśnie tezy polskiego dokumentu. Chyba mamy jeszcze prawo powiedzieć coś publicznie własnym głosem.



Z ks. prof. Piotrem Mazurkiewiczem, wykładowcą Instytutu Politologii UKSW, byłym sekretarzem generalnym Komisji Konferencji Episkopatów Unii Europejskiej

rozmawia Dominika Ćosić

Muzułmanie mają apetyt na Europę

DOMINIKA ĆOSIĆ: W 2006 r. papież Benedykt XVI wygłosił pamiętny odczyt w Ratyźbonie, w którym powiedział, że stosunek do przemocy jest różny w chrześcijaństwie i islamie, a w Europie już wkrótce ludzie niewierzący będą musieli wybrać, czy chcą żyć w środowisku chrześcijańskim czy islamskim. Te słowa bardzo oburzyły m.in. Turcję, ale patrząc na to, co się dzieje w Europie, na coraz większą liczbę muzułmanów w krajach zachodnich i tego konsekwencje, widać, że papież trafił w sedno.

KS. PIOTR MAZURKIEWICZ: Jest istotna różnica między chrześcijaństwem a islamem. Jezus udaje się do Jerozolimy nie po to, aby zdobyć tam władzę polityczną i założyć własne państwo. Idzie, aby ponieść śmierć przez ukrzyżowanie, to znaczy ponieść klęskę z punktu widzenia logiki władzy. Ma to jednak głęboki sens, ponieważ Jego Królestwo nie jest z tego świata. Mahomet był przywódcą politycznym i wojownikiem. Na zdobytych terenach założył własne państwo, w którym wprowadzał islam jako religię państwową. Dobrze to ilustrują pamiątki eksponowane w muzeum Topkapi w Istambule: łuk i szabla Mahometa. Celem wyznawców islamu jest stworzenie globalnej wspólnoty, w której obowiązuje szariat, czyli prawo koraniczne. Odmienne jest także rozumienie postaci męczennika. W islamie to osoba, która poniosła śmierć w walce o poszerzenie wpływu islamu. W chrześcijaństwie to człowiek, któremu zadano śmierć, który – jak mówimy – „przełał krew dla Chrystusa”, ale chodzi wyłącznie o jego własną krew. Zasadne jest pytanie o interpretację niektórych wersów Koranu

nawołujących do przemocy. Wprawdzie w Starym Testamencie można odnaleźć podobne wersety, ale w chrześcijaństwie właściwy sens tym fragmentom nadał Nowy Testament, a zwłaszcza „Kazanie na górze” i dobrowolna męka Jezusa. Problematiczne w swej treści wersety Koranu bywają różnie interpretowane. Ludzie o łagodnym usposobieniu widzą w nich zachętę do dżihadu rozumianego jako walka wewnętrzna, prowadzona przeciwko grzechowi i własnej słabości.

FOT. JAKUB SZYMczuk/GN/FORUM



Inni, bardziej agresywni, interpretują je jako zachętę do fizycznej walki z niewiernymi, pozostawiając im wybór jedynie między konwersją na islam a fizyczną eksterminacją. Dzisiaj wyraźnie dominuje ten radykalny nurt islamu, islam umiarkowany jest zaś w głębokiej defensywie.

A dlaczego radykalizuje się drugie, trzecie pokolenie muzułmanów? Czy tylko dlatego, że będąc np. obywatelami belgijskimi, tak naprawdę dalej są ludźmi drugiej kategorii?

Przyczyn jest wiele. Jeśli chodzi o imigrantów, to zazwyczaj pierwsze pokolenie, które przyjeżdża do Belgii, Francji czy Niemiec, nastawione jest pozytywnie do kraju, który udziela im gościny. Przybywając z regionów znacznie biedniejszych od Europy, doświadczają natychmiastowej poprawy swojej

zyciowej sytuacji. Mają co jeść, dach nad głową, może nawet jakiś samochód, a przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. I cieszą się z tego. Natomiast ich dzieci i wnuki, które już urodziły się w Europie, porównują się ze swoimi europejskimi rówieśnikami. Dla nich punktem odniesienia nie jest marokańska ani turecka biedna wioska, ale otoczenie, w którym żyją.

I cóż, widzą, że ich europejscy rówieśnicy są na ogół lepiej wykształceni, mają lepszą pracę, lepsze samochody,

mieszkają w lepszych dzielnicach. Pojawia się frustracja. To zresztą ciekawe, bo nie wszyscy imigranci integrują się tak samo. We Francji przeprowadzono badania, z których wynika, że Azjaci na ogół łatwiej się integrują i osiągają lepszą pozycję materialną. Bierze się to prawdopodobnie stąd, że na starcie pomaga im miejscowa wspólnota, np. chińska czy wietnamska. I nie czerpiąc z zachodnich wzorców kulturowych, nie odczuwają jednocześnie wrogości do Europejczyków.

No dobrze, ale są przykłady islamistów, którzy jako drugie pokolenie odnieśli sukces, pozornie świetnie się zintegrowali, zdobyli wykształcenie, zawód, odpowiedni status finansowy – tak jak np. terroryści, którzy dokonali zamachów w Londynie w 2005 r. Co ich popchnęło do radykalizacji? Dekadencja Europy?

Muzułmanie odbierają Europę prościej niż my. Dla nich Europa jest chrześcijańska, przynajmniej w swych korzeniach. Jednocześnie widzą Europę, w której legalizowane są: aborcja, eutanazja, związki jedнопłciowe i adopcje dzieci przez takie pary, wynajmowanie surogatów itp. My sami mówimy o kryzysie tożsamości europejskiej, oni też to widzą. My jednak, mimo krytycyzmu, z Europą, nawet zagubioną, się identyfikujemy, bo to nasz dom, chcemy jej pomóc wydobyć się z kryzysu. Oni natomiast czują do niej niechęć i raczej – z pewnym poczuciem wyższości moralnej – myślą: kiedyś przyjdzie tutaj islam i zrobi porządek. Europa przeżywa także kryzys demograficzny, bo ludzie nie chcą mieć dzieci. Muzułmanie postrzegają to jako szansę dla siebie. Oto zwalnia się dla nich miejsce. Połączenie poczucia cywilizacyjnej niższości z poczuciem moralnej wyższości stanowi mieszanekę wybuchową. Powoduje otwartość na radykalizację, która często przychodzi z zewnątrz. Ten, kto płaci za budowę meczetu, może mianować w nim imama – zresztą taka zasada jest też w chrześcijaństwie. Trzeba zatem patrzeć na to, czyjemu wpływowi podlega wspólnota muzułmańska. Jest tzw. Państwo Islamskie, są wojny, Arabia Saudyjska – to czynniki zewnętrzne.

W Belgii muzułmanie to 6 proc. społeczeństwa obecnie (w samej Brukseli to jednak 22 proc.), podobne wskaźniki są w Holandii, we Francji, w Szwecji. Biorąc pod uwagę demografię, Europa może stać się muzułmańska prędzej niż później.

Może, ale czy tak się stanie i, ewentualnie, kiedy – tego nie wiemy. Poddicie Afryki Północnej, która przecież była chrześcijańska, zajęło muzułmanom 200–300 lat. Demografia działa dzisiaj niewątpliwie na niekorzyść Europy, ale jest to przejaw głębszego kryzysu, z którego – być może – Europa się wydostanie.

No to założmy wariant negatywny. Muzułmanie stają się większością w Europie Zachodniej, przynajmniej w niektórych krajach. Co się dzieje? Zakładają państwa islamskie czy demokratyzują się?

W historii nigdy nie istniało demokratyczne państwo islamskie. Nie ma tam podziału na politykę i religię, na państwo i „Kościół”. Istnieją jedynie państwa islamskie, w których jest mniej lub więcej indywidualnej wolności. Spośród przejawów życia społecznego w cywilizacji islamu odmiennych niż w chrześcijaństwie warto przypomnieć kwestię poligamii, małżeństw z nieletnimi, pozycję kobiety w społeczeństwie. Są to sprawy regulowane prawem szariatu. W świecie zdominowanym przez islam chrześcijanki są dzisiaj bardzo łatwym celem dla prześladowców. Nie muszą nosić żadnych znaków religijnych. Zachowują się inaczej niż muzułmanki, mają poczucie godności i równości mężczyźni. Bywają jednak sprawy poważniejsze niż konieczność słuchania głosu meczetu czy trudności w zakupie wieprzowiny. Niedawno podczas badań socjologicznych w Norwegii zauważono poważnie zanizony procent dziewczynek w populacji w pewnych regionach. Odkryto wówczas, że Pakistańczycy mieszkający w Norwegii praktykują w tym kraju selektywne dzieciobójstwo. Życie społeczne w krajach zdominowanych przez muzułmanów i w krajach tradycyjnie zdominowanych przez chrześcijan jest zorganizowane według innych wzorców. Dzisiaj część muzułmanów, przenosząc się do Europy, przyjmuje także pewne europejskie wzorce życia, inni pozostają wierni wzorcom przyniesionym z kraju ich pochodzenia, najczęściej tworząc getta na obrzeżach wielkich miast. Politycy, którzy podejmują decyzje np. o przyjmowaniu na dużą skalę imigrantów, powinni zdawać sobie sprawę z tych różnic, z tego, że religia ma znaczenie. Ignorancję w tej dziedzinie należałoby uznać za zwinioną.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Przynoszą pizzę i nie tylko

Jestem już w tym wieku, że jedzenie zamawiane przez telefon pozostaje dla mnie jedną z głównych życiowych przyjemności. Do tego fajny film albo serial (broń Boże, program publicystyczny), albo mecz. Minimalizm 40-latką, któremu nie chce się wychodzić wieczorem z domu, ale też nie chce mu się spać.

Ponieważ ten minimalizm kulturowy z żoną już dość długo, zauważyłem pewną tendencję, jeśli chodzi o dostarczycieli pizzy oraz innych smakołyków. Jeszcze jakąś dekadę temu z żarciem przybawali do nas niemal wyłącznie ludzie młodzi albo bardzo młodzi. Tacy, którzy dopiero startują i chcą sobie dorobić. Teraz też jest ich sporo, a dodatkowo do naszych swojskich dołączyli Ukraińcy, których bardzo lubię mimo publicystycznej działalności wielu kolegów z tych łamów. Jednak nie o nich (Ukraińców, nie kolegów) mi chodzi.

Chodzi mi o starszych facetów. Otóż coraz częściej pukają do nas z jedzeniem moi rówieśnicy oraz mężczyźni jeszcze starsi. Pięćdziesięcio-, a nawet sześćdziesięciolatki. To już nie są goście, którzy chcą sobie dorobić w ten sposób na studia czy piwko. To ludzie, którzy ciężko walczyli o każdy grosz.

Ułóżmy się, rozwojenie pizzy to nie jest szczyt kariery zawodowej. Zwłaszcza gdy musisz się przy tym ubrać w jakiś głupawy uniform. Ja jednak bardzo lubię tych starszych dostarczycieli. Lubię, a nawet mogę powiedzieć, że

podziwiam. Ponieważ się nie poddają. Dla 20-latka wbieganie po schodach z pizzą to sympatyczna przygoda, podczas której może się zorientować, gdzie jest w okolicy najlepsza impreza, na którą może wręcić się po pracy. Dla gościa, który może mieć wnuki, to – przepraszam za wyrażenie – akt egzystencjalnego oporu.

Zapewne coś im się tam pokiełbało w życiu. Może rozwaliło im się małżeństwo i wpadli w depresję, może zbankrutowali, może oszukał ich kolega wspólnik, może kobieta fatalna puściła z torbami. A może zapożyczyli się na operację córki albo po prostu popełnili dziesiątki małych, głupich błędów i wzięli się w garść stanowczo za późno. W każdym razie to są ludzie, którzy znajdują w sobie siłę, by zacząć od początku. Zawsze mam dla nich solidny napiwek. Dla młodziaka parę złotych, dla starszego – co najmniej dychę albo dwie.

Proszę wybaczyć, że nie wspieram młodzieży, ale to w tych starszych widzę siebie. Przecież i mnie może powinąć się noga. Każda ludzka kariera jest kruchutka i dlatego zawsze, kiedy odbieram torbę z jedzeniem, to zastanawiam się po cichu, czy dałbym radę. I myślę, że jeśli oni mogą, to i ja potrafiłbym odbić się od dna, zamiast spocząć na nim z odkorkowaną flaszką w rękę. A skoro ci panowie niosą takie pocieszenie, to należy im się specjalny napiwek. No i szacunek oczywiście. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Orientalny cud

Jeszcze trzy tygodnie temu byłem przekonany, że aby zobaczyć XXII w., należy wybrać się do Szanghaju. Okazuje się jednak, że świat jutra znajduje się dużo bliżej. Nad Zatoką Perską.

Emiraty Arabskie (szczególnie Dubaj i Abu Zabi) porażają nowoczesnością i rozmachem. Szok jest jeszcze większy, jeśli weźmiemy pod uwagę kontekst: 60–70 lat temu Dubaj był zapomnianym przez Boga i ludzi zadupiem, jednym z siedmiu emiratów Wybrzeża Rozbójniczego, któremu pewnego rozgłosu nadawali piraci i poławiacze

lotniczych... Dzisiaj przemysł wydobywczy procentowo mniej znaczy dla gospodarki kraju niż np. w Rosji.

Oczywiście sytuację ułatwia niska liczba ludności. Chodząc po mieście, odnosi się wrażenie, że więcej jest tu wieżowców niż ludzi, wypasione domy towarowe świecą pustkami, nie brakuje jedynie luksusowych aut. W dodatku na 9 mln mieszkańców Emiratów zaledwie 10 proc. to obywatele państwa. Reszta to imigranci (z Indii, Pakistanu, Filipin – interesujące, że nie z Syrii czy Iraku), eksplloatowani dość brutalnie, ale mimo to napływający tłumnie. Ciekawe, czy kiedyś upomną się o swoje prawa?

Na razie panują powszechne czystość, prawo, porządek. I tolerancja. Działają wspólnoty wielu religii, kobiet w burkach widzi się mniej niż w Zachodniej Europie...

A rozmach? Zanimowiłem podczas safari na wyspie (prawie) bezludnej, oddalonej kilkanaście kilometrów od stałego lądu. Na szczerym piasku stworzono tam rezerwat, posadzono lasy, do każdego z milionów drzew doprowadzono słodką wodę (podmorskim rurociągiem z odsalarni na stałym lądzie). Po blisko stulkilometrowym parku śmigają żyrafy, antylopy, gazy, i polujące na nie lamparty.

Wydaje się, że z lokalnego języka zniknęło wszechobecne gdzie indziej: „Nie da się”. Wszystko jest możliwe. Aż strach pomyśleć, że ten orientalny cud powstał dzięki mądrej władzy niespecjalnie przejmującej się demokracją. ©©

**Na 9 mln
mieszkańców
Emiratów zaledwie
10 proc. to
obywatele państwa.
Reszta to imigranci**

pereł. Chatki z trzciny, nieliczne palmy, kłopoty z wodą i bieda taka, że daktyla dzielono na czworo.

A potem odkryto ropę, cały ocean ropy. Do szejka i jego dworu popłynęły monstrualne pieniądze. Są kraje, które w takiej sytuacji postawiłyby na konsumpcję, zbytek... Władzom Dubaju starczyło wyobraźni, by pomyśleć o tym, co się stanie, gdy ropa się skończy. Nie czekali, aż ich luksusy zasypie piasek. Postawiono na turystkę, handel, komunikację. Emirates to jedna z najdynamiczniejszych linii



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu

14 dni
pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 9575c5af8b



Tomasz Lenczewski

Erotyczne wiersze pisał dla niego Iwaszkiewicz, kobiety szalały za nim, a królowie go gościli. On sam grywał w filmach i handlował narkotykami. Kim był naprawdę?

Pochodził ze starej rodziny szlacheckiej z Polesia, która złudnie przekonana, że wywodzi się od Gedymina, kupiła za pośrednictwem hochsztaplerów hiszpański dyplom tytułu książęcego w 1928 r. Wartość tego patentu pod względem prawnym okazała się iluzoryczna. Tytuł jednak otwierał drzwi do europejskich salonów, gdzie nikt nie zaglądał w dokumenty. Tym bardziej że podający się za księcia Stanisław Bielski był czarującym młodzieńcem o nienagannych manierach, dobrze ubranym u najlepszych warszawskich krawców.

GWIAZDOR I KOCHANEK

Młodość Bielskiego, urodzonego w 1908 r. w majątku pod Hrubieszowem, upłynęła beztrąsko na zagranicznych wояжach. Znana jest głównie z jego relacji, dlatego trudno dziś rozdzielić w niej fikcję od prawdy. Przyszły dziedzic był jednakiem, którego usiłował wychowywać ojciec. Matka Stasia wcześniej uciekła z jakimś oficerem kawalerii od męża tyrana. Młodzieniec po maturze wyjechał do Francji, gdzie miał studiować. Żadnych nauk nie ukończył i poza solidną znajomością języka niewiele zyskał.

Pod koniec lat 20. Bielski powrócił do Polski. Za namową Marii Jehanne hr. Wielopolskiej, literatki i entuzjastki kinematografii, wziął udział w zdjęciach próbnych do filmu „9.25. Przygoda jednej nocy”. Tak zaczęła się jego kariera filmowa. Wskutek sprzeciwu rodziny nie mógł występować pod własnym nazwiskiem, dlatego przybrał pseudonim Harry Cort. Krytyka filmowa – w myśl panującej teorii o fotogeniczności – dostrzegła w aktorze „nowego polskiego amanta filmowego o niezwykłych warunkach”. Młody aktor odznaczał się chłopięcą i delikatną urodą na wzór Alfreda Douglasa (kochanek Oscara Wilde’a) oraz znakomitą sylwetką przy wzroście 186 cm. Niemniej



Aktor w roli księcia

recenzje nie omieszczały podkreślić jego amatorskiej gry.

Na planie swojego pierwszego filmu poznał Jarosława Iwaszkiewicza, który również próbował sił w sztuce aktorskiej. Tegoż roku w „Wiadomościach Literackich” został opublikowany wiersz Iwaszkiewicza „Pożar w Atelier” dedykowany Harry’emu Cortowi (dedykacja ta została później usunięta z wydań książkowych) wraz z wizerunkami aktorów. Krótkotrwały związek poety z młodszym kolegą z filmowego planu znalazł też ślad na łamach prasowych. W artykule pisma „Teatr i Życie Wytworne” znalazły się dwa nachodzące na siebie zdjęcia autorstwa Jerzego Dorysa przedstawiające obu aktorów amatorów. W zbiorze

Stanisław Bielski zadebiutował w filmie „9.25. Przygoda jednej nocy”. Występował pod pseudonimem Harry Cort

wierszy „Powrót do Europy” ukazał się jeszcze jeden wiersz Iwaszkiewicza z dedykacją „Księżu S.B.” („księcia” z wojennych wydań skasowano). Wiersz, w którym zafascynowany erotycznie poeta przedstawia obiekt swego pożądania jako „zakochanego w sobie Narcyza”. W archiwum Iwaszkiewicza przetrwały do dziś tylko dwie kartki pisane przez Stasia do poety w latach 30., z których jedna zaczyna się od słów: „Kochany Jarosławie”.

Harry Cort zagrał jeszcze główne role w dwóch filmach – w niemej ekranizacji Moniuszkowskiej „Halki” oraz w „Karuzeli życia”. Wraz z wprowadzeniem dźwięku do filmu młody aktor rozpoczął intensywną naukę śpiewu i dykcji. Z uwagi na znajomość języków obcych miał szansę przygotować się również do grania w filmach zagranicznych, w czym miała mu pomóc rzekoma znajomość z Polą Negri. Jednak karierę filmową przekreślił towarzyski skandal, w jakim uczestniczył w 1930 r.

SKANDALISTA

Bielski poznał – dzięki pośrednictwu rodziny pewnego dyrektora banku – żonę członka korpusu dyplomatycznego. Dama ta miała stracić przy tak „pociągającym” młodzieńcu nie tylko zmysły, lecz także część biżuterii. Precjoza wręczyła mu na pokrycie kosztów uregulowania niezapłaconych rachunków wynikłych podczas ich romansu. Od tego czasu zaginął ślad zarówno po Corcie, jak i drogocennych klejnotach wręczonych mu w zaufaniu. W sprawie interweniował dyrektor banku, w którego domu oboje zawarli znajomość. Aktor jednak odpowiedział mu, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy. Z uwagi na to, że żona dyplomaty chciała zachować dyskrecję, przestępstwa nie zgłoszono na policję. Dyrektor banku dał mu do zrozumienia, że jest osobą niepożądaną, i poradził, aby zniknął z życia towarzyskiego stolicy. Kiedy mimo to spotkał Bielskiego w Kawiarni Europejskiej, złapał go za kark i solidnym kopniakiem wyrzucił z lokalu na bruk.

W tym samym czasie pojawiła się możliwość zaangażowania Bielskiego do filmu „Orlica” kręconego w Paryżu. Kwestię jednak rozstrzygnęli decydenci ze Związku Artystów Scen Polskich. Wysłano list do Polskiego Towarzystwa Filmowego z informacją, że Harry Cort nie został przyjęty do związku i dalsza współpraca z nim jest niemożliwa. Wszystko to zostało opisane w prasie filmowej pt. „Aktor na niewłaściwej drodze”. Zrobiono to nieco niezręcznie, podając inicjał nazwiska „B.”, co sugerowało, że chodzi o Eugeniusza Bodo, który rzecz całą musiał prostować w ZASP. Bielski się bronił, opisując w prasie zgoła inny przebieg sprawy (prawdopodobnie chodziło o samą żonę bankiera). Wszystkim uczestnikom tej afery groził przy tym wytoczenie procesu o zniesławienie. Było jednak pewne, że dopóki cała sprawa nie znajdzie finału w sądzie, dopóty droga Bielskiego do ZASP była zamknięta. Do sprawy sądowej nie doszło.

W 1933 r. Bielski został zaangażowany do teatru rewiowego, gdzie zagrał w operetce „Kobieta, która wie, czego chce” Oskara Strausa. Występował na deskach podrzędnych teatrów w Katowicach, Poznaniu i Wilnie. Wziął wtedy udział w karnawałowym balu mody, zostając wicekrólem stolicy. Stołeczna prasa określiła go jako „nieprawdopodobnie ładnego i niewykorzystanego gwiazdora filmowego”. Odnotowano jeszcze jego wypadek samochodowy powstały wskutek zderzenia z daniem. Później okazało się, że był on próbą wyłudzenia odszkodowania.

W 1933 r. Bielski został zaangażowany do teatru rewiowego, gdzie zagrał w operetce „Kobieta, która wie, czego chce” Oskara Strausa. Występował na deskach podrzędnych teatrów w Katowicach, Poznaniu i Wilnie. Wziął wtedy udział w karnawałowym balu mody, zostając wicekrólem stolicy. Stołeczna prasa określiła go jako „nieprawdopodobnie ładnego i niewykorzystanego gwiazdora filmowego”. Odnotowano jeszcze jego wypadek samochodowy powstały wskutek zderzenia z daniem. Później okazało się, że był on próbą wyłudzenia odszkodowania.

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 zł



PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 5 lutego 2017 r.

1. 39.00 zł
25.00 zł
2. 34.90 zł
24.90 zł
3. 45.00 zł
33.90 zł
4. 49.90 zł
34.90 zł
5. 39.00 zł
26.90 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

Skandale towarzyskie Bielskiego wynikały po części z jego preferencji seksualnych, nie zawsze tolerowanych poza środowiskiem artystycznym. Aleksander Janta-Połczyński wspominał młodego Stasia, który podczas wakacyjnego pobytu w Polsce w 1926 r. znalazł się na pałacowym balu u Mieczkowskich w Niedźwiedziu koło Grudziądza. Jego udział był tam przypadkowy i dla żartu zaproszone towarzystwo przebrało go za koleżankę córki z Paryża. Przebranie wyglądało nader zjawiskowo ze względu na chłopięcą urodę Stasia i jego sposób poruszania się. „Dziwczyną z Paryża” wzbudziła zachwyt płci męskiej, a wir tańca spowodował, że oczarowała wszystkich. Nadmiar wypitego alkoholu sprawił, że Staś dał się namówić któremuś z ziemian na przejażdżkę. Mężczyzna nie został wyprowadzony z błędu. Wrócili z tej niefortunnej przejażdżki osobno. Nie wiadomo dokładnie, co się stało, ale wprowadzony w błąd chciał się nawet strzelać z Bielskim i ledwo dało się go uspokoić. Zdarzenie to odbiło się głośnym echem w środowisku ziemiańskim i miało wpływ na ochłodzenie jego stosunków z rodziną.

NA PODBÓJ EUROPY I AMERYKI

W Polsce lat 30. Cortowi wiodło się coraz gorzej. Zarabiał głównie na reklamach garderoby męskiej podczas pokazów organizowanych przez salony konfekcji. Pisano o nim złośliwie, że podpisuje fotosy dla pańienek. Było w tym nieco prawdy, ponieważ reklama filmowa lansowała go w szczytowym momencie jego krótkiej kariery. W połowie lat 30. Staś opuścił Polskę. Doskonała prezencja, rzekome pochodzenie i tytuł sprawiały, że był również na europejskich dworach. Przyjaźnił się z następcą tronu włoskiego – księciem Humbertem, który sadzał go przy stole podczas obiadu dla dyplomacji pośród książąt krwi. W dodatku znacznie wyżej w protokolarnej hierarchii niż ambasadora Rzeczypospolitej Alfreda Wysockiego, którego dyplomatyczne protesty na niewiele się zdały. Jeśli wierzyć dziennikarskim plotkom, to „książę” Bielski był częstym gościem w letniej rezydencji króla Belgii, a europejscy milionerzy prześcigali się, by mieć „zaszczyt posiadania go na swoich przyjęciach”.



W grudniu 1935 r. francuska prasa szeroko rozpisывała się o „księciu Bielskim”. Ten „mały król” i „oszust pełen wdzięku”, jak go przy okazji nazywano, permanentnie nie płacił za swój pobyt w hotelach na Lazurowym Wybrzeżu. Zatrzymany w Paryżu przez policję zaprotestował: „Czy wiecie, kim ja jestem?”. Policjant odpowiedział mu: „Wiemy, książę Stanisław Bielski, pretendent do tronu Polski i handlarz narkotykami”. Przeszukanie ujawniło w jego bagażu kilka pakietów kokainy i heroiny. Okazało się, że Bielski związał się z międzynarodowym gangiem handlarzy i producentów narkotyków. Jego nazwisko trafiło również do specjalnego biuletynu wydawanego przez Komisję ds. Walki z Narkotykami pod egidą Ligi Narodów. Po procesie wyładował w paryskim więzieniu La Santé. Siłą rzeczy nazwisko „księcia” zniknęło na kilka lat z łamów prasy. Późną jesienią 1938 r. spotkał go w szwajcarskim kurorcie St. Moritz dziennikarz Antoni Sobański. W liście do Iwaszkiewicza „hrabia Tonio” wspominał: „Okazuje się, że i hochsztaplerzy potrzebują gdzieś spędzać rekonwalescencję. [...] Podobno miał cztery uszne operacje i silną anemię – wygląda również świetnie jak ja – suchotnik”.

Tuż przed samą wojną Stanisław Bielski ożenił się w Londynie z nieco starszą od niego Jeanne Marie d’Olmez de Selva z Paryża, francuską markizą o kubańskich korzeniach. Z chwilą wybuchu

wojny małżonkowie wyjechali przez Hiszpanię, gdzie Stanisław przedłużył polski paszport, do Portugalii, a stamtąd udali się statkiem do USA. Prasa w Kanadzie, Panamie i USA rozpisывała się o polskim księciu i potomku Gedymina, który miał być oficerem kawalerii, dotkniętym wojną i zaangażowanym w akcję pomocy jej ofiarom. Staś tak zagalopował się w udzielanych na lewo i prawo wywiadach, że uśmiercił ojca, który ponoć zginął z rąk niemieckich, a matkę umieścił w obozie koncentracyjnym... Był krótkotrwałą gwiazdą artykułów, zamieszczanych na amerykańskim kontynencie jeszcze w 1944 r. z racji egzotycznego tematu i Polski jako alianta mocarstw sprzymierzonych.

Jak głosi rodzinna fama, małżeństwo jego się rozpadło, ponieważ żona podczas podróży statkiem narzekała go w łóżku z marynarzem... Po wojnie udało mu się po raz ostatni powrócić do filmu. W roku 1946 zagrał epizodyczną rolę mężczyzny z baru w amerykańskim filmie „Ostrze brzytwy” („The Razor’s Edge”) reżyserowanym przez Edmunda Gouldinga, który w latach 30. był bohaterem skandali, znanym z podglądactwa i uczestnictwa w biseksualnych orgiach. Jednak Gouldingowi nie można było odmówić talentu, a jego film był nominowany do Oscara.

Bielskiemu wiodło się coraz gorzej. W 1951 r. amerykański sąd skazał go na 180 dni aresztu za włóczęgostwo, drobne kradzieże i nieobyczajne akty seksualne. Była to ostatnia wzmianka prasowa, jaką udało się o nim znaleźć. W 1967 r. w Warszawie umarł jego ojciec i wtedy adwokat Stasia napisał list w sprawie spadku. Ojciec jednak jeszcze przed wojną wydziedziczył syna, a spadek był i tak równy zeru. Uliowało się nad nim stryjeczne rodzeństwo, które ofiarowało mu niewielką sumę z tytułu sprzedaży rodzinnej willi w San Remo. Chociaż część z nich mieszkała po wojnie w Kanadzie, nie utrzymywała nigdy kontaktów z kuzynem, który zmarł w 1979 r. i spoczywa na cmentarzu św. Franciszka w mieście Phoenix (Arizona).

Dzisiaj pamięć o Stanisławie Bielskim alias Harrym Corcie, „wyklętym” za życia przez większość rodziny, przetrwała jedynie za sprawą biografów Jarosława Iwaszkiewicza i autorów innych hagiografii artystów, którzy przekazali zaledwie fragmenty z jego bujnego życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



TYLKO U NAS!

SZOKUJĄCE ZBRODNIĘ KAPO W NIEMIECKICH OBOZACH

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

- Tomasz Stańczyk – Gan-Ganowicz, pogromca komuny / Dave Barr – Byłem najemnikiem w Angoli / Tymoteusz Pawłowski – Polscy mudżahedini / Sławomir Cenckiewicz – Rozkazy likwidacyjne LWP / Nikołaj Iwanow – Stalin i homoseksualizm / Piotr Włoczyk – Wywiad z weteranem bitwy pod Kockiem / Rafał A. Ziemkiewicz – KGB i wirus HIV / Sławomir Koper – Jak polska księżna zastrzeliła kochanka

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 9575c5af8b



Sebastian Ligarski

Dzięki akcji stoczniowców i filmowców ludzie w Polsce oraz na Zachodzie poznali przebieg rozmów władzy ze strajkującymi robotnikami

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pod koniec lat 60. narastał kryzys społeczny, polityczny i ekonomiczny. Władze, chcąc zmienić niekorzystną sytuację, sięgnęły po nieudolne reformy gospodarcze, a ich zwiastunem miała być tzw. regulacja cenowa (podwyżka cen) obejmująca głównie podstawowe artykuły spożywcze. Wprowadzono ją w niedzielę 13 grudnia 1970 r. Reakcja społeczeństwa była natychmiastowa. 14 grudnia 1970 r. zastrajkowali robotnicy z wydziałów S-3 i S-4 Stoczni im. W. Lenina w Gdańsku. Żądali cofnięcia zapowiadanych zmian, czego nie mogła zapewnić im dyrekcja stoczni. Wobec braku realizacji tego postulatu stoczniowcy zdecydowali się wyjść na ulice miasta. Doszło do starć z milicją i wojskiem, ginęli ludzie, a protest rozszerzał się na inne zakłady Trójmiasta.

GENEZA WYDARZEŃ W SZCZECINIE

W Szczecinie do 17 grudnia 1970 r. panował spokój, choć w raportach Służby Bezpieczeństwa odnotowywano napiętą sytuację w zakładach pracy. Tego dnia ok. godz. 10 odbył się w Stoczni im. Adolfa Warskiego wiec, podczas którego domagano się odwołania podwyżki cen oraz rozmowy z I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie Antonim Walaszkim. Rozmowy się nie odbyły, a Walaszek miał stwierdzić, że z „motłochem rozmawiać nie będzie”. O godz. 10.30 ponad 600 stoczniowców opuściło zakład. Po sformowaniu pochodu i dołączeniu do niego pracowników pobliskich przedsiębiorstw ruszono w stronę KW PZPR. Od tego momentu doszło do gwałtownych starć z milicją, które trwały przez cały dzień i objęły po pewnym czasie dużą część miasta. Ściągnięto posiłki wojskowe, w tym te, które wcześniej pacyfikowały Gdańsk i Gdynię. Zginęło 16 osób.

W nocy z 18 na 19 grudnia powstał w Szczecinie ponadzakładowy komitet strajkowy (Ogólnomiejski Komitet Straj-



kowy, OKS). Po pertraktacjach z władzą, w cieniu tragedii śmierci 16 osób na ulicach miasta, doszło do podpisania ustaleń między OKS a regionalnymi władzami partyjnymi. Pomimo zakończenia strajku w mieście panowały rozgoryczenie, gniew i frustracja, a napięcie ani na moment nie opadło. Wystarczyła iskra, aby na nowo wzniecić bunt.

Był nią zmanipulowany artykuł, który ukazał się 20 stycznia 1971 r. w „Głosie Szczecińskim”, lokalnym organie KW PZPR, o podjęciu zobowiązań produkcyjnych przez załogę rurowni w Stoczni Szczecińskiej. Oburzeni robotnicy uznali tekst za prowokację i proklamowali strajk, wysuwając w większości postulaty ekonomiczne i socjalne. Na jego czele stanął Edmund Bałuka wraz z kilkudziesięcioosobowym komitetem strajkowym. Strajk rozprzestrzenił się na inne wydziały stoczni, a potem na większość zakładów Szczecina. Strajkujący byli izolowani przez władze (stocznia była zablokowana od strony lądu i wody, prowadzono zmasowaną akcję psychicznego oddziaływania na protestujących), a rozmowy z władzami lokalnymi nie przynosiły rezultatu. W mieście operował sztab milicyjny, który był gotowy do odblokowania zakładu siłą. Dotarcie do stoczni dwójga dziennikarzy szczecińskich – Jerzego Pachlowskiego oraz Lidii Więckowskiej (korespondentki „Trybuny Ludu”) – uświadomiło strajkującym, że ich

położenie było tragiczne, bo o powodach ich protestu nikt nie wiedział, a ich samych określano mianem kontrrewolucjonistów i chuliganów w momencie, gdy cały naród manifestował poparcie dla nowego I sekretarza KC PZPR. Różne inicjatywy, które w tym czasie się rodziły w komitecie strajkowym i wśród jego doradców (takie jak próba zakończenia strajku przez Lucjana Adamczuka obawiającego się rozlewu krwi i masakry większej od grudniowej), zrodziły potrzebę działania wśród strajkujących. Ich efektem był list napisany do I sekretarza KC PZPR, który miał uświadomić władzy, dlaczego i po co zamknęci w stoczni robotnicy rozpoczęli protest.

PIERWSZA LEKCJA POKORY

W tym samym czasie, wieczorem 23 stycznia, gdy w szczecińskiej stoczni komitet strajkowy szykował list do władz, w Warszawie Edward Gierek na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR podejmował decyzję o wyjeździe do Szczecina następnego dnia. I sekretarz KC PZPR pojawił się w stolicy Pomorza Zachodniego 24 stycznia ok. godz. 14 wraz z członkami Biura Politycznego i zarazem rządu. Po spotkaniu z lokalnymi notablami do stoczni pojechał minister spraw wewnętrznych gen. Franciszek Szlachcic, aby ustalić warunki spotkania z robotnikami. Niespodziewanie kilkanaście minut później przed bramą stoczniową pojawili się sam Edward



Efektom rozmowy w Stoczni Szczecińskiej było zakończenie strajku w tym mieście oraz powołanie Komisji Robotniczej, pierwszego demokratycznie wybranego przedstawicielstwa robotników w PRL

FOT. ANDRZEJ WITUSZYŃSKI/PAP

Gierek i członkowie delegacji, którzy wprowadzeni na teren stoczni podążyli do świetlicy głównej. Zaskoczeni takim obrotem sprawy członkowie komitetu strajkowego starali się zapanować nad chaosem, który powstał po pojawieniu się delegacji partyjno-rządowej. Po pierwsze, musieli oni ustalić kwestie, z kim, w jakim składzie i według jakiego scenariusza odbędzie się spotkanie. Ponadto musieli skompletować główne postulaty (ostatecznie było ich 12), aby przedstawić je w zwartej formie przybyłym gościom. Wszystko to spowodowało, że Gierek z resztą swojej świty musiał czekać blisko dwie godziny na rozpoczęcie tego bezprecedensowego spotkania. Jak pisał sekretarz Edwarda Gierka, Jerzy Waszczuk, była to „pierwsza lekcja pokory”.

Efektom rozmowy w Stoczni Szczecińskiej były zakończenie strajku w tym mieście oraz powołanie Komisji Robotniczej, pierwszego demokratycznie wybranego przedstawicielstwa robotników w PRL. Jej żywot był jednak bardzo krótki, gdyż władze zrobiły wszystko, aby zmarginalizować znaczenie debaty z 24 stycznia 1971 r. i brutalnie wybić jej uczestnikom z głowy wszelkie reformy systemu.

NAGRANIA STOCZNIOWCÓW

Spotkanie Edwarda Gierka z robotnikami było nagrywane przez co najmniej kilkanaście osób w różnych miejscach stoczni. Po pierwsze, w pomieszczeniu

znajdującym się obok świetlicy nagrywała je na magnetofon szpulowy ekipa Ryszarda Flisiaka, ślusarza remontu maszyn Wydziału Głównego Energetyka. Sprzęt zbierał słowa płynące przez dwa mikrofony znajdujące się na świetlicy. Pomieszczenie to było ochraniane przez stoczniowców przed ewentualnymi zakusami bezpieki. Ponadto nagrań ze stoczniowego radiowęzła dokonywali sami stoczniowcy, którzy przynieśli własne magnetofony. Na sali znajdowała się ekipa szczecińskiej TVP, która rejestrowała debatę, jednak ograniczona ilość taśmy pozwoliła tylko na około dwugodzinny zapis. Po kilku dniach taśmy zostały zabrane ze Szczecina na polecenie jednego z członków Biura Politycznego KC PZPR do Warszawy. Nad debatą miała zapaść cisza, a jedynym źródłem informacji o niej miały być oficjalne publikacje i komunikaty przygotowywane przez propagandystów.

DROGA NA ZACHÓD

Nagranie dokonane przez stoczniowców kierowanych przez Ryszarda Flisiaka zostało zabezpieczone, a następnie skopowane przez Krzysztofa Kieślowskiego i Tomasza Zygałkę w jednym ze szczecińskich hoteli. Reżyser w tym czasie wykonywał w stolicy Pomorza Zachodniego zdjęcia do filmu poświęconego rewolcie grudniowej. Skopowane taśmy zostały przekazane do Warszawy przez studenta łódzkiej szkoły filmowej Andrzeja Titkova, gdzie trafiły do rąk Jana Lityńskiego i Teresy Boguckiej. Ta ostatnia wraz z żoną Lityńskiego, Anną Dodziuk, zajęły się ich przepisaniem. Teraz pozostawała już tylko sprawa ich przesmyglania za granicę. Zajął się tym Bolesław Sulik, który w obawie przed inwigilacją Służby Bezpieczeństwa powierzył to zadanie swojemu kuzynowi.

Wobec wielu rozbieżności w relacjach dotyczących losów taśm pewne jest, że w październiku 1971 r. trafiły one do Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte. Czy to przez Szwecję (dzięki Norbertowi Żabie, emigrantowi z marca 1968 r.), czy prosto od Sulika z Londynu – nie miało to jednak większego znaczenia. Ważna była zapisana na nich treść, którą jako porażającą określał szef Instytutu Literackiego w liście do Ludwika Mieroszowskiego. Opracowania taśm podjęli się Ewa Wacowska i jej mąż Edward Goskrzyński. Mimo licznych błędów i przeinaczeń w zapisie debaty wydana w 1972 r. w Bibliotece „Kultury” stała się sensacją na Zachodzie. Trzy razy wydano ją w Instytucie Literackim

i przedrukowywano w kilkunastu krajach zachodnich, w tym w Anglii. Zainteresowało się nią również RWE, które nagrało dwie 45-minutowe audycje, prowadzone przez Tadeusza Zawadzkiego, a prasa emigracyjna według Małgorzaty Ptasieńskiej pisała o książce jako „najwierniejszym obrazie polskiej, krajowej rzeczywistości, uważając, iż powinna się ona jak najszybciej znaleźć we wszystkich bibliotekach polonijnych”.

Nic zatem dziwnego, że zainteresował się nią Leslie Woodhead, reżyser dokumentalną pracujący dla Granada Television w Manchesterze. O pomoc w napisaniu scenariusza poprosił znajomego, Bolesława Sulika, nie mając pojęcia o jego roli w przemycie taśm na Zachód. Dzięki uzyskaniu przychylności Edmunda Bałuki, od 1973 r. przebywającego na emigracji w Anglii i pracującego w Manchesterze, udało się uzyskać kontakty do niektórych członków komitetu strajkowego, którzy podzielili się swoją wiedzą o strajku z Bolesławem Sulikiem. Z tych rozmów oraz ze skrupulatnego gromadzenia faktografii o strajku rodził się scenariusz fabularyzowanego dokumentu. Film gotowy był w połowie 1976 r.

Autor scenariusza Bolesław Sulik przebywał w Anglii od 1946 r. Ukończył Cambridge oraz szkołę technik filmowych w Londynie. Zajął się pisaniem scenariuszy, recenzji oraz współpracą z miesięcznikiem literackim „Kontynenty”. Do Polski ciągnęła go ciekawość, co powodowało, że w kręgach „starej emigracji” zaczął być uznawany za zdrajcę. Jeździł do kraju, zawarł znajomości z polskimi twórcami filmowymi – Krzysztofem Kieślowskim, Andrzejem Wajdą, Tadeuszem Konwickim, a także Adamem Michnikiem, Jackiem Kuroniem, Janem Lityńskim. Nie stronił od kontaktów z przedstawicielami władzy, m.in. nawiązał kontakt z Mieczysławem F. Rakowskim. Z Wajdą realizował „Smugę cienia”, a jednocześnie, jak wspominał, oszukiwał go w wolnych chwilach między zdjęciami, zbierając materiały do filmu o strajku ze stycznia 1971 r. Iwona Sulik wspominała, że „film »Trzy dni w Szczecinie« był bardzo ważnym momentem dla męża. On kiedyś zdecydował, że film ten będzie dla niego karierą”. De facto stał się ostatnim bezpośrednim spotkaniem z PRL. Władze zaalarmowane o jego publicznym pokazie w Anglii we wrześniu 1976 r. zastosowały wobec Sulika represję, odmawiając mu zgody na wjazd do Polski. Mógł wrócić dopiero po 1989 r.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Męczennicy z Zadwórze

Jeden z najlepszych popularyzatorów historii – Tomasz Stańczyk – napisał książkę. Po setkach świetnych artykułów przyszedł czas na większą formę. Jak było do przewidzenia – wyszło znakomicie.

Tematem „Polskich Termopil” są bitwy, w których Polacy stawiali mężny opór przytłaczającym siłom wroga. I często wygrywali! Zbaraż, Olszynka Grochowska, Rokitna, Grodno czy Przebraże. Walczący w tych bitwach polscy żołnierze zapisali najpiękniejsze karty w dziejach polskiego oręża. Nawet jeżeli przyszło im za to zapłacić życiem.

Tak było choćby 17 sierpnia 1920 r. pod Zadwórzem, gdzie kawalerzyści Siemiona Budionnego dokonali bestialskiej masakry młodych polskich ochotników ze Lwowa.

„Ostatni rozkaz kpt. Bolesława Zajączkowskiego, który odmówił poddania się, brzmiał: »Strzelać do ostatniego ładunku!« – pisze Tomasz Stańczyk. – Żołnierze odrzucili kilkakrotne wezwania bolszewików do poddania się. Jednak kolejna szarża unicestwiła ich opór. Kilku walczących pozostawiło ostatni nabój nie dla wroga, lecz dla siebie. Nie chcieli pójść do niewoli. Kapitan Zajączkowski popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę”.

Rozwścieczeni zaciętym oporem Polaków bolszewicy nie mieli dla nich litości. Gdy skończyła się amunicja, część młodych ludzi schroniła się w budce dróżnika. Budynek został jednak natychmiast otoczony przez rozszalałych kozaków. Krzyczeli do Polaków: „Wychadź!”.

„Gdy po kilku dniach Polacy odbili Zadwórze – pisze autor »Polskich Termopil« – ciała zabitych i pomordowanych żołnierzy batalionu, w wielu wypadkach porąbane, bez głów, rozkładające się szybko z powodu upału, zostały już pochowane. Pod Zadwórzem zginęło 318 polskich żołnierzy, w tym wszyscy oficerowie”.

Tomasz Stańczyk podkreśla, że zbrodnia pod Zadwórzem nie była wyjątkiem. Podczas bolszewickiej inwazji na Polskę mordy na jeńcach były na porządku dziennym. Wojna ta – w wykonaniu Sowietów – przypominała bowiem najazd Hunów. ©©



★★★★★
TOMASZ
STAŃCZYK,
WITOLD PASEK
„POLSKIE
TERMOPILE”
FRONDA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na dworze Jana III

Za ostatniego króla Polski godnego tego tytułu uchodzi Jan III Sobieski. Całkiem słusznie, był bowiem znakomitym woźdźdź, niezłym, chociaż trochę gorszym politykiem, a za jego panowania Rzeczpospolita Obojga Narodów po raz ostatni liczyła się w Europie. Król tak angażował się w sprawy państwa (czyli wojny z Turcją

Na co dzień jednak nie było tak sympatycznie, co poświadczają relacje pochodzące z zapisków posła francuskiego:

„Królowa kazała zbić pod swoimi oknami kogoś ze służby bardzo mocno, mimo że jest to w obyczaju tego kraju, nie robiono tego tak na oczach wszystkich; może to przykład króla, który postępuje w ten sposób, nawet porucznika gwardii urządził tak, że się nigdy nie podniesie...”;

„W czasie wesela jednej z dwórek królowej, podczas gdy król tańczył, dworzanin wojewody ruskiego ciął drugiego szablą w głowę...”;

„Wojewoda Jabłonowski i marszałek dworu Sieniawski nawymyślali sobie przy królu i omal się nie pobili; poszło o jakiegoś dworzanię wojewody, który jakoby obraził marszałka. Nazajutrz przy uczcie, podczas gdy król siedział przy stole, marszałek dworu, widząc tego dworzanię, wyrzucił go w łeb maczugą...”.

i Tatarami), że nawet jego koronacja odbyła się blisko dwa lata po elekcji, 2 lutego 1676 r.

Mąło natomiast znaną sprawą jest to, że jego dwór prezentował sarmatyzm w najgorszym wydaniu. Szczególnie było to widoczne podczas pobytów pary królewskiej w ich ulubionej rezydencji w Jaworowie. Wprawdzie nie brakowało jaśniejszych chwil, takich jak słynne wesele jaworowskie, gdy król przyjmował postów Świętej Ligi Antytureckiej, a w zabawie brała udział miejscowa ludność. Wówczas to tamtejszy wójt ofiarował Janowi III trzy pary siwych wołów jako symboliczne zadośćuczynienie za trudy poniesione dla ojczyzny, a do legendy przeszły tańce króla z piękną żoną miejscowego kowala pod zazdrosnym okiem królowej Marysieńki.

Do legendy przeszły tańce króla z piękną żoną miejscowego kowala

Jan III Sobieski miał także specyficzne poczucie humoru i pewnego dnia polecił przebudować mostki nad pobliskimi kanałami na huśtawki. I stojąc w oknie rezydencji, zaśmiewał się do łez, kiedy wszyscy – bez względu na wiek, stan czy płeć – niespodziewanie wpadali do wody. I jak tu się dziwić, że pewnego dnia „jacyś zuchwalcy wybili szyby kamieniami, tak że kamienie powpadały do sali balowej”. Cóż, jaka epoka, takie rozrywki, warto o tym pamiętać, gdy narzekamy na czasy nam współczesne. ©©

Gazeta Polska

zaprasza na uroczystą Galę
Strefy Wolnego Słowa



Wicepremier

Mateusz Morawiecki
Człowiek Roku 2016
"Gazety Polskiej"



Prezes Rady Ministrów

Beata Szydło
Laureatka Nagrody Klubów
"Gazety Polskiej"



Profesor

Sławomir Cenckiewicz
Laureat Nagrody
im. św. Grzegorza I Wielkiego



Relacja NA ŻYWO w TV Republika

Poniedziałek, 30 stycznia 2017
godz.19.00

W kryzysie systemu bankowego, a szczególnie w upadku najstarszego banku świata Monte dei Paschi di Siena (potocznie Monte Paschi albo MPS), jak w lustrze odbija się ponura rzeczywistość kraju toczzonego przez raka rozpasanej korupcji i nepotyzmu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kryzys włoskich banków jest w wielkiej części dziełem cynicznej, bezkarnej kasty bankierów, polityków, bogaczy i potężnych przedsiębiorców. Wszystko wskazuje na to, że MPS, trzeci co do wielkości włoski bank z 5 mln klientów, wcale nie upadł, ale został beczelnie rozkradziony.

Włosi dostali od nowego rządu Paolo Gentiloniego niechciany prezent pod choinkę – dekret przewidujący wpompowanie we włoski system bankowy 20 mld euro z budżetu. To niby w skali państwa o PKB ca 1,7 bln euro [bilion rozumiany jako tysiąc miliardów – przyp. P.K.] i szacowanych w tym roku na blisko 553 mld wpływów do budżetu nie tak wiele, ale statystycznie wypada po 500 euro składki na bankierów na głowę włoskiego podatnika, w tym waszego korespondenta.

CHCĄ ZNAĆ WINNYCH

Najwięcej emocji budzi 8,6 mld euro, które państwo wpompuje w Monte Paschi, stając się głównym udziałowcem banku. Naturalnie nikt w Italii nie ma za złe rządowi, że wykupił upadający bank. W końcu chodziło o pieniądze milionów klientów. Rząd praktycznie nie miał wyjścia. Inaczej te miliony wyszłyby na ulice. Równocześnie jednak ruszyła nabierająca z każdym dniem większego impetu ostra kampania medialna pod hasłem: „Ujawnić natychmiast nazwiska oszustów i złodziei!”, wspierana przez wielu polityków, głównie, choć nie tylko, opozycji, szefa Stowarzyszenia Banków Włoskich Antonia Patuellego i naturalnie cały naród. Koronny argument brzmi: „Skoro naród musi się złożyć i ratować MPS, to naród ma prawo wiedzieć, kto konkretnie doprowadził bank do katastrofy. Teraz MPS staje się własnością społeczną i my, społeczeństwo, nie chcemy chronić tych ludzi tajemnicą bankową ani respektować ich prawa do prywatności”. I padło żądanie opublikowania listy kilkuset największych dłużników, którzy MPS pieniądze nie zwrócili, doprowadzając bank do upadku. Naturalnie zarząd banku powiada, że to niezgodne z prawem. Oczywiście protestującym chodzi również o dokładne zbadanie roli menedżerów MPS, którzy te kredyty przyznali, i uzyskanie odpowiedzi



Sen szalbierzy



Piotr Kowalczyk z Rzymu

Włosi zostali zmuszeni przez rząd do ratowania chwiejącego się systemu bankowego z własnych podatków. W zamian domagają się publikacji nazwisk i pociągnięcia do odpowiedzialności ludzi, którzy doprowadzili banki do katastrofy

na pytanie, co wtedy robiły organy nadzoru bankowego oraz giełdowego.

Trudno się tym żądaniom dziwić. Z opublikowanej struktury sięgających zawrotnej sumy 47 mld euro „złych kredytów”, a więc takich, które nigdy nie zostaną spłacone, aż 70 proc. to pożyczki powyżej pół miliona euro, a więc udzielone ludziom i firmom zamożnym oraz bardzo zamożnym. Z całą pewnością menedżerowie MPS źle ocenili zdolność swoich bogatych klientów do spłaty zadłużenia i nie zadbali o gwarancje ani zabezpieczenia. Tym bardziej że z każdego trzech euro pożyczonych w ramach dużych kredytów jedno przepało bezpowrotnie. Nasuwają się brzydkie, choć graniczące z pewnością podejrzenia, że chodziło nie tyle o niekompetencję, ile o rozdawnictwo pieniędzy bogatym i ustosunkowanym. Moralnie sprawa wygląda ohydnie, bo wobec zwykłych zadłużonych zjadaczy chleba MPS był bardzo rygorystyczny. Nie wahał się pozbawić ich dachu

nad głową i wszelkiego majątku. Efekt jest taki, że w tej chwili MPS jest właścicielem blisko tysiąca sprzedawanych na licytacjach tanich mieszkań i domów, zazwyczaj w dziurach biednego południa Italii, odebranych niezamożnym wierzycielom, którzy nie byli w stanie spłacić zaciągniętego kredytu. Natomiast zarekwirowanych pałaców, luksusowych rezydencji, jachtów i samochodów bank Monte Paschi nie ma, choć powinien. Wynikałoby z tego, że blisko 10 tys. wierzycieli, którzy pożyczili i nie oddali sum powyżej pół miliona euro, nie dotknęły żadne sankcje.

Media publikują nazwiska kilkunastu takich bogaczy wraz z nazwami ich przedsiębiorstw i spółek, ale to zaledwie garść niepasujących do siebie elementów ogromnych puzzli. Carlo De Benedetti, przedsiębiorca i konkurent Silvia Berlusconi na rynku medialnym, pożyczyl od MPS na spółkę Sorgenia (operator na rynku energetycznym) 600 mln euro i nie

FOT. MAX ROSSI/REUTERS/FOURNA

oddał. Potentat budowlany i deweloper Luigi Zunino otworzył linie kredytowe na 3 mld euro (sic!) w kilku bankach, w tym w MPS na 800 mln, by wnieść megaosiedle w Mediolanie, ale zajmująca się tym spółka zbankrutowała. Kredytodawcy nie otrzymali z powrotem ani grosza, a najęci podwykonawcy – zapłaty. Na podobnych zasadach miał się na MPS wzbogacić nasz rodak, jeden z najbogatszych ludzi we Francji – Romain Zaleski.

Statystyczny Włoch, którego fiskus i banki bezwzględnie ścigają za każde należne im euro, nie potrafi zrozumieć, dlaczego krezusom wszystko uchodzi na sucho. Nie pojmuje, dlaczego bogacze mający kilkanaście przedsiębiorstw i ogromny prywatny majątek zamiast spłacić zaciągnięty kredyt, ogłaszają upadek zadłużonej spółki i opływając w luksusy, działają w najlepsze, nadal zarabiając krocie na pozostałych, choć powinni trafić za kratki za złodziejstwo. Włoskie gazety informują również o innym, nieco subtelniejszym sposobie okradania banków przez krezusów w myśl starej prawdy: „Jeśli winien jesteś bankowi 1 tys. euro, masz problem. Jeśli winien jesteś kilka milionów, to bank ma problem”. Otóż zadłużone na grube setki milionów spółki zgłaszają niezdolność spłaty kredytu i proponują „restrukturyzację długu”, która polega na tym, że bank zamiast gotówki musi się zadowolić udziałami w spółce.

KREZUSI I BANKIERZY

Wszystko razem prowadzi do podejrzeń, że potężni przedsiębiorcy nie mogliby traktować MPS jak swego bankomatu bez aktywnej pomocy menedżerów banku, rozdających kredyty na lewo i prawo tym, którzy nie mogli albo nigdy nie mieli zamiaru ich spłacić. Trudno też wykluczyć, że wiele takich kredytów udzielono wskutek nacisków politycznych. MPS na potęgę i z potężnymi stratami kredytował działające we włoskim handlu i hurtownictwie kooperatywy (Coop), które od 1947 r. są zapleczem finansowym włoskiej lewicy. Co więcej, MPS pożyczył ogromne sumy upadającym przedsiębiorstwom pracującym na rzecz władz lokalnych, np. rzymskiej komunikacji miejskiej ATAC, albo będącym w równie opłakanym stanie spółkom o mieszanym, publiczno-prywatnym kapitale, choć już na pierwszy rzut oka było jasne, że są to pieniądze wyrzucone w błoto. Tak się dziwnie składa, że pożyczek tych Monte Paschi udzielał, gdy w tamtych regionach, prowincjach

i miastach u władzy była lewica. Nie darmo do MPS już lata temu przylgnęła etykieta „czerwony bank”. Jakkolwiek było, z całą pewnością menedżerowie MPS świetnie zadbali o siebie. Były już prezes Giuseppe Mussari (skazany w pierwszej instancji za mactwa na 3,5 roku więzienia) pożyczył turystycznym firmom swojej żony blisko 12 mln euro na fantastycznych warunkach na... 27 lat. A to tylko jeden z wielu przykładów porażającego nepotyzmu.

Nie ulega wątpliwości, że nadzór bankowy i organy kontrolujące giełdę na osobliwą działalność MPS patrzyły przez palce. Monte Paschi przeprowadził kilka wielkich transakcji niezrozumiałych z finansowego i logicznego punktu widzenia. Pierwszym potężnym gwoździem do trumny najstarszego banku świata był zakup w 2008 r. banku Antonveneta za 9 mld euro. Konieczną w takich przypadkach zgodę na fuzję wydał włoski bank narodowy Banca d'Italia (wówczas szefował mu obecny szef EBC Mario Draghi). Nie sprawdził jednak, choć powinien, że MPS wraz z bankiem Antonveneta kupił też jego zadłużenie na 7,9 mld euro, czyli znacznie przeplacił. Znaczący bankowej materii są przekonani, że kontrolerzy Banca d'Italia (oraz dwóch innych organów kontrolnych) doskonale zdawali sobie z tego sprawę, bo takich rzeczy nie sposób przeoczyć, ale bardzo wpływowym ludziom we Włoszech i za granicą bardzo zależało, by przymknęli na to oko. Jakkolwiek było, w karkołomnej transakcji udział brały m.in. hiszpański Santander, Royal Bank of Scotland i trzeci bank Holandii ABN AMRO.

Słowem, w przypadku Monte Paschi ziścił się sen wszystkich finansowych szalbierzy: prywatyzacja zysków i nacjonalizacja strat. Zyski rozplynęły się w kieszeniach bogaczy, a stratami musi się martwić naród. Dosłownie. Okazało się bowiem – co budzi ogromne oburzenie Włochów – że swoimi podatkami muszą wspierać bankierów-oszustów podatkowych. Co się stało powszechną praktyką, banki otwierają filie za granicą w rajach podatkowych, gdzie przerzucają zyski, unikając wysokiego opodatkowania w kraju. Na przykład MPS w ubiegłym roku deklarował 45 mln euro zysku swojej filii Preferred Capital I LLC w raju podatkowym w Delaware. Ile osób pracuje w tej spółce? Żadna. Czyli cud. Pieniądze urodziły się bankierom ze Sieny w Delaware na kamieniu. A filia w Irlandii, w której pracuje sześć osób, przyniosła im rzekomo aż 103 mln euro czystego zysku. Nie jest to zresztą wyłącz-

nie zjawisko włoskie. Deutsche Bank, jeśli naiwnie wierzyć oświadczeniom podatkowym, aż 25 proc. swoich zysków wypracował w rajach podatkowych.

POLITYCZNY PARASOL

Tak czy inaczej włoskiemu podatnikowi przyjdzie wysupłać 8,6 mld euro na ratowanie MPS. 2 mld z całej sumy przeznaczono na zwrot strat drobnych ciułaczy, których Monte Paschi haniebnie oszukał. Wparł im własne obligacje, choć doskonale wiedział, że już niebawem przestaną być cokolwiek warte. Biednemu jednak wiatr w oczy wieje z podwójną siłą. Szalbierze wszelkiej maści, czując pismo nosem, zdążyli już od zdesperowanych ludzi te obligacje za pół ceny wykupić. Teraz sprzedadzą je państwu ze 100-procentowym zyskiem.

Ze strony antysystemowego Ruchu Pięciu Gwiazd i Forza Italia Berlusconiego padła propozycja, by do prześwietlenia działalności MPS i właścicieli firm, które nie zwróciły kredytów, powołać specjalną komisję parlamentarną. Naturalnie obie partie domagają się również publikacji listy dłużników. Lewicowy rząd (wspierany przez renegatów Berlusconiego) się opiera. Nagle włoska lewica z katonów, rycerzy niepokalanej przejrzystości, przedziergnęła się w gwarantów praw człowieka-oszusta. Ministrowie gospodarki i rozwoju gospodarczego już oświadczyli, że na opublikowanie listie największych dłużników mogliby się znaleźć, tracąc bezpowrotnie reputację, ludzie uczciwi. Nie widzą też celu powoływania komisji parlamentarnej, bo wszystko powinny wyjaśnić sądy. Sekunduje im dzielnie lewicowa prasa, głównie drugi dziennik Italii „La Repubblica” i tygodnik „L'Espresso”. Przekonują, że wina leży wyłącznie po stronie menedżerów Monte Paschi. Może dlatego, że wydawcą obu tytułów jest szczodry sponsor lewicy Carlo De Benedetti, który pożyczył od MPS 600 mln euro i ich nie oddał. Ma legitymację numer jeden rządzącej Partii Demokratycznej.

A casus MPS to tylko fragment większej całości. W sumie włoskie banki udzieliły ponad 360 mld euro kredytów, które nie zostaną nigdy spłacone. To tzw. NPL – non performing loans. O tym, że chodzi o megaoszustwo i chory system, najlepiej świadczy to, iż NPL stanowią aż 17,5 proc. wszystkich pożyczek bankowych we Włoszech. We Francji ten odsetek to 3,9 proc., w USA – 1,4 proc., a w Wielkiej Brytanii – 1,1 proc.



Z Olegiem Kaługinem,
byłym generałem KGB
żyjącym na emigracji w USA
rozmawia Piotr Włoczyk

FOR. WOJTEK LISKI/ISST NEWS

Rosją rządzi KGB

PIOTR WŁOCZYK: Zmieniło się cokolwiek w sprawie pańskiego wyroku sprzed 15 lat?

OLEG KAŁUGIN: Nie, decyzja moskiewskiego sądu – wydana zaocznie – nie została zmieniona. Wciąż czeka na mnie w Rosji 15 lat ciężkiego więzienia. Nad wszystkim czuwał oczywiście Władimir Putin, który publicznie nazwał mnie zdrajcą.

A nie zdradził pan KGB?!

Teoretycznie sądzono na mnie za zdradę, ale to była przecież sprawa polityczna. Ten wyrok był zemstą Putina za moją krytykę. Moskiewski sąd użył pewnego epizodu z mojej kariery, gdy pracowałem w sowieckim wywiadzie. Jednym z moich agentów był wówczas

wysoki rangą amerykański oficer z US Army.

Pułkownik George Trofimoff, najwyższy rangą oficer US Army, który został skazany przez amerykański sąd za szpiegostwo. Putinowi chodziło pewnie o to, że zeznawał pan w 2001 r. podczas jego procesu...

Trofimoffa aresztowano po wielu latach pracy dla sowieckiego wywiadu. W tym czasie – w 2001 r. – mieszkalem już w USA. Zostałem wezwany jako świadek oskarżenia w procesie pułkownika. Moją pierwszą reakcją była myśl: „Nie mogę tego zrobić! Nie mogę potwierdzić, że pracowałem dla Moskwy”. Amerykanie powiedzieli mi jednak wprost, że jeżeli nie stawię się na procesie jako świadek, to sam zostanę pociągnięty do odpowiedzialności jako jego

współpracownik. Nie miałem wyboru, musiałem potwierdzić, że Trofimoff pracował dla ZSRS. To była dla mnie bardzo mało komfortowa sytuacja.

Pańskie zeznania mogły zostać zinterpretowane przez Kreml tylko w jeden sposób.

Być może. Po tym, jak Putin nazwał mnie zdrajcą, ja nazwałem go przestępcą wojennym, który powinien stanąć przed obliczem Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze za wojnę w Czeczenii. Czyli powinien go spotkać ten sam los, który spotkał Slobodana Miloševicia.

W takiej sytuacji nie miałem innego wyjścia i musiałem wystąpić o azyl w USA. Mieszkam w Ameryce do dziś,

mam już amerykański paszport i jestem po prostu jednym z 320 mln amerykańskich obywateli.

I nie uważa się pan za zdrajcę. Skąd nagle wzięło się to pańskie krytyczne spojrzenie na KGB?

Absolutnie nie czuję się zdrajcą. Starałem się jak najlepiej przysłużyć mojemu narodowi, próbowałem zmienić Rosję na lepsze, otworzyć rosyjskie społeczeństwo. Większość kariery w KGB spędziłem za granicą. Więcej wiedziałem o USA niż o własnym kraju. Oczywiście stworzyła mi dopiero praca w latach 80. w KGB w Leningradzie, gdzie moim zadaniem było zwalczanie zwykłych obywateli, którzy protestowali przeciwko temu choremu systemowi. Poszedłem do KGB zafascynowany wizją walk wywiadów, tajnymi akcjami etc. Tymczasem praca w Leningradzie sprawiła, że zacząłem żałować wstąpienia do służby. Chciałem liberalizacji, co skończyło się tym, że wysłano mnie w 1990 r. na emeryturę. Potem już publicznie domagałem się zmian w państwie. Nie udało się. Putinowska Rosja to nie jest miejsce dla mnie. Wciąż jednak śledzę wydarzenia w Rosji. Mam nawet przyjaciół, którzy pracują w administracji kremlowskiej (śmiech).

Nie utrzymuje pan chyba z nimi kontaktu, skoro wciąż pracują na Kremlu.

Myli się pan, wciąż utrzymujemy ze sobą relacje. Tylko oczywiście to nie ja nawiązuję z nimi kontakt, ponieważ nie chcę im narobić problemów. Putin to niebezpieczny człowiek. To oni się ze mną kontaktują w dogodnych dla nich warunkach.

Porozmawiajmy w takim razie o systemie, który stworzył Putin. John McCain stwierdził kiedyś, że Rosja to tak naprawdę gigantyczna stacja benzynowa rządzona przez mafie, która tylko udaje państwo. Podobna się panu to porównanie?

Coś w tym jest, ale Rosja to nie tylko kryminaliści. Rosja od czasów Putina stała się biurokracją rządzoną przez służby specjalne. To ewenement na skalę światową! Prezydent z KGB to tylko wierzchołek tej góry lodowej. Większość jego najbliższych doradców to też ludzie KGB. Lata temu, gdy część rosyjskich mediów była jeszcze naprawdę wolna, szacowano, że ok. 70 proc. najbliższego otoczenia Putina miało związki z KGB!

Nie chce pan chyba powiedzieć, że dziś rosyjskie służby mają potężniejszy wpływ na państwo

niż np. w latach 80., gdy był pan człowiekiem numer dwa w leningradzkim KGB?

Oczywiście, że dziś mają potężniejszy wpływ niż w latach 80.! Najpotężniejszy aparat bezpieczeństwa był za Stalina. Po jego śmierci bezpieczeństwa została pocięta na kawałki. Z jednej wielkiej pięści zrobiło się kilka mniejszych. Za Putina bezpieczeństwa znów stała się potężna. Dzisiaj można powiedzieć wprost, że Rosją rządzi KGB.

W czasach ZSRS państwo opierało się na trzech filarach: partii komunistycznej, KGB i naszym własnym kompleksie wojskowo-przemysłowym. Obecnie filarami Rosji są: KGB, Cerkiew prawosławna i biznes. Oczywiście Cerkiew jest kontrolowana przez pierwszy filar.

W starych czasach nie było przynajmniej hipokryzji: komuniści i ludzie z KGB byli ateistami. Teraz nagle wszyscy ci zdeklarowani ateści składają ręce do modlitwy. Wiem, co ci ludzie naprawdę myślą o religii, więc śmiać mi się chce, gdy widzę w rosyjskiej telewizji obrazki przedstawiające rozmodlonego Putina czy Miedwiediewa (śmiech).

Biznesem również rządzi KGB. Ceną bogacenia się w Rosji jest pełne podporządkowanie się Kremlowi.

Nie ma już w Rosji mordów na masową skalę, ale terror wciąż wisi nad przeciwnikami Kremla – teraz jest to przerażające widmo śmierci od polonu. Rosja to państwo policyjne, a rosyjskie społeczeństwo to tak naprawdę miliony zniewolonych ludzi.

Jak stabilny jest ten system? Ulubioną zabawą mediów na całym świecie jest przewidywanie końca putinizmu.

Dopóki rosyjska gospodarka prezentuje jaki taki stan i zapewnia obywatelom najpotrzebniejsze rzeczy, dopóty Rosja będzie putinowska. Niewykluczone, że będzie tak już zawsze. Najgorsze jest to, że Rosjanie kompletnie przestali się interesować polityką. W Rosji zaangażowanie polityczne nie po myśli partii Putina to niebezpieczne zajęcie. Przykładów tego mamy aż nadto.

Putin rządzi już 17 lat. To całe pokolenie, które dorasta w tej atmosferze. Jeżeli rosyjska gospodarka będzie w miarę wydajna, to po Putinie przyjdzie po prostu kolejny „Putin” z przeszłością w KGB.

Spędził pan w KGB niemal pół życia. Co jest najważniejszym elementem tej słynnej „kagebowskiej mentalności”?

Przede wszystkim podejrzliwość. Natura Putina i jego otoczenia to podejrzewanie wszystkich o wszystko. Ta cecha dotyczy się nie tylko własnego narodu. To samo widać też w relacjach z innymi krajami. Rosja podejrzewa inne państwa o same najgorsze rzeczy.

Jest takie znane powiedzenie: „Raz w KGB, zawsze w KGB”.

W przypadku Putina to 100-procentowa racja. Ten człowiek całkowicie przejął mentalnością KGB. Jego serce i dusza należą do systemu sowieckiego, choć równocześnie Putin rozumie, że ekonomicznie Rosja musi się integrować z Zachodem.

Pamiętajmy jednak, że opowieści o służbie Putina w KGB to w znacznej mierze legendy. Jego wkład w działania KGB był właściwie zerowy, ponieważ Drezno było dla sowieckiego wywiadu głęboką prowincją. Putin utrzymywał kontakt z niemieckim wywiadem i „czuwał” nad rosyjskimi turystami odwiedzającymi Drezno. Fascynujące zajęcie, prawda? (śmiech)

Swego czasu był pan jego przełożonym. Jak pan wspomina rosyjskiego prezydenta z czasów leningradzkich?

Putin był jednym z moich 3 tys. podwładnych w kontrwywiadzie w Leningradzie. Był zbyt nisko w hierarchii, więc nie utrzymywałem z nim bliższych kontaktów. Putin był posłusznym aparatczykiem, który zdawał się nie mieć żadnych emocji. Okazał się jednak bardzo skuteczny w załatwianiu przeróżnych „spraw” i udowodnił, że jest bardzo lojalny wobec ludzi, którzy pomogli mu się piąć w górę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Oleg Kaługin – (ur. w 1934 r.) w Leningradzie, był najmłodszym generałem w historii KGB. W latach 1958–1970 był oficerem sowieckiego wywiadu w USA. Pełnił wówczas m.in. funkcję zastępcy szefa rezydentury KGB w Waszyngtonie. W latach 1973–1980 kierował kontrwywiadem zagranicznym KGB. Jednym z jego zadań była wówczas „opieka” nad Kimem Philbym. Po konflikcie z przełożonymi w 1980 r. został przeniesiony do Leningradu, gdzie był zastępcą kierownika tamtejszego KGB. W czasie pierestrojki zaczął krytykować metody działania KGB. Po przejściu na emeryturę w 1990 r. rozpoczął publiczną krytykę systemu i został wybrany do sowieckiego parlamentu. W czasie puczu Janajewa wsparł Borysa Jelcyna i brał udział w obronie Białego Domu. Od 1995 r. mieszka w USA. W 2002 r. został skazany przez moskiewski sąd na 15 lat ciężkiego obozu i zdegradowany za zdradę.

Kosowski pat



Przemysław Kawalec

Serbii zależy na UE, ale bardziej na Kosowie. Między Serbami a Albańczykami padają coraz ostrzejsze słowa

Chcemy do Unii Europejskiej, ale nie damy się poniżyć. Mówią nam: „Musicie się zgodzić na to czy na tamto, bo inaczej nie zrobicie kroku naprzód”. A my odpowiadamy: „Niczego nie musimy” – stwierdził minister spraw zagranicznych Serbii Ivica Dačić. To kolejna wypowiedź ważnego serbskiego polityka sugerująca, że jeżeli ceną za wejście do UE będzie uznanie niepodległości Kosowa, to Belgrad jej nie zapłaci.

Na razie jednak Europa nie może się zdecydować, czego oczekuje od Serbii. Z jednej strony słyhać głosy, że uznanie Kosowa nie jest warunkiem członkostwa w UE. Zwolennicy takiego podejścia twierdzą, że wystarczy, by Belgrad po prostu dogadywał się z Prisztiną. Z drugiej strony nie brakuje polityków, według których nieuznanie Kosowa praktycznie zamyka Serbii drogę do UE.

Jednym z nich jest Ulrike Lunacek, austriacka eurodeputowana i wiceprzewodnicząca delegacji do spraw stosunków z Bośnią i Kosowem. – Chociaż nigdzie tego nie napisano, to Belgrad musi uznać Kosowo, gdyż kraje członkowskie nie zgodzą się, by powtórzył się przypadek Cypru i do UE dołączył kolejny kraj, który nie ma jasno określonych granic – powiedziała podczas wizyty w Serbii.

Serbia jest skazana na współpracę z Brukselą, która jest jej kluczowym sojusznikiem w obronie serbskiej mniejszości w Kosowie (ok. 130 tys. osób, czyli 7 proc. obywateli). Niedopuszczalne do tego, by z Kosowa uciekła reszta zamieszkujących je Serbów, to jeden z priorytetów serbskich władz. Zgodnie bowiem z doktryną Belgradu dopóki

w Kosowie żyją Serbowie, dopóty jest to serbskie terytorium.

AUTONOMIA W KOSOWIE?

Belgrad już w 2013 r. podpisał z Prisztiną układ o normalizacji stosunków. Był to warunek, jaki postawiła UE, konieczny do rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych. Większość Serbów poparła porozumienie, choć nie zabrakło oskarżeń o zdradę narodową (wysuwanych m.in. przez Serbską Cerkiew Prawosławną). Za największy sukces serbskiego rządu uznano przeformowanie zapisu o powstaniu Związku Serbskich Gmin. Ma on być gwarantem przetrwania serbskiej mniejszości w Kosowie. Po tym, jak z Kosowa wycofała się serbska armia, wiele serbskich społeczności przestało istnieć. Dobitym tego przykładem jest Prisztina. Jak pisał dziennik „Blic”, do 1999 r. w stolicy Kosowa mieszkało ok. 50 tys. Serbów. Dzisiaj nie zostało ich nawet stu.

W 2015 r. Belgrad i Prisztina ustaliły, że związek będzie miał prezydenta, flagę, herb oraz kompetencje w zakresie m.in. szkolnictwa i służby zdrowia. Za jego finansowanie będzie odpowiedzialna Serbia.

Czym jednak w istocie ma być Związek Serbskich Gmin? Co do tego już zgody nie ma. Strona serbska domaga się, by była to autonomia. Albańczycy z kolei najchętniej obniżyliby jego rangę do minimum. Prezydent Kosowa Hashim Thaçi stwierdził wręcz, że będzie to tylko coś na kształt organizacji pozarządowej.

– Najpierw związek gmin, a potem robią to, co w Bośni, i ogłaszają Republikę Serbską – grzmiał jeden z liderów ruchu Samostanowienie, największej siły opozycyjnej w kosowskim parlamencie. W ostatnich wyborach ruch ten uzyskał blisko 14 proc. głosów. Znany jest z tego, że nie przebiera w środkach, by osiągnąć swój cel. W październiku 2015 r. działaczom Samostanowienia trzykrotnie udało się nie dopuścić do posiedzenia, na którym miano ratyfikować dokument ważny dla powstania Związku Serbskich Gmin. Za każdym razem w sali obrad rozpylali gaz łzawiący.



Ostatecznie kosowski parlament ratyfikował dokument. Kiedy jednak wydawało się, że powstanie związek gmin jest kwestią czasu, do sprawy włączył się Sąd Konstytucyjny Kosowa. Zdaniem sędziów tego organu nie wszystkie zapisy porozumienia między Belgradem a Prisztiną są zgodne z kosowską ustawą zasadniczą. Prace zostały zatem wstrzymane i nie wiadomo, kiedy ruszą ponownie.

PODWÓJNA RZECZYWISTOŚĆ

Lista spornych kwestii między Belgradem i Prisztiną jest wyjątkowo długa. Czy połączenia telefoniczne z Serbii do Kosowa powinny być traktowane jako międzynarodowe czy lokalne? Czy na terenie Kosowa mogą się odbywać serbskie wybory? To tylko część pytań, na które obie strony muszą znaleźć odpowiedź. Nie można też zapomnieć o religijnym aspekcie serbsko-albańskiego konfliktu. Wielu prawosławnych obiektów wciąż muszą pilnować wojska KFOR (Kosovo Force), gdyż w przeciwnym razie padłyby one ofiarą wandalii. W czasie tzw. marcowego pogromu w 2004 r. zniszczono ponad 30 cerkwi i monasterów, w tym kilka



W styczniu z Belgradu do Mitrowicy pojechał pociąg z napisami w wielu językach, głoszącymi: „Kosowo jest serbskie” FOT. DARKO VOJINOVIC/JAP PHOTO/EAST NEWS

bardzo starych, pochodzących z XIV w. Niektóre cerkwie zamieniono w toalety.

Cały czas wraca też temat tzw. paralelnych struktur. Chodzi tu m.in. o sądy, szkoły i szpitale, które po 1999 r. pozostały wierne Belgradowi i funkcjonowały równolegle z analogicznymi instytucjami powołanymi przez ONZ (w ramach tymczasowej administracji).

Serbia utrzymywała te instytucje z powodów propagandowych, a także po to, by zapewnić pracę miejscowym Serbom i powstrzymać ich w ten sposób przed emigracją. Na serbskie struktury w Kosowie przeznaczano rocznie ok. 250 mln euro.

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to, czy paralelne instytucje nadal istnieją. Strona albańska twierdzi, że tak, i stawia warunek, iż dopóki nie zostaną one zlikwidowane, dopóty nie może być mowy o powstaniu Związku Serbskich Gmin. Belgrad odpiara oskarżenia i zarzuca Prisztinie, że to ona nie wywiązuje się z zobowiązań.

KONIEC Z POBŁĄŻANIEM

Kosowo długo cieszyło się sympatią świata jako ofiara reżimu Slobodana

Miloševicia. Wszyscy pamiętali setki tysięcy uciekinierów i nadużycia, których dopuściło się wojsko w konflikcie lat 90. Dodatkowo Serbia była postrzegana jako państwo awanturnicze, które odrzuca nawet korzystne dla siebie propozycje kompromisu. Kiedy więc w 2008 r. Kosowo ponownie ogłosiło niepodległość, szybko uznały ją USA i większość krajów UE.

Taryfa ulgowa dla Prisztiny powoli się jednak kończy. Zachód oczekuje dziś od niej dojrzałych decyzji, przede wszystkim w sprawie serbskiej mniejszości. Te jednak, z uwagi na historyczne zaszczości, przychodzą bardzo opornie. Unia zagroziła już, że jeśli Kosowo dalej będzie utrudniać utworzenie Związku Serbskich Gmin, to nie ma co liczyć na zniesienie obowiązku wizowego.

Pierwsze ostrzeżenie Kosowo otrzymało już w 2015 r., kiedy przegrało walkę o członkostwo w UNESCO. Przyczyniła się do tego m.in. Polska, która wstrzymała się od głosu. W pierwszej połowie 2017 r. ma natomiast rozpocząć prace specjalny sąd do spraw zbrodni Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Media spe-

kulują, że może on wstrząsnąć kosowską sceną polityczną, gdyż wśród podejrzanych są czołowe postacie tamtejszego establishmentu, z prezydentem Hashimem Thaçim na czele. W raporcie Rady Europy z 2010 r. zarzucono Thaçiemu kierowanie grupą przestępczą odpowiedzialną za przemysł broni, narkotyków i ludzkich organów.

DO EUROPY TYLKO Z KOSOWEM

Rząd Serbii twardo podkreśla, że normalizacja stosunków nie oznacza uznania niepodległości. Zdaniem Belgradu wszelkie rozmowy na temat Kosowa mogą się toczyć wyłącznie na podstawie rezolucji 1244. Rady Bezpieczeństwa ONZ. Jej zapisy mówią, że Kosowo pozostaje częścią Jugosławii, której to Serbia jest prawnym kontynuatorem. Zmiana rezolucji nie wchodzi w grę, gdyż na pewno sprzeciwiłyby się temu Rosja i Chiny. Oba te kraje, będące stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa, popierają Serbię w sprawie Kosowa.

Zwykli Serbowie również nie dopuszczają myśli o utracie Kosowa. Kilka lat temu przeprowadzono sondaż, z którego wynika, że gdyby w Serbii odbyło się referendum pt. „Kosowo czy UE”, niemal 60 proc. wybrałoby Kosowo, a o ponad połowę mniej (27 proc.) Brukselę. Reszta to niezdecydowani. Wejście do Unii popiera obecnie ok. 40 proc. Serbów. Oznacza to wzrost nastrojów eurosceptycznych.

W styczniu wyjechał pierwszy od 18 lat pociąg z Belgradu do Kosowskiej Mitrowicy. Nie był to jednak zwykły pojazd. Wymalowano na nim serbskie barwy narodowe i napisy w różnych językach, z których każdy mówił: „Kosowo to Serbia”. Była to oczywista prowokacja, która wyprowadziła Prisztinę z równowagi. W pierwszym odruchu kosowskie władze wysłały na północną granicę specjalne jednostki policji, by zatrzymały pociąg. Stało się to bez wymaganej zgody NATO i lokalnego samorządu (w którym dominują Serbowie). To z kolei pozwoliło Belgradowi stawiać oskarżenia, że Albańczycy dążą do wywołania konfliktu etnicznego. Prezydent Tomislav Nikolić stwierdził wręcz, że jeśli bezpieczeństwo serbskiej mniejszości będzie zagrożone, to nie zawaha się użyć wojska. To jednak tylko retoryka. Bałkanom nie grozi na razie kolejna wojna, ale atmosfera napięcia będzie się utrzymywała jeszcze przez długi czas.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PIWNA JOGA

Wreszcie są zajęcia gimnastyczne odpowiednie dla mężczyzn. Samo wyginanie ciała i zakładanie nóg za głowę nie było aż tak porywające dopóty, dopóki pewni pomysłodawcy nie dołączyli do jogi ważnego elementu – piwa. Pierwsze zajęcia nazwane BierYoga prawdopodobnie odbyły się w Niemczech (nie wiem, jak u nich z jogą, ale piwo akurat robią dobre). A ten rodzaj działalności rozpowszechniają za Odrą dwie instruktorki jogi – Emily i Jhula. Na swojej stronie piszą, że po prostu udało im się scalić w jedno dwa przyjemne zajęcia. I że można połączyć filozofię towarzyszącą zajęciom jogi ze smakowaniem naprawdę dobrych trunków. Podobne zajęcia zaczynają już rozpowszechniać się w innych krajach, m.in. w USA i Australii. Zdaniem instruktorów BierYoga zachęca do ćwiczeń tych, którzy w innym wypadku nigdy nie pojawiliby się na macie jogi. Do zalet dopisałbym z pewnością jedną – po kilku butelkach piwa możliwości wyginania ciała zdecydowanie rosną.

FOT. GETTY IMAGES / EAST NEWS



OTYLI OBYWATELE RATUJĄ PAŃSTWO

Jeśliby przekształcić zajęcia piwnej jogi i położyć z niej wyłącznie drugi element – piwo – to można przysłużyć się własnemu krajowi. W Wielkiej Brytanii opublikowano kontrowersyjne badanie, w którym wyliczono, ile oszczędza budżet państwa na tym, że podatnik jest otyły. Tamtejszy instytut spraw gospodarczych oszacował, że z powodu wcześniejszych zgonów spowodowanych otyłością (co oznacza, że krócej wypłaca się emerytury i inne świadczenia, krócej trwa również opieka zdrowotna) budżet państwa może oszczędzić rocznie w przeliczeniu blisko 20 mld zł niż w przypadku, gdyby ci podatnicy żyli jeszcze 12 lat. Zatem do znanej piosenki Kazika, w której artysta wskazał, że kto nie pije alkoholu (a więc nie płaci akcyzy), ten jest wywrotowcem, należałoby dodać,

że o państwo nie dba również ten, kto nie je tłustych potraw, chipsów ani pączków.

WERNISAŻ NA ŚPIĄCO

Zwykle na wystawie prac artysta jest najważniejszy. Odbiera gratulacje i opowiada o swojej pracy. Jednak ten, którego obrazy zaprezentowano właśnie w Helsinkach, woli spać. Autorem prezentowanych tam dzieł malarskich jest niedźwiedź o imieniu Juuso, który akurat zapadł w zimowy sen. Ponad 400-kilogramowe zwierzę ujawniło swoje artystyczne zdolności przez przypadek, gdy trwał remont w centrum dla zwierząt w Kuusamo w północnej Finlandii. – Ubrudził sobie łapy farbą i zaczął nimi robić znaki. Zauważyliśmy, że mu się to spodobało – opowiadał Pasi Jäntti, jeden z opiekunów niedźwiedzia. Centrum dla zwierząt na sprzedaż 15 obrazów Juuso zarobiło do tej pory w przeliczeniu ok. 35 tys. zł. Galeria Rupa w Helsinkach oferuje

11 prac. Ich ceny przekraczają nawet ponad 16 tys. zł za sztukę. Czy ktoś to kupi? A mało jest ludzi, którzy przychodzą oglądać do galerii sztukę polegającą np. na obieraniu ziemniaków?

JASNO WIDZIAŁ BIZNES

Sąd w Tokio orzekł niedawno, że pewien jasnowidz ma zapłacić swojej klientce w przeliczeniu ok. 3,5 mln zł odszkodowania. Kobieta, która potrzebowała porad dotyczących przyszłości, trafiła do niego w 2008 r. i uzależniła się od jego usług na tyle, że jasnowidz wmówił jej, iż musi mu przekazywać wielkie sumy pieniędzy. A ponieważ nie dysponowała takimi środkami, przekonał ją do zamieszkania w jego lokalu i do podjęcia pracy w seksbiznesie. Niby taki jasnowidz, a nie przewidział, że skończy z wyrokiem? ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA „ZASMAKUJ W SIENKIEWICZU”



133 zł

oszczędzasz 224 zł

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA „KONAN DESTYLATOR”



131 zł

oszczędzasz 219 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 9575c5af8b



Jacek Przybylski

Prezydent Trump, aby „uczynić Amerykę znowu wielką”, stawia na radykalne cięcia podatków i protekcyjizm. Za silnym imperium tęsknią też Brytyjczycy. Rząd w Londynie marzy, że po odzyskaniu pełnej suwerenności przekształci kraj w raj podatkowy



Imperia kontratakują

FOT. REUTERS/FORUM

Zapisać się na kartach historii jako prezydent, którego polityka doprowadziła do wzrostu gospodarczego wynoszącego 4 proc. rocznie i powstania w ciągu dekady aż 25 mln nowych miejsc pracy – to oficjalny cel Donalda Trumpa. Tym samym zamierza on pobić dotychczasowy rekord Billa Clintona (za jego rządów powstały 23 mln miejsc pracy).

Aby wywiązać się z tych obietnic i doprowadzić do gospodarczego boomu, 45. prezydent USA zamierza z dumą głosić protekcyjizm. Chociaż zdaniem ekonomistów nawet temu trudno będzie zatrzymać globalizację, to Trump w walce o wyższy wzrost w USA jest gotów wytoczyć najcięższe działa. Podczas jego prezydentury możemy zatem być świadkami zaciętych

wojen handlowych, np. z największym eksporterem świata: Chinami. – Nie możemy pozwolić Chinom gwałcić naszego kraju. A to właśnie robią. To największe oszustwo w historii świata – mówił jeszcze podczas kampanii wyborczej obecny gospodarz Białego Domu, oskarżając Państwo Środka m.in. o manipulacje walutowe, nielegalne subsydia eksportowe i kradzież własności intelektualnej. Jego zdaniem to właśnie ujemny bilans handlowy USA z Chinami (w 2015 r. osiągnął on trudny do wyobrażenia poziom – 365,7 mld dol.) jest jedną z przyczyn kurczenia się rynku pracy w amerykańskim przemyśle.

MADE IN AMERICA

Prezydent Donald Trump na szefa narodowej komisji ds. handlu przy Białym

Domu (NTC) mianował więc prof. Petera Navarro, autora takich książek jak „Death by China”, zwolennika bardzo ostrego kursu wobec władz w Pekinie.

Już pierwszego dnia urzędowania, 23 stycznia, nowy prezydent podpisał również dekret wycofujący Stany Zjednoczone z Transpacyficznej Umowy o Wolnym Handlu (TPP) – układu handlowego uzgodnionego przez administrację Baracka Obamy z 11 państwami regionu Azji i Pacyfiku (w sumie 12 krajów reprezentowało 40 proc. światowej gospodarki). Trump ogłosił, że właśnie zrobił „wspaniałą rzecz dla amerykańskiego robotnika”. Jednocześnie decyzja nowego prezydenta USA to fatalna wiadomość dla przeciwników protekcyjizmu, bo bez udziału Ameryki TPP traci na znaczeniu, chociaż Japonia i Australia



przenoszenia amerykańskich fabryk za granicę. Już pierwszego dnia urzędowania nowy prezydent zaczął realizować kampanijne hasło: „Po pierwsze, Ameryka”, do którego wielokrotnie nawiązywał także podczas swojej inauguracji. – Przez wiele dekad wzbogacaliśmy zagraniczny przemysł kosztem amerykańskiego przemysłu [...]. Wydawaliśmy biliony dolarów za granicą, podczas gdy amerykańska infrastruktura popadała w ruinę – te słowa 45. prezydenta USA wywołały strach wśród polityków i inwestorów w wielu światowych stolicach, zwłaszcza w Europie i w Azji. – Nasze fabryki były zamykane jedna po drugiej i przenoszone z naszej ziemi bez jednej choćby myśli o milionach amerykańskich robotników. [...] To już jednak przeszłość! [...] Od tego momentu Ameryka będzie na pierwszym miejscu – dodał Donald Trump, szybko precyzując, że polityka jego administracji będzie oparta na dwóch prostych zasadach: kupowaniu amerykańskich produktów i zatrudnianiu Amerykanów.

KIJ I MARCHEWKA

Nie są to puste słowa obliczone na zdobycie poparcia tzw. niebieskich kółniczyków, czyli robotników, których rodziny mimo wzrostu gospodarczego nadal nie mogą wrócić do poziomu życia sprzed wybuchu kryzysu w 2009 r. i którzy masowo poparli Trumpa w wyborach prezydenckich. Aby skłonić amerykańskich przedsiębiorców do zamykania fabryk za granicą i przenoszenia produkcji z powrotem na terytorium Stanów Zjednoczonych, Donald Trump zamierza m.in. znacząco zmniejszyć przerośniętą i kosztowną biurokrację, zredukować liczbę regulacji ograniczających amerykańskich przedsiębiorców (nowy prezydent chce zlikwidować „75 proc., może więcej” przepisów, które są uciążliwe dla biznesu). Już w pierwszym tygodniu urzędowania w Białym Domu prezydent wydał dekret nakazujący wstrzymanie zatrudniania nowych pracowników w administracji federalnej. Aby zmniejszyć deficyt budżetowy, Trump chce też ograniczyć wydatki na ONZ i inne organizacje międzynarodowe.

45. prezydent USA chce także zreformować system podatkowy w taki sposób, aby Amerykanom nie opłacało się już uciekać z pieniędzmi poza granicę USA. Idąc śladami Ronalda Reagana, proponuje m.in. obniżenie podatków Amerykanom, a także radykalne zmniejszenie

szrenie daniny płaconej przez korporacje (z obecnych 35 do 15–20 proc.).

Prezydent Trump może próbować zlikwidować gigantyczny deficyt w handlu zagranicznym za pomocą nie tylko zachęt, lecz także bardzo konkretnych gróźb wobec tych przedsiębiorców, którzy nie chcą po dobroci dać się skusić do powrotu na ojczystą ziemię. Podczas spotkania z szefami największych amerykańskich firm już w pierwszym dniu urzędowania nowej administracji Donald Trump zapowiedział wprowadzenie superdaniny w formie podatku granicznego. Byłby on nakładany na firmy, które decydują się na zamknięcie fabryk na terenie USA, likwidację lokalnych miejsc pracy i rozpoczęcie produkcji w kraju, gdzie siła robocza jest o wiele tańsza, a które następnie eksportują wyprodukowane towary do USA. – Jeśli przeniesiecie się za granicę i zwolnicie 2 lub 5 tys. pracowników, to nałożymy bardzo wysoki podatek graniczny. Uważam, że to sprawiedliwe – ostrzegł Trump.

Prezesi firm, którzy myśleliby o tym, by mimo wszystko spróbować przenieść fabrykę poza granice USA, powinni bać się nie tylko dekretów, lecz także twitowego konta Donalda Trumpa. „Każda spółka, która opuszcza nasz kraj, zwalnia pracowników lub buduje fabryki w innym kraju i myśli, że potem będzie sprzedawać na naszym rynku auta i inne produkty bez konsekwencji, jest w BŁĘDZIE” – pisał obecny prezydent już na początku grudnia. Koncern General Motors już się przekonał, że nie ma żartów. Gdy na początku stycznia jeszcze wówczas prezydent elekt skrytykował na Twitterze koncern za produkcję samochodu Chevy Cruze w Meksyku, kurs akcji natychmiast zaczął spadać. Trump atakował też w mediach społecznościowych inne duże firmy. Jedną z osób, które szybko zrozumiały, że to nie przelewki, był prezes FORDA – w styczniu poinformował o rezygnacji z zamiaru wybudowania w Meksyku fabryki samochodów i ogłosił plan kilkusetmilionowej inwestycji w zakłady w stanie Michigan.

MUR NA KREDYT

Aby ukrócić nielegalną imigrację, już trzeciego dnia urzędowania Donald Trump podpisał dekret o rozpoczęciu w ciągu najbliższych miesięcy budowy muru na granicy z Meksykiem. Za wzniesienie konstrukcji – czyli realizację jednej z kluczowych obietnic z kampanii wyborczej – zapłaci na razie amerykański podatnik. Nowy prezydent USA

zamierzają dotrzymywać tej umowy. USA planują z kolei – podobnie jak Chiny, które już wcześniej odmówiły udziału w transpacyficznej umowie – negocjować umowy dwustronne. A to dopiero początek zmian. Donald Trump zapowiedział również renegowacji układu o wolnym handlu NAFTA – w handlu z Kanadą i Meksykiem USA także od lat mają bowiem ujemny bilans handlowy. Profesor Ted Malloch, wskazany przez Trumpa kandydat na ambasadora USA przy UE, stwierdził zaś, że negocjacje w sprawie porozumienia między Ameryką a krajami Unii (TTIP) są już martwe.

Jednym z głównych elementów trumponomiki – która ma sprawić, że Ameryka będzie „wygrywać jak nigdy wcześniej” – jest bowiem walka z „ucieczką” milionów miejsc prac, do której dochodzi na skutek



Donald Trump już w pierwszym tygodniu urzędowania podpisał dekret nakazujący budowę muru na granicy z Meksykiem

FOT. REUTERS/FORUM

■ zapewnił w telewizji ABC News, że – wbrew deklaracjom władz Meksyku – sąsiedzi z południa zwrócą Amerykanom 100 proc. kosztów tego przedsięwzięcia. Międzyrządowe negocjacje w tej sprawie mają zacząć się „stosunkowo szybko”.

Nie wiadomo, jak prezydent USA chce przekonać do zmiany zdania meksykańskie władze. – Nie akceptuję decyzji USA w sprawie budowy muru – oznajmił prezydent Meksyku Enrique Peña Nieto.

„Jeśli Meksyk nie jest skłonny do finansowania tak potrzebnego muru, to lepiej byłoby odwołać zbliżające się spotkanie” – napisał Trump na Twitterze. Na co Enrique Peña Nieto zareagował anulowaniem zaplanowanego na 31 stycznia spotkania z prezydentem USA. Takiego ochłodzenia relacji można się było spodziewać. Już wcześniej meksykańscy ministrowie jasno zadeklarowali, że w kwestii płatności za mur nie pójdą na żaden kompromis, bo jest to kwestia suwerenności i godności ich kraju.

Rzecznik Białego Domu zasugerował więc, że prezydent rozważa wprowadzenie 20-procentowego podatku na meksykańskie towary importowane do USA, który ma sfinansować budowę muru. Według Seana Spicera nowa danina przyniesie ok. 10 mld dol. rocznie, co pozwoli łatwo sfinansować budowę muru. Trump podpisał też w zeszłym tygodniu dekret, na mocy którego rząd w Waszyngtonie będzie mógł zmniejszać finansowe wsparcie dla tych miast, które nie walczą aktywnie z nielegalną imigracją.

WIELKA BRYTANIA JAK KAJMANY?

Inwestorzy na całym świecie przyglądają się obecnie nie tylko gospodarczym pomysłom nowego przywódcy w Amery-

ce, lecz także działaniom władz Wielkiej Brytanii, której mieszkańcy, głosząc za wyjściem z Unii Europejskiej, wyraźnie dali rządzącym do zrozumienia, że oni też tęsknią za czasami wielkiego imperium.

Szefowa rządu wiąże więc ze zwycięstwem Trumpa ogromne nadzieje. W zeszłym tygodniu polecała za ocean smażyć cholewki do nowego prezydenta USA. – Razem znów możemy przeprowadzić – oznajmiła Theresa May, mając nadzieję na odnowienie „specjalnych relacji” Waszyngtonu i Londynu.

Wcześniej premier May wprost zagroziła unijnym przywódcom, że jest gotowa na tzw. twardy Brexit, czyli rozwód bez żadnych kompromisów. Wielka Brytania miałaby opuścić wspólny europejski rynek i unię celną, jeśli będzie to konieczne do zniesienia swobody przepływu osób.

Koszty utraty dostępu do jednolitego unijnego rynku byłyby jednak ogromne. Z tego powodu przed tygodniem minister finansów Philip Hammond zapowiedział, że jeśli jego kraj straci dostęp do jednolitego rynku, to Wielka Brytania, by zwiększyć swoją konkurencyjność, znacząco zmniejszy opodatkowanie tzw. przedsiębiorstw. Kraj miałby więc zamienić się w Kajmany, z tą przewagą, że w tym przypadku byłby to raj położony u wybrzeży kontynentalnej Europy. – To się nie uda. Reszta świata na to nie pozwoli – ostrzegł w zeszłym tygodniu brytyjskie władze niemiecki minister finansów Wolfgang Schäuble, podkreślając, że na odgrywanie roli rajów mogą sobie pozwolić jedynie małe kraje. Nie jest więc wykluczone, że wbrew deklaracjom May świat czeka tzw. miękki Brexit.

W zeszły wtorek brytyjski Sąd Najwyższy orzekł, że rząd w Londynie nie może uruchomić procedury z art. 50 traktatu lizbońskiego i rozpocząć negocjacji w spra-

wie Brexitu bez zgody obu izb parlamentu. Wyrok ten jest ewidentną porażką szefowej rządu w Londynie. I chociaż najprawdopodobniej nie opóźni on rozpoczęcia formalnych negocjacji w sprawie rozvodu Wielkiej Brytanii z Unią Europejską, to może skłonić May do zmiękczenia stanowiska podczas negocjacji w sprawie rozstania. Jeśli bowiem rząd w Londynie chce nadal uruchomić procedurę wychodzenia z UE do końca marca, to ustępstwa na rzecz opozycji mogą okazać się konieczne.

Rozpoczęcie debaty nad projektem ustawy, na mocy której posłowie do Izby Gmin i członkowie Izby Lordów mają wydać zgodę na rozpoczęcie procesu wychodzenia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, zaplanowano na obecny tydzień. W przyszłym tygodniu ma się odbyć ostatnie czytanie w Izbie Gmin.

PODATKOWA INSPIRACJA

Nie wiadomo, jak daleko Trump się posunie w walce z wolnym handlem ani jak na podatek graniczny zareagują członkowie Światowej Organizacji Handlu (WTO), do których swoje produkty eksportują m.in. tacy amerykańscy giganci jak Boeing i General Electric.

Można sobie wyobrazić, że WTO nakłada na USA cła odwetowe, a Trump wycofuje USA z tej organizacji i nakłada zaporowe cła na towary z Chin, Meksyku czy Europy. Taki scenariusz prowadziłby do wojny handlowej na skalę porównywalną z latami 30. ubiegłego wieku. To mogłoby zaś wywołać globalną recesję, niebezpieczne spowolnienie chińskiej gospodarki oraz kryzysy polityczne i zamieszki na całym świecie. Jednocześnie protekcyjizm dałby rządowi możliwość większej kontroli nad narodowymi gospodarkami, które byłyby mniej narażone na zewnętrzne kryzysy.

Niewykluczone jednocześnie, że Donald Trump skupi się głównie na obniżkach podatków, przypominając światowym liderom, że są one nie tylko możliwe, ale wręcz wskazane dla rozwoju kraju. Jego rządy zaprzeczają też zapewne bajkom o kapitale bez narodowości. Za prezydentury Trumpa amerykański kapitał ma bowiem mieć nie tylko narodowość, lecz także obowiązek meldunkowy. Sojusznicy USA – tacy jak choćby Polska – muszą więc pamiętać, że Stany Zjednoczone pod przywództwem 45. prezydenta nie zrobią niczego, co byłoby sprzeczne z interesami Ameryki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Skąd wziąć miliony Polaków

W 2050 r., czyli za niespełna 33 lata, Polaków mieszkających w Polsce będzie aż o 4 mln mniej niż teraz i na domiar złego aż 10 proc. z nich będzie miało wówczas ponad 80 lat, czyli będzie wymagało utrzymania i opieki. A potem może być już tylko gorzej i gorzej. Ba, już w 2020 r. Polsce będzie brakować 1 mln ludzi do pracy. Co zrobić, by mimo to nasze państwo przetrwało, i to w jak najlepszej kondycji?

Trzeba uczynić jeszcze więcej, dużo więcej, niż zrobiono, inicjując program „Rodzina 500+” i inne programy prorodzinne, aby zmienić katastrofalne tendencje demograficzne. Takie procesy społeczne są jednak niezwykle długotrwałe, a nam najwzyczajniej w świecie brakuje czasu.

Dlatego trzeba niezwłocznie odwrócić fatalną antyreformę PiS i wrócić do zapoczątkowanego przez poprzedni rząd PO oraz PSL podnoszenia wieku emerytalnego. Jego granicą wcale nie powinno być 67 lat, lecz być może nawet więcej, w zależności od przesuwania się granicy oczekiwanej długości życia.

Należy też uczynić wszystkich, co w ludzkiej mocy, by skłonić do powrotu do Polski jak najwięcej rodaków, którzy wyemigrowali. To wiele milionów ludzi, w tym aż ok. 2 mln tych, którzy opuścili ojczyznę w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Dlaczegoż by w zamian za powrót nie zwolnić ich z obowiązku płacenia podatku dochodowego PIT, tak samo jak rolników? A nawet dlaczego nie pozwolić im – też tak samo jako rolnikom – korzy-

stać z przywilejów, jakie daje bycie w KRUS?

Dalej należałoby uczynić wszystko, co możliwe, by przetrwać w czyn składane przez wiele lat zapowiedzi i wprowadzić do kraju wszystkich Polaków ze Wschodu. Czyli dokończyć ich repatriację. Jeśli nawet pierwsze pokolenie repatriantów będzie miało kłopot z odnalezieniem się we współczesnej Polsce, to ich dzieci i wnuki bez kłopotu znajdą tu swój dom.

I wreszcie – czy to się komuś podoba, czy nie – nie unikniemy przyjęcia do Polski nie jednego miliona imigrantów (bo milion, głównie Ukraińców, to już u nas jest), ale kilku milionów. I to w krótkim czasie. Zresztą warto pamiętać, że to właśnie imigranci są jedną z największych sił napędowych narodowych gospodarek. Jak wynika z analiz McKinsey Global Institute, wytwarzają oni 10 proc. światowego PKB, choć stanowią zaledwie 3,4 proc. populacji. Imigranci są średnio aż trzy razy bardziej produktywni od nieimigrantów.

Rzecz jasna, lepiej zabiegać o tych imigrantów, których sami chcemy u siebie gościć, niż – tak jak do tej pory – zdawać się na ślepy los, czyli wyłącznie czekać na tych, którzy sami zechcą do nas przyjechać. A to oznacza konieczność prowadzenia aktywnej polityki proimigracyjnej – oferowania pracy ludziom bliskim nam kulturowo, dobrze wykształconym i starania się, by się u nas jak najszybciej asymilowali, i by tu – już jako Polacy – pozostali. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Przetrwanie narodu a PiS

Zeby polski naród przetrwał, poparcie dla PiS powinno przekroczyć 50 proc.

W 2013 r. zaproponowałem wdrożenie w Polsce polityki demograficznej polegającej na płaceniu 1 tys. zł na każde nowo narodzone polskie dziecko, co miesiąc, do 18. roku życia. Aby ludzie uwierzyli, że ta polityka się nie zmieni wraz z kolejnymi wyborami, proponowałem wpisanie tej reguły do konstytucji. Pomysł zgłosiłem

dziś w Polsce, a przetrwamy się o tym już za dwa-trzy lata, gdy pojawią się pierwsze wiarygodne dane. Będziemy wydawać ponad 50 mld zł rocznie bez oczekiwanego rezultatu. Dzietność oczywiście wzrośnie, ale niewiele. Nie zatrzymamy procesu wymierania narodu polskiego, ale go tylko opóźnimy.

Niestety, jeżeli w ciągu kilku najbliższych lat nie wdrożymy skutecznej polityki demograficznej zamiast obecnej polityki prorodzinnej, to będzie za późno. Po prostu mamy ostatnie bardzo liczne pokolenie kobiet w wieku rozrodczym i jeśli w ciągu dekady nie urodzą dużo dzieci, to stracimy szansę, bo kolejne pokolenia kobiet są już mało liczne.

Jednak aby PiS podjął ryzyko zmiany nieskutecznej polityki prorodzinnej na mądrą politykę demograficzną, poparcie dla PiS musi wzrosnąć do ponad 50 proc. Tylko wtedy kierownictwo partii może bowiem stwierdzić, że dla dobra przetrwania polskiego narodu zaryzykuje decyzję polityczną, która będzie ich kosztowała utratę 10 proc. poparcia. Nawet wtedy bowiem utrzymają większość w parlamencie.

Jedyną szansą na przetrwanie narodu polskiego jest szybki i silny wzrost poparcia dla PiS. Od decyzji politycznych podejmowanych w kolejnych kilku latach zależy, czy w następnym stuleciu będzie komu mówić po polsku. ©©

Jeżeli w ciągu kilku najbliższych lat nie wdrożymy skutecznej polityki demograficznej, to będzie za późno

dlatego, że dzietność w Polsce wynosi 1,3 dziecka na kobietę, jest jedną z najniższych na świecie i według prognoz demograficznych ONZ liczba Polaków, jeśli nic się w tej kwestii nie zmieni, spadnie z 38 mln obecnie do 16 mln w 2100 r. Niemcy i Sowieci wymordowali podczas wojny 10 mln Polaków, a my sami własną głupotą doprowadzimy do ponad dwukrotnie większej katastrofy. Moja propozycja doprowadziłaby z wysokim prawdopodobieństwem do odwrócenia tego trendu.

Niestety, polityka prorodzinna w obecnej wersji nie doprowadzi do znaczącego wzrostu



Dane wyborcze pokazują, że Brexitu Wielkiej Brytanii i Donalda Trumpa w wyborach w USA wcale nie poparła biedniejsza czy gorzej wykształcona część społeczeństwa, która padła ofiarą populizmu

FOT. VINCENT CAPMAN/PARIS MATCH/GETTY IMAGES

Po czym poznać populistę?



Tomasz Wróblewski

Intelektualiści lubią tłumaczyć świat megatrendami. Aż dziw, że populizm tak późno robi karierę medialną. W końcu z taką łatwością tłumaczy każdą zmianę nastrojów społecznych

Zwycięstwo Trumpa to triumf populizmu. 17 mln Brytyjczyków, którzy głosowali za wyjściem z Unii Europejskiej, to ofiary populistycznej rewolucji. „Nie” dla prounijnej polityki we włoskim referendum to populistyczna fala przechodząca przez Europę. Wygrana PiS to populistyczny zamach. Orbán utrzymuje się przy władzy wyłącznie dzięki eskalacji populizmu.

WIELKA FALA

Niezależnie od narodowości, osobowości przywódców, sytuacji gospodarczej i indywidualnej historii każdego z państw fenomen społeczny, jakim jest zwrot przeciwko socjalliberalnemu establishmentowi, kwitowany jest jednym szyderczym, protekcyjnym i z gruntu obraźliwym

zwrotem. Źródłem populizmu są zawsze: brak wykształcenia, niedostosowanie do tempa globalnych przemian. Jego ofiarami – bo trzeba pamiętać, że populizm nie ma wyznawców, tylko ofiary – są najczęściej bezrobotni, pozbawieni szans na prawdziwą karierę, wyrzuceni na margines społeczny, kobiety, ludzie o różnych odcieniach skóry i imigranci. Za swoje błędy życiowe winią globalizację i wszystkich mądrzejszych od siebie, choć w rzeczywistości są ofiarami patologii, z którymi mądry establishment walczył latami. Jeżeli nie wszystko się udało, to dlatego, że ludzie postępu blokowali zapiekli konserwatyści, szowiniści, eko- i eurosceptycy. Gdyby tylko więcej kobiet miało gwarantowane miejsca w rządach czy zarządach spółek, gdyby banki przestały pracować dla zysku

i zajęły się redystrybucją majątku bogatych oraz gdyby tylko wszyscy przestawili się na rowery, a na każdym rogu stał wiatrak, to ludzie byłoby szczęśliwsi.

Wsluchając się w protekcyjny ton mędrców, miliarderów i polityków zebranych ostatnio na szczycie w Davos, można było odnieść wrażenie, że do urn w Wielkiej Brytanii i Ameryce poszły miliony ludzi po świeżo przebytej lobotomii. Wszelkie próby głębszej refleksji nad przyczynami tego zbiorowego zidiocenia są natychmiast dezawuowane. „Bywa, że po czasach postępu przychodzi okres autodestrukcji” – twierdzi były premier Tony Blair. Historycznym uwiarygodnieniem teorii populistycznego opętania mają być doświadczenia z lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Z czasów, kiedy inni szaleńcy i populiści, tacy jak Hitler i Mussolini, porwali narody na ich własną zgubę. A stąd już tylko krok do zdefiniowania współczesnych populistów jako rasistów, nazistów i faszystów. Bez potrzeby zagłębiania się w terminologię i szukania dowodów, z niesłychaną łatwością lewicowe media przypisują diaboliczne cechy konserwatywnym politykom. Konstrukcje muszą być proste i na tyle elastyczne, żeby można było szyb-

ko każdego wepchnąć do populistycznego worka lub z niego usunąć.

Są oczywiście pewne granice tej elastyczności. Trudno sobie wyobrazić, że w sytuacji, gdyby większość Brytyjczyków zagłosowała za pozostaniem w UE, państwowa telewizja BBC wybór swoich obywateli tłumaczyłaby populistycznym pędem wystraszonych ludzi uciekających pod skrzydła europejskich demagogów, zapewniających im ochronę przed kryzysem. Albo że CNN nazywa wyborców nowej prezydent Hillary Clinton masą ludzi ogłupionych politycznie poprawną cenzurą i straszeniem zniewoleniem kobiet lub wojną rasową. Tak jak nie do pomyślenia byłoby nazwanie populistami okupantów trybuny polskiego Sejmu albo tłum rozbijający witryny sklepów w Waszyngtonie po inauguracji Trumpa, albo fałszowanie austriackich wyborów, albo zmuszanie Irlandii do powtarzania referendum. To zdaniem mainstreamowych mediów była zaledwie naturalna reakcja roztropnych ludzi zaniepokojonych niszczeniem demokracji.

Przy całej arogancji i krótkowzroczności tej „populistycznej” narracji wielu ludziom z pewnością ułatwia ona racjonalizację wyniku wyborczego, ale – co najważniejsze – zwalnia dotychczasowe elity z szukania źródeł problemu w samych sobie.

TWARDE DANE

Argument, że populiści są ofiarami własnych braków w wykształceniu, że to w większości bezrobotni i osoby bez stałego miejsca zatrudnienia, nie pasuje do danych wyborczych. W Wielkiej Brytanii osoby do 35. roku życia bez wyższego wykształcenia w 65 proc. głosowały za pozostaniem w Unii Europejskiej, podobnie zresztą osoby pracujące dorywczo – 51 proc. z nich głosowało przeciwko Brexitowi. Z kolei Trump zebrał 53 proc. głosów białych wykształconych mężczyzn i 52 proc. białych wykształconych kobiet w wieku powyżej 35 lat. Osoby zarabiające poniżej 50 tys. dol. rocznie wybierały Clinton. Wbrew powszechnej opinii Trump nie zawdzięcza prezydentury osobom zagubionym, ubogim, bez życiowych perspektyw. W większości są to mali i średni przedsiębiorcy, farmerzy i mieszkający małych oraz średnich miast.

Jeżeli gdzieś obserwujemy silną polaryzację głosów, to przede wszystkim w sferze kulturowej. Na pytanie, czy socjalliberalizm jest po stronie złych czy dobrych wartości, 87 proc. Brytyjczyków opowiadających

się za pozostaniem w Unii odpowiedziało, że liberalizm jest pozytywną wartością, podczas gdy 53 proc. zwolenników wyjścia z UE uważało go za źródło wszelkiego zła. W przypadku multikulturowości 65 proc. Brytyjczyków opowiadających się za wyjściem z UE było przeciwnych zmienianiu prawa i przystosowaniu go do wymogów innych kultur.

Wyborców Trumpa i zwolenników Brexitu nie łączy poczucie krzywdy ani utraty korzyści wynikających z postępu globalizacji, ale przeświadczenie, że utracili kontrolę nad swoim światem. Po prostu przemiany rozpoczęte w końcu lat 60. osiągnęły swoje niezdolne apogeum. Jeżeli już mamy szukać ekonomicznego uzasadnienia „buntu wyborców”, to nie tyle w ich pauperyzacji, bo na to nie ma twardych dowodów, ile raczej w uwypatnieniu po 2008 r. poczucia społecznej niesprawiedliwości. Ideologia wolnościowa, mechanizmy wolnorynkowe i lata gospodarczej prosperity globalizowały rozmaite skrajności społeczne. Niech każdy robi sobie, co chce, tak długo, jak długo mnie to nie dotyczy. Akcja afirmatywna, gender, obsesje klimatyczne, płeć na żądanie – wszystko mieściło się w ideologii wolnego wyborcy. Jedni się bogacą, inni walczą o toalety dla transwestytów. Takie życie. Kryzys 2008 r. boleśnie uwypatnił, że idee mają jednak swoją cenę. Cenzurowanie literatury pięknej pod kątem poprawności politycznej czy sądy rozstrząsające problemy końcówek męskich i żeńskich – wszystko to, co wcześniej raziło i denerwowało konserwatywną część społeczeństwa, teraz zaczęło irytować

„Populizm” to słowo wytrych, które miało uciszyć wszelką dyskusję o prawdziwych przyczynach niezadowolenia

większość społeczeństwa. Skala absurdu wobec rzeczywistych problemów (choćby pompowanie pieniędzy do kieszeni bezkarnych bankierów w chwili, kiedy ludzie tracili domy), regulacje środowiskowe, bezmyślna globalizacja, siłowe rozwiązywanie genderowe na rynku pracy. Wszystko to odbywało się czymś kosztem. Miejsca pracy w Indiach, Chinach, Meksyku nie powstawały z powietrza, gdzieś ktoś musiał zamknąć fabryki, a w ich miejscach nie pojawiły się nowe, dobrze płatne etaty.

Kiedy troska o środowisko naturalne polarnych zwierząt okazywała się ważniejsza od ludzi albo pryncypialne zasady powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego nakazywały amerykańskim zakonnikom przyjmować pakiety z ubezpieczeniem na wypadek ciąży czy zabiegu in vitro, dopiero wtedy zaczął narastać bunt. A kiedy stał się masowy, okrzyknięto go populizmem. Słowo wytrych, które miało uciszyć wszelką dyskusję o prawdziwych przyczynach niezadowolenia.

URAŻONA DUMA

Szydząc i nazywając populizmem decyzje wyborców w Polsce, Europie i Ameryce, ignoruje się miliony ludzi najzwyczajniej wściekłych na przedkładanie abstrakcyjnych idei nad ich osobiste interesy. Na to, że o ich życiu decydują jakieś tajemnicze instytucje wolne od kontroli społecznej i nieponoszące żadnej odpowiedzialności za swoje decyzje. Dyktują światu, jak żyć, co jeść czy jak wychowywać dzieci. Wszeczpotażna Komisja Europejska i żyjące własnym życiem traktaty handlowe, Światowa Organizacja Zdrowia, komisje ds. zmian klimatycznych, kontroli produkcji tytoniu, walki z cukrem, cholesterolem czy dyskryminacją. Wszystkie tworzą prawa w zamkniętych kurortach w gronie zaprzyjaźnionych elit, w tajemnicy przed wyborcami w przekonaniu, że ratują ogłupiałe masy przed nimi samymi. To nie są drobne problemy ani niedogodności cywilizacyjne, jak nam wmawiają unijni przywódcy. Dla większości Amerykanów, Brytyjczyków, ale też milionów Niemców i Francuzów to są najpoważniejsze wyzwania cywilizacyjne od końca II wojny światowej – jak odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Im bardziej uczony i uniwersalny jest ciąg myślowy zwolenników teorii populistycznej rewolty, tym prostsze i bardziej osobiste zdają się motywy tej układanki. Politycy, którzy nie mając więcej argumentów na obronę swoich porażek ekonomicznych, kosztownych programów społecznych, bronią się, kwestionując moralność i rozsądek wyborców. W każdym państwie, w którym konserwatywna opozycja dochodzi dziś do władzy, mamy oczywiście różne motywy i cele polityczne. Jeżeli jest coś, co łączy te wszystkie nowe nurty polityczne, to głównie urażona duma odchodzącego establishmentu, kwitującego każdy problem słowem „populizm”.



Z Markiem Jakubiakiem, wiceprzewodniczącym klubu poselskiego Kukiz'15 i właścicielem Browarów Regionalnych Jakubiak rozmawia Edyta Hołdyńska

Nie ma miejsca na strach



EDYTA HOŁDYŃSKA: Jak się panu prowadzi biznes w Polsce? Co się zmieniło przez ostatni rok?

MAREK JAKUBIAK: Nic się nie zmieniło. Nastroje właścicieli firm są nawet coraz gorsze. Prawdę mówiąc, nie rozumiem tych, którzy występują w telewizji i mówią o tym, jaka to dobra jest teraz atmosfera w biznesie.

To polityka PiS zagraża poczuciu bezpieczeństwa w biznesie?

Nie. My się po prostu szarpiemy z codziennością, dziesiątkami obowiązków. Chcemy ułatwień, nie przeszkód. Ja np. zachodzę w głowę, jak to jest, że ustawa Ministerstwa Ochrony Środowiska dotycząca obrotu i wprowadzania opakowań, która miała spowodować, iż wszystkim będzie się opłacało używać zwrotnych opakowań, sprawiła, że jest jeszcze gorzej. Bardziej opłaca się mieć jednorazowe opakowania. Dom wariatów. Nie podnoszą podatków, ale szacują, że wpływy z podatków będą większe. Polacy mają naturę niepokorną, spuszcza głowę i prą do przodu – jestem z nas dumny.

Tymczasem rząd pozyskał kolejne inwestycje zagraniczne w Polsce, ostatnio w Środzie Śląskiej. Czy polskie firmy, takie jak pańska, przez to tracą?

Takie działania były dobre w latach 90., dlatego że wówczas mieliśmy 20–25-procentowe bezrobocie, nie mieliśmy technologii ani mocy sprawczej, żeby budować czy odtwarzać to, co mamy. I w tamtych czasach sprowadzanie kapitału zachodniego przez różnego rodzaju ulgi podatkowe oraz zachęty było zasadne. Dzisiaj bezrobocia prawie nie mamy, technologie są dostępne, a polski kapitał zaczyna się odtwarzać. W Ciechanowie, gdzie też działam, miasto utrzymują głównie

mali przedsiębiorcy. I to oni muszą przełknąć gorzką pigułkę, że w ich miejscowości utworzono parę działek wolnej strefy ekonomicznej, w której się nie płaci podatków. Natomiast małe polskie firmy nie są z niczego zwolnione. Mają skarbówkę na głowie po czterech dniach niepłacenia podatków. Jak to pogodzić z racjonalnym myśleniem o tych, którzy zatrudniają ludzi i są solą miasta?

Wobec tego należy zlikwidować strefy ekonomiczne czy stworzyć jedną wielką dla wszystkich?

Strefa dla całej Polski wyrównałaby szanse. Firmy działające w strefach nie mają takich kosztów wytworzenia produktu, więc mogą zapłacić więcej pracownikom. I wówczas ludzie przychodzą pracować do nich. W Ciechanowie jest jedna z największych w Europie drukarni Bauera. Skoro korzysta z naszego środowiska, a więc energii, powietrza, wody, infrastruktury drogowej itp. i nie płaci podatków, to jaki my mamy w tym jako państwo interes? Polacy wyznają zasadę: „Gość w dom, Bóg w dom”. Z natury wierzą, że goście dużo więcej wolno niż nam samym. Ja uważam, że to jest błąd.

Jednak polskie firmy też mogą działać w specjalnych strefach ekonomicznych.

A może w takiej wolnej od podatków strefie otworzę swój kolejny browar, nie będę płacił podatków? Żyć nie umierać! Jednak mi nie pozwolą. Chcę, aby w Polsce wszyscy mieli jednakowe szanse, dlatego tak się upieram przy uproszczeniu podatków dla wszystkich Polaków. To jest już ten czas, kiedy wicepremier Mateusz Morawiecki, mając wszystkie narzędzia w ręku, powinien zarządzić rewolucję podatkową. Tam, gdzie są wysokie podatki, są wysokie możliwości kombinowania. Tam, gdzie są niskie, nie ma takiej możliwości. Jeśli obniżymy w Polsce podatki, to zablokujemy możliwość wyprowadzania pieniędzy z kraju i nie będzie trzeba tworzyć specjalnych stref. Polska będzie strefą europejską.

Dotychczas mamy porzucone plany wprowadzenia jednolitej daniny, ale w Parlamentarnym Zespole na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości i Patriotyzmu Ekonomicznego, którego jest pan wiceprzewodniczącym, nadal mają trwać prace nad podobnym rozwiązaniem. Na jakim są etapie?

Pracujemy nad kontrpropozycją dla jednolitej daniny. Nadal się zastanawiamy nad ostatecznym kształtem propozycji. Zespół, o którym mowa, to taki dyskusyjny klub poselski na temat podatku dochodowego.

FOT. ANNA JABKO/BEST NEWS

Najlepsza byłaby jednolita stawka łącząca wszystkie daniny w wysokości 25 proc. Z wyliczeń wynika jednak, że Skarb Państwa może na tym stracić. Znamienne, że wszyscy poza tymi, którzy mogą to zrobić, są przekonani, iż trzeba zrobić podatkową rewolucję.

Wszyscy poza wicepremierem Mateuszem Morawieckim?

Tak, ale wydaje mi się, że jego powściągliwość wynika tylko z obaw i jakiejś bojaźni zarządczej. Natomiast Henryk Kowalczyk mówi o tym, że o propozycjach będzie dyskusja, ale na razie wprowadzenia rewolucji nie rozważa. Trzeba dużego nacisku na polityków. Jednak z tyłu głowy mam taką myśl, że w ciągu trzech najbliższych lat nic się nie zmieni.

Dlaczego?

Rządzący zrobili już eksperyment ze stoczniami. Wprowadzili dla nich podatek przychodowy w wysokości 1 proc. Tyle tylko, że muszą wiedzieć, iż te stocznie mają według ustawy podatek albo przychodowy, albo standardowy i wybiorą ten drugi. A to dlatego, że mają bardzo wysokie koszty. Krótko mówiąc, jadą na stracie i nie muszą w ogóle płacić podatków. Natomiast rozpoczynający działalność gospodarczą na samym początku nie mają w ogóle przychodowych faktur. Są kredyt, inwestycja, środki pozyskane, ale nie ma przychodu. Nawet jeśli on się pojawi i zostanie od niego odprowadzony podatek, to w tych propozycjach nie ma amortyzacji kosztów. Nie ma dzielenia kosztów na pięć rat. I to jest błąd.

A Kukiz'15 wie, jak rozwiązać takie problemy podatkowe?

Żeby prowadzić biznes, trzeba mieć pomysły, środki, wypracować kapitał. A dzisiaj podatek CIT zżera kapitał firm. W przypadku, kiedy nie ma CIT, kapitał firmy rozpoczyna swoją odbudowę, co może się nie podobać lobby bankowemu, bo dziś inwestycje finansuje się kredytami. Podatek CIT trzeba zlikwidować i w jego miejsce wprowadzić 1 proc. podatku przychodowego.

A co z systemem emerytalnym? Czy młodzi mają na co liczyć za 20–30 lat?

Powinna być minimalna, zryczałtowana emerytura, jaką każdy Polak może otrzymać. Na przykład 1,2 tys. zł. To byłoby takie minimum socjalne, a kto by chciał, ten zbierałby sobie więcej. Opłata ZUS-owska na ten cel powinna sięgać od 400 do 600 zł miesięcznie. I to z pewnością wystarczy

na kapitał emerytalny. Emerytury będą. To czarnowidztwo mówić, że nie doczekamy emerytur. Ja chyba nigdy emerytem nie będę, bo wolę pracować, ale każdy ma do emerytury zagwarantowane prawo. ZUS będzie istniał, nikt tego nie przerwie. Problem w tym, że to wszystko miało inaczej wyglądać. Dzisiejsza młodzież płaci za moich rodziców. Moje dzieci będą płaciły za mnie. A to miało być tak, że ja sam będę za siebie płacił. A ponieważ młodych jest dwa razy mniej niż emerytów, musimy do tego dopłacać gigantyczne pieniądze. Trzeba się jednak zastanowić, czy jeśli koszty ZUS znacznie przewyższają składki KRUS, to czy KRUS nie jest bardziej sprawny. Dlaczego mówi się o likwidacji KRUS? Ponieważ jest za tani? A może to właśnie KRUS powinien zastąpić ZUS?!

Czy od wszystkich umów, również o dzieło, powinien być odprowadzany ZUS?

Ja mam problem z umowami o dzieło. Jak mam zapłacić człowiekowi, który przyjdzie wbić cztery gwoździe w ścianę? Czy sam mam je wbić? Czy muszę z nim zawierać umowę o pracę i płacić ZUS za te cztery gwoździe? No nie. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby pracodawca nie miał możliwości zawarcia umowy o dzieło. Za określone zadanie. Czy każdy będzie musiał zakładać firmy?

Co z przywilejami składkowymi dla nowych firm? Wicepremier zapowiadał pół roku bez składek.

Trudno przewidzieć, co będzie. Nastroje tego rządu sięgają od Sasa do Lasa. Na koniec możemy się dowiedzieć, że składka na ZUS będzie dwa razy większa. Albo dwa razy mniejsza. Nie wiemy. Znamy podobną sytuację – chodzi o próbę wprowadzenia podatku handlowego. Mówiliśmy, że to jest niedorzeczność. Tak naprawdę 1 proc. podatku przychodowego wyczerpuje wszystkie znamiona ustawy o sieciach wielkopowierzchniowych. I z moich wyliczeń wynika, że z takiego tytułu wpłynęłoby dwukrotnie więcej pieniędzy niż z CIT. Zastanawiam się, na co rządzący czekają. Być może tu chodzi o to, że się po prostu boją. W zarządzaniu nie ma jednak miejsca na strach.

Henryk Kowalczyk tłumaczył ostatnio, że nie można wprowadzać wszystkich reform naraz. Na tapecie są teraz jeszcze edukacja i służba zdrowia. Trafiają do pana takie argumenty?

Rząd przede wszystkim źle zaczął – od reform emocjonalnych, które dotyczą naszych dzieci, takich jak reforma edukacji.

A trzeba było zacząć od reformy przychodów Skarbu Państwa. Ludzie, którzy w ten sposób myślą, doprowadzili w Czechach do nadpłynności finansowej, a nie deficytu. Kiedy robimy rewolucję podatkową i zwiększamy przychody, mamy pieniądze na pozostałe sprawy. Na te emocjonalne zadania. Tutaj rząd działa szybko i stawia na dezubekizację, reformy lasów, ziemi, Trybunału Konstytucyjnego. Ciekawe, jak by się zachowywał Rzepliński, jeśli głosiłby nad ustawą o rewolucji podatkowej. Jeśli byłby na „nie”, to miałyby całą Polskę przeciwko sobie, a nie tylko PiS.

A ustawa budżetowa? Tutaj opozycja podała w wątpliwość to, czy została uchwalona zgodnie z prawem. Jak pan uważa?

Można mówić o wątpliwościach, ale nie można mówić o tym, czy budżet jest legalny czy nie. To marszałek Sejmu o tym decyduje. Krzyk tutaj nic nie pomoże. Marszałek Kuchciński mówi, że budżet jest legalny. I tyle. Mamy od tego marszałka, sami go wybraliśmy. Co do samego budżetu, to nieładnie PiS zrobił, że wszystkie poprawki do tej ustawy zostały wrzucone w jedno głosowanie i zablokowane. Agnieszka Ścigaj zgłaszała poprawki do ustaw w sprawie osób niepełnosprawnych czy obwodnic miast. I one trafiły do kosza na śmieci razem ze wszystkimi innymi. Tak się nie robi. Mamy przykłady, że z mównicy potrafiliśmy przekonać posłów PiS w ostatniej chwili do naszych racji. Mogło być tak też w tym przypadku.

A Kukiz'15 jest w opozycji czy bliżej mu do koalicji z PiS?

Ani jedno, ani drugie. My jesteśmy w koalicji z naszymi ideami. Ideowo bliżej nam do PiS. Jednak co to za różnica, kto rządzi, skoro PiS idzie w kierunku socjalizmu, a PO – kolegalizmu. Nie przyszliśmy do Sejmu po władzę, tylko po to, by dokonać zmian ustrojowych w Polsce. Widzimy, jak ten tort z napisem „Polska” jest szarpany. Jeżeli PiS ma rację, to trzeba mieć na tyle cywilnej odwagi, żeby mu to przyznać. I tyle samo cywilnej odwagi, żeby powiedzieć, iż PiS nie ma racji. I kiedy mówimy, że PiS robi dobrze, partyjniacy z opozycji nazywają nas PiS-owskimi podnóżkami. A kiedy krytykujemy rząd, PiS nazywa nas zdradcami. Rzecz w tym, że trzeba złapać sens bycia w Sejmie. Partie tego nie zrobiły. Dlatego Kukiz'15 coraz częściej trafia do ludzi i mówi im: państwo jest wasze, nie oddawajcie go politykom.



Katarzyna Pinkosz

Pół wieku temu nikt nie wierzył, że papierosy powodują raka. Dzisiaj tak samo nie dowierzamy, że wyjście na smog naraża nas na astmę, choroby płuc i nowotwory

Jeszcze 50 lat temu w reklamach papierosów pokazywano lekarzy, dentystów, naukowców i powoływano się na badania świadczące o tym, że filtry chronią przed szkodliwymi substancjami zawartymi w dymie. Nie dowierzano, że palenie powoduje raka, twierdząc, że tak samo można mówić, iż wywołuje go... noszenie nylonowych pończoch! Dzisiaj bardzo powoli do naszej świadomości przebija się fakt, że smog nam szkodzi.

CHORE PŁUCA POLAKA

Badania wykonane w Krakowie wykazały, że dzieci kobiet, które w czasie ciąży oddychały zanieczyszczonym powietrzem, rodziły się z niższą wagą i mniejszą pojemnością płuc. Dwa razy częściej zapadały na infekcje, alergię i astmę niż dzieci mieszkające na czystszych terenach. Doktor Piotr Dąbrowiecki, alergolog z Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, który od lat bada wpływ powietrza na zdrowie, nie ma wątpliwości, że wdychanie drobnych pyłów zawieszonych (PM10, PM2,5), tlenków azotu i siarki po prostu skraca życie, bo zmniejsza pojemność płuc. – Średnio każdy z nas w Polsce będzie przez to żył o rok krócej. A osoby, które zachorują na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc (POChP), będą żyły nawet o 10 lat krócej – ostrzega.

Najdrobniejsze z wdychanych pyłów potrafią przeniknąć z pęcherzyków płucnych do krwi. Jeśli uszkodzą blaszkę miażdżycową w ważnym naczyniu krwionośnym, to może to nawet spowodować zawał serca i zgon. Badania potwierdzają, że gdy jest smog, wzrasta liczba nagłych zgonów z powodu chorób serca. – W pierwszych dwóch tygodniach stycznia, gdy w Warszawie długo utrzymywał się smog, liczba osób przyjmowanych z powodu zaostrzeń astmy i POChP w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym w naszym szpitalu wzrosła dwa razy, a z powodu migotania przedsionków –

o 30 proc. – opowiada dr Dąbrowiecki. Potwierdza, że wielu jego pacjentów skarżyło się w tych dniach na gorsze samopoczucie, kaszel, trudności w oddychaniu i na to, że leki gorzej działają.

Szacuje się, że na świecie z powodu smogu co roku przedwcześnie umiera kilka milionów osób. W Polsce (dane Europejskiej Agencji Środowiska) to 48 tys. osób.

U zdrowej osoby spacer w smogu spowoduje co najwyżej chrypkę i pokaszanie, ale nie jest to przecież tylko jeden dzień czy kilka w roku. Wdychane zanieczyszczenia się kumulują. Gdyby przyjąć europejskie normy, to w wielu polskich miastach alarm smogowy obowiązywałby kilkadziesiąt dni w roku. – Nie ma bezpiecznych wartości ilości PM10 i PM2,5, każda ich obecność jest zagrożeniem dla zdrowia – podkreśla dr hab. inż. Artur Badyda z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Warszawskiej. – PM2,5 to typowa cząsteczka powodująca POChP: jest mała, penetruje głęboko, drażni bardzo drobne drogi oddechowe. PM10 powoduje zaś raczej zapalenie oskrzeli czy raka oskrzela – dodaje prof. Andrzej Fal, alergolog i specjalista zdrowia publicznego ze Szpitala MSWiA w Warszawie.

Smog jest groźny przede wszystkim dla osób z przewlekłymi chorobami układu oddechowego, takimi jak astma,

POChP czy idiopatyczne włóknienie płuc. Ta ostatnia choroba występuje rzadko, jednak jest równie groźna jak rak. Zastają pęcherzyki płucne, płuca włóknieją, choremu coraz trudniej oddychać, dusi się. – Nie wiadomo, skąd ta choroba się bierze, na pewno zanieczyszczenia środowiska mają wpływ na jej ujawnienie się i przebieg – mówi prof. Władysław Pierzchała, pulmonolog ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

W dni, gdy stężenie PM10 i PM2,5 jest bardzo wysokie, najlepiej nie wychodzić na dwór. – Nawet zdrowe osoby nie powinny wychodzić, a już zdecydowanie chore, starsze, o obniżonej wydolności oddechowej, dzieci i kobiety w ciąży. Wychodzenie to niepotrzebne ryzyko rozwoju choroby w przyszłości i ryzyko zaostrzenia chorób przewlekłych – przekazuje prof. Fal.

PALĄCY SPACER

Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem (IARC) uznała zanieczyszczenia powietrza za jeden z czynników wywołujących nowotwory – podobnie jak dym tytoniowy czy promieniowanie UV. O ile jednak można nie palić papierosów i nie opalać się, o tyle nie sposób przestać oddychać. Zgodnie z obliczeniami kalkulatora Krakowskiego Alarmu Smogowego mieszkańcy miast oddychając „wypalają”





jak papieros

FOT. TOMASZ WARSZCZYSKI/FOTOLIA

nawet kilka paczek papierosów tygodniowo. Spacerując ulicami Warszawy przez dwie godziny dziennie, „wypalamy” rocznie ponad 1,2 tys. papierosów, Katowic – 2,5 tys., a Krakowa – aż 3,7 tys. Jeszcze więcej „palimy” w Żywcu, Suchej Beskidzkiej, Tychach czy Pszczynie.

Nadal główną przyczyną nowotworu płuc jest palenie papierosów, ale powiększa się liczba osób, które mają raka, chociaż nigdy nie paliły. Długotrwałe narażenie na zanieczyszczenia powietrza pyłami, nawet jeśli jest ono stosunkowo niewielkie, może zwiększać ryzyko – tak wynika z analizy 17 badań przeprowadzonych w Europie, opublikowanych w „Lancet Oncology”. Podkreślali to również uczestnicy konferencji „Best of WCLC”, która odbyła się niedawno w Warszawie.

– Nowotwór nie jest spowodowany jedną przyczyną. Zanieczyszczone powietrze może być jednym z czynników wywołujących raka płuc – podkreśla prof. Rodryg Ramlau z Katedry i Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Rak płuca jest najczęściej występującym nowotworem u mężczyzn i drugim co do częstości u kobiet. Co roku 22 tys. osób w Polsce dowiaduje się, że właśnie na niego zachorowało. I co roku ok. 20 tys. Polaków z tego powodu umiera. To jeden z najgroźniejszych zabójców:

pięć lat od rozpoznania przeżywa zaledwie 15 proc. kobiet i 10 proc. mężczyzn. Kilka lat temu te statystyki były jeszcze gorsze – średnia długość życia po diagnozie wynosiła zaledwie sześć miesięcy.

– Teraz jest nieco lepiej: to zasługa nowych leków, które wciąż się pojawiają. Dążymy do tego, by w Polsce funkcjonowały ogólnoeuropejskie standardy leczenia – dodaje prof. Ramlau. Niektóre nowe leki są już dostępne w Polsce, zwłaszcza terapie ukierunkowane molekularnie na poszczególne typy nowotworów. – Mamy nadzieję, że dostępne staną się też tzw. leki immunokompetentne. Być może dzięki nim zaawansowane postaci szczególnie niedrobnokomórkowego raka płuca będziemy mogli uznać za choroby przewlekłe. Te leki mają wpływ na układ odpornościowy, powodują zwalczanie procesu nowotworowego własnymi mechanizmami odpornościowymi – opowiada prof. Ramlau. Nadal niedostępne dla polskich pacjentów są także nowe leki antyangiogenne, bardzo skuteczne w niektórych podtypach tego nowotworu. Nie pozwalają one komórkom raka „obudować się” naczyniami krwionośnymi, które będą go potem „odżywiać”. – Najważniejsze jest to, żeby lekarz miał możliwość wybrania dla chorego leku, który będzie dla niego najlepszy, czyli tzw. medycyna spersonalizowana – dodaje prof. Ramlau.

Nowoczesne leczenie raka płuc, POChP, astmy czy idiopatycznego włóknienia płuc to wielka nadzieja dla pacjentów, ale wielu z nich nadal czeka na dostęp do nowoczesnych terapii rekomendowanych przez międzynarodowe i polskie grupy ekspertów. Choroby, które odbierają oddech, są ciężką traumą. W ciężkiej postaci POChP czy idiopatycznego włóknienia płuc nie sposób żyć bez wspomaganie się tlenoterapią – koncentratorami tlenu czy nawet respiratorem. Dlatego warto robić wszystko, by nie zachorować, a więc ograniczać czynniki ryzyka, czyli przede wszystkim papierosy oraz smog.

W niektórych miastach można już dostać dopłatę do wymiany pieca na nowoczesny, pojawiają się też pomysły zakazów stosowania złej jakości opału, co ograniczyłoby smog.

W listopadzie 2016 r. lekarze różnych specjalności (m.in. z Polskiego Towarzystwa Chorób Płuc, Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego, Neonatologicznego, Pediatrycznego, Polskiej Ligi Walki z Rakiem, Polskiej Federacji Stowarzyszeń Chorych na Astmę, Alergię i POChP) wysłali apel do Ministerstwa Środowiska, domagając się obniżenia poziomów alarmowych, przy których informuje się o zanieczyszczeniu powietrza. Ministerstwo na apel lekarzy jeszcze nie odpowiedziało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: ARCHOS 50 SAPHIR

Nowe smartfony coraz częściej przypominają małe dzieła sztuki. Wystarczy jednak chwila nieuwagi, aby po upadku nawet z niewielkiej wysokości na pięknej szybcie wyświetlacza pojawiła się obrzydliwa rysa.

Francuski producent telefonów stworzył więc smartfon, który choć na dzieło sztuki na pewno nie wygląda, to sprawia wrażenie odpornego na wiele zagrożeń czyhających nie tylko na użytkowników w zatłoczonych biurowych open space'ach, lecz także na pracowników zakurzonych warsztatów, pracujących w terenie architektów i inżynierów oraz turystów, których telefony podczas robienia zdjęć z zimowych eskapad na narty narażone są na nagłą kąpiel w śniegu.

Archos 50 Saphir jest odporny na upadki (według producenta z wysokości 1 m – rzeczywiście z redakcyjnego biurka na podłogę spadła wielokrotnie i nie ma widocznych śladów tych eksperymentów). To zasługa solidnej plastikowej obudowy z gumowanymi elementami (grubość tego modelu wynosi 13,9 mm) oraz zastosowania ochronnego szkła Gorilla Glass 4, które zwiększa odporność na pęknięcia (trzeba jednak pamiętać, że nawet ono nie jest kompletnie rysoodporne).

Pancerny smartfon jest też odporny na kurz i pył, zanurzenie w wodzie (do 30 min)



i – co ważne dla osób pracujących w terenie – pozwala na pracę w temperaturach od –20 do 55 st. C. Kolejnym plusem jest powiększona bateria o pojemności aż 5000 mAh, co pozwala odjechać dalej od kontaktu.

Archos 50 Saphir obsługuje również łączność 4G/LTE, a także umożliwia korzystanie z dwóch kart SIM (można więc korzystać z dwóch numerów, np. prywatnego i służbowego, w jednym smartfonie). Po stronie plusów trzeba też zapisać tradycyjne radio FM, które przydaje się zwłaszcza w tych odludnych miejscach, w których prędkość Internetu jednoznacznie wskazuje na to, że polscy operatorzy telefonii komórkowej powinni jeszcze bardziej przyspieszyć z inwestycjami.

Niestety, gorzej jest z zastosowanymi przez Francuzów podzespołami. Czterordzeniowy procesor Mediatek MT6737 o taktowaniu 1,5 GHz w połączeniu z zaledwie 2 GB pamięci RAM to niestety nie jest recepta na smartfona szybkiego jak błyskawica. Na szczęście urządzenie pracuje już pod Androidem 6.0, dzięki czemu w większości przypadków działa wystarczająco płynnie. Próby uruchomienia bardziej zaawansowanych gier radziłbym jednak przeprowadzać tylko pod opieką kardiologa.

Pięciocalowy wyświetlacz IPS ma rozdzielczość 1280 x 720. Szału nie ma. Kąty widzenia i odwzorowanie kolorów są jednak na satysfakcjonującym poziomie. Osoby pracujące w terenie docenią również wysoką maksymalną jasność 519 cd/mkw., która ułatwia korzystanie ze smartfona w słoneczną pogodę. Wbudowana pamięć to tylko 16 GB, ale można ją rozszerzyć za pomocą karty microSD o pojemności 128 GB.

Zdjęcia z tylnego aparatu o rozdzielczości 13 MP wychodzą poprawnie przy dobrym świetle. W gorszym oświetleniu są już słabej jakości, z dużą ilością cyfrowego szumu. Nagrywanie filmów wychodzi jeszcze gorzej. Nie jest to jednak smartfon dedykowany amatorom cyfrowej fotografii.

Ważną zaletą tego modelu – poza dużą odpornością – jest za to jego cena. Archos 50 Saphir kosztuje 980 zł. Jest więc istotnie tańszy od swych pancernych konkurentów o podobnych parametrach. © © Jacek Przybylski

W ŚWIECIE CISZY



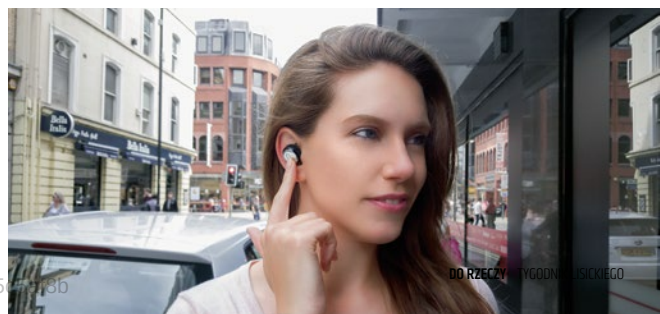
Macie dość? Marudnego szefa, awanturzącej się wiecznie koleżanki, chrapiącego współlokatora, hałaśliwych sąsiadów, szumu ulicznego? Chcielibyście wyłączyć wszystkie odgłosy

i w spokoju poczytać książkę? Jest na to sposób i to za pomocą tylko jednego kliknięcia. QuietOn to niewielki, zgrabny gadżet zaprezentowany na zakończonych niedawno targach CES 2017. Urządzenie przypomina miniaturowe bezprzewodowe słuchawki, których jedynym zadaniem jest odseparowanie nas od dźwięków zewnętrznych poprzez całkowitą redukcję szumów. Wszystko za pomocą zewnętrznego mikrofoniku, który odbiera sygnały, mikroprocesor analizuje natężenie dźwięku, a wewnętrzne głośniki wytwarzają specjalne, niszczące go przeciwsygnały. QuietOn działa przez kilkadziesiąt godzin, a do ładowania urządzenia wykorzystywany jest specjalny power bank, który zarazem jest też pojemnikiem na urządzenie. Zaletą zatyczek jest to, że dopasowują się do kształtu małżowiny usznej, co powoduje, że nie uciskają ani nie przeszkadzają w śnie na boku. Cena to ok. 550 zł.

A MOŻE POGADAĆ?

Dla tych, którzy ciszy nie lubią, a kochają za to zawieranie znajomości i wymianę poglądów z ludźmi innych narodowości, brytyjski projektant Mymanu przygotował specjalny słuchawkowy zestaw tłumaczący o nazwie MymanuClick. Urządzenie przypomina niewielkie bezprzewodowe słuchawki wzbogacone o translator tłumaczący w czasie rzeczywistym. Zasada działania jest stosunkowo prosta. MymanuClick przy użyciu mikroprocesora wychwytyje głos rozmówcy i jeśli jest to jeden z 37 języków, których słownictwo zapisano w bazie smartfonowej aplikacji, w ciągu ok. 10 s, czyli w czasie potrzebnym do rozpoznania kontekstu wypowiedzi, prosto do ucha tłumaczy go na język użytkownika. Urządzenie, zapowiadające się całkiem ciekawie, wejdzie do sprzedaży w maju bieżącego roku. Cena niestety nie będzie niska, może dochodzić nawet do 1 tys. zł.

© © Wojciech Wybranowski



Niechirurgiczna korekcja nosa

Najważniejszym elementem środkowej części twarzy jest niewątpliwie nos. Ma on ogromne znaczenie dla estetyki twarzy i możemy dostrzec dużą różnorodność kształtów, form oraz „rozmiarów”. Oczywiście zależne jest to w dużej mierze od rasy, od zmienności genetycznie zaprogramowanej oraz od ewentualnych zmian spowodowanych urazami i procesem starzenia.

Oprócz aspektu zewnętrznego – tego, co widzimy – nie można zapomnieć o jego niezmiernie ważnym aspekcie funkcjonalnym: jako ważnej części układu oddechowego i powonienia.

Kształt i wielkość nosa powinny „współgrać” z pozostałymi, sąsiadującymi z nim elementami twarzy.

Nos można podzielić na jego część początkową – nasadę (pomiędzy oczami), grzbiet, który kończy się koniuszkiem, oraz znajdujące się po jego bokach skrzydełka nosa przedzielone przegrodą chrzęstną.

Jest oczywiste, że nos jako całość może mieć nieco mniej estetyczny wygląd (czasami obiektywnie, czasami wyłącznie

subiektywnie). Bywa, że tylko jakaś jego część jest na nie najwyższym poziomie.

Poważniejsze deformacje kształtu nosa, zwłaszcza te powstałe na bazie kostno-chrzęstnej oraz będące źródłem zaburzeń układu oddechowego, mogą być korygowane wyłącznie poprzez zabiegi chirurgiczno-laryngologiczne. Wiele mniejszych defektów estetycznych nosa może być natomiast poddawanych zabiegom medyczo-estetycznym bez konieczności uciekania się do chirurgii. Narzędziami, którymi posługują się lekarze medycyny estetycznej, są tzw. wypełniacze (najczęściej kwas hialuronowy) oraz toksyna botulinowa. Zabiegi dotyczące nosa mogą wydawać się „łatwymi”, mogą jednak spowodować poważne objawy uboczne, stąd konieczność rozsądnej decyzji dotyczącej wyboru lekarza.

Po dokładnej ocenie anatomicznej (nos i okolica), analizie oczekiwań pacjenta i uwzględnieniu przeciwwskazań można w sposób mało inwazyjny skorygować następujące defekty estetyczne:

– unieść opadający – obniżający się (np. na skutek starzenia) – koniuszek nosa po-

przez wstrzyknięcie toksyny botulinowej,

– poprawić kształt koniuszka, podając do niego kwas hialuronowy,

– w przypadku niewielkich asymetrii grzbietu nosa (odchylenia w bok) można je poprawić kwasem hialuronowym,

– podobnie nierówności (garbki lub zagłębienia) grzbietu nosa można wyrównać – wypełnić kwasem hialuronowym,

– zbyt głębokie „wcięcia” u nasady nosa w ten sam sposób można spłycić.

Warto zaznaczyć, że tego typu zabiegi są jednymi z najczęściej wykonywanych zabiegów medycyny estetycznej w krajach azjatyckich. Mała urazowość (okolice można znieczulić) i praktycznie brak okresu rekonwalescencji oraz długo utrzymujący się efekt powodują, że „drobne” korekcje nosa są coraz częstszymi interwencjami także w Polsce.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa
Medycyny Estetycznej
i Anti-Aging PTL

www.drignaciuk.pl



NOWY WYMIAR TESTÓW
GENETYCZNYCH
DNA
TERAZ DOSTĘPNE
DLA WSZYSTKICH



Joanna Bojańczyk

Cywilizacyjny kryzys snu niszczy zdrowie, pracę, relacje z bliskimi. W ramach protestu rodzi się ruch odnowy snu. Mużą rekonkwisty jest Amerykanka Arianna Huffington



FOT. FOTOLIA

W pokoleniu 30-latków w dobrym tonie jest popisywanie się pracobolizmem. Przechwytanie się, że śpi się cztery-pięć godzin na dobę. Tak jak Margaret Thatcher, której wystarczały cztery godziny snu, jak Donald Trump, który także zadowala się czterema godzinami. Anna Wintour, redaktorka amerykańskiego wydania miesięcznika „Vogue”, wstaje co dzień o godz. 5, gra w tenisa i biega, wszystko po to, żeby być wciąż szczuplejszą, wciąż młodszą.

Nie mamy czasu na życie ani na sen, bo cały czas pracujemy. Sen wszedł do kategorii dóbr coraz rzadszych i coraz cenniejszych. Wyrosło całe pokolenie wypalonych, zestresowanych, przemęczonych ludzi. W ciągu 30 lat stracili godzinę snu, jedna trzecia sypia mniej niż sześć godzin na dobę. Millenialsi i trochę od nich starsi po prostu zapomnieli, jak się wypoczywa. Cały czas żyją podłączeni do Internetu: streaming, gry komputerowe, czaty, media społecznościowe. A nawet jeśli już się chce zasnąć na te kilka godzin pozostałych do świtu, to nie można. Dorośli, a szczególnie kobiety, które mają na głowie rodzinę i pracę, żyją na proszkach usypiających.

Pora spać

Bezsennność stała się chorobą cywilizacyjną. Poza przemęceniem i nerwowością ma także inny skutek, którego współczesny człowiek bardzo się obawia – tycie. Osoby niewyspane szybciej przybierają na wadze. Już po jednej nieprzespanej nocy chętniej sięgają po wysokokaloryczne pączki i burgery. – Niedobór snu osłabia aktywność kory czołowej, odpowiedzialnej za podejmowanie racjonalnych, przemyślanych decyzji, a pobudza do działania głębokie, najbardziej pierwotne struktury mózgu, które dążą do odczuwania przyjemności – wyjaśnia Matthew Walker, jeden z autorów analizy przeprowadzonej na uniwersytecie w Berkeley. Naukowcy ze szpitala Mount Sinai w Los Angeles obliczyli, że jedna noc złego snu równa jest sześciu miesiącom odżywiania się fast foodami.

Lekarze zalecają od ośmiu do 10 godzin snu. Dopiero taka ilość pozwala uporządkować zdobyte w ciągu dnia informacje, pozbyć się niepotrzebnych i zrobić miejsce na nowe. Brak snu zaburza wszystkie nasze czynności życiowe, ogranicza sprawność intelektualną.

REKONKWISTA SNU

W ramach protestu przeciwko uciśkowi cywilizacyjnemu rodzi się ruch odnowy snu. Sen zaczyna odzyskiwać swoją wartość.

Mużą rekonkwisty została Amerykanka greckiego pochodzenia, Arianna Huffington, współzałożycielka portalu Huffington Post (sprzedała go w 2011 r. spółce AOL za 315 mln dol.), dziennikarka, autorka 14 książek, jedna

z najbardziej wpływowych kobiet w Ameryce.

Sama jest klasycznym przykładem kogoś przemielonego, a potem wypłutego przez korporację: 18 godzin pracy zaprowadziło ją do szpitala. – Zemdlałam z wycieńczenia, upadłam, złamałam obojczyk. Dopiero wtedy zrozumiałam, jaką wartość ma sen – opowiedziała w wykładzie wygłoszonym na konferencji TED.

W kwietniu 2016 r. ukazała się jej książka „The Sleep Revolution: Transforming Your Life. One Night at a Time” (wyd. Harmony), o której można powiedzieć, że jest apoteozą snu. Trochę to przypomina nasze książki uciekinierów z korporacji, którzy schronili się na Mazurach, chociaż tutaj zalecana terapia nie jest aż tak radykalna. Nie trzeba sprzedawać ani kupować domu, zmieniać zawodu – trzeba po prostu odzyskać utraconą umiejętność.

Nie obyło się bez akcentów feministycznych, co zrozumiałe, gdyż poprzednia książka Huffington – „Thrive” – poświęcona była właśnie kwestiom feministycznym. Autorka utrzymuje, że żyjemy w cywilizacji zdominowanej przez mężczyzn i że to im najbardziej wypada chwalić się tym, jak dużo pracują, a mało śpią. Że są wypaleni, zestresowani. „Kiedy tu, w Waszyngtonie, chcesz się z kimś umówić o ósmej rano, mówi ci, że to dla niego za późno. Ostatecznie godzi się, zaznaczając, że o tej porze będzie już po tenisie i po wykonaniu obowiązkowych telefonów” – mówiła Arianna Huffington na TED.

„Gdyby Lehman Brothers był Lehman Brothers & Sisters, nie byłoby kryzysu” – dodała. Wysokie IQ nie wystarczy do podejmowania decyzji, trzeba mieć umysł zdolny do zobaczenia góry lodowej, zanim się na nią wpadnie. A niewyspany się do tego nie nadaje.

Brak snu jest zatem nie tylko kwestią higieny zdrowotnej, lecz także sprawą kulturową. Kryzys snu niszczy zdrowie, pracę, relacje z bliskimi. Sama pani Huffington zrezygnowała z pracy w swoim portalu i poświęciła się Thrive Global, start-upowi, który poświęcony jest promowaniu well-being, holistycznego podejścia do stylu życia, uwzględniającego w równym stopniu potrzeby ciała i ducha.

– Nie jesteśmy żołnierzami na froncie – mówi Arianna Huffington. Ta choroba wiąże się ze sporym kosztem społecznym i ekonomicznym. Czas się obudzić!

Trzeba spać! Nie jest tu konieczna rewolucja, wystarczy tylko nawiązać zerwane relacje – dodaje.

Ze swoją książką Huffington odbyła tournée po kampusach amerykańskich, gdzie wygłaszała odczyty na temat dobrodziejstw snu. „Po każdym spotkaniu ktoś do mnie podchodził i mówił, że nie śpi wystarczająco dużo albo cierpi na bezsenność z powodu przepracowania” – mówiła.

Szkoda, że nie było jej w liceach, może wypowiedziałyby się na temat pokójów nastolatków, z których jeszcze o północy wydobywa się stróżka niebieskawego światła...

LAWENDOWE SNU

Otrzymujemy również zestaw praktycznych rad. Najważniejsze to zerwać z alkoholem. On niby pomaga zasnąć, ale to tylko pozór i miły złego początek. Po alkoholu sen staje się płytki, przerywany. Jego jakość pogarsza się wraz ze starzeniem. Im jesteśmy starsi, tym wpływ alkoholu jest wyraźniejszy.

Natomiast dobroczynne działanie uspokajające i usypiające mają olejki eteryczne – lawendowy, tymiankowy, różany, majerankowy. Wystarczy kilka kropli skropić piżamę. Jeżeli ktoś śpi w piżamie – pani Huffington twierdzi, że najlepiej śpi się nago. I przytacza

Lekarze zalecają od ośmiu do 10 godzin snu. Brak snu zaburza wszystkie nasze czynności życiowe, ogranicza sprawność intelektualną

amerykański sondaż, który wykazał, że ponad połowa śpiących nago czuje się szczęśliwsza. Psychoterapeutka Fran Walfish wyjaśniła jej, że nagie ciało wydziela hormon – oksytocynę. A jeszcze lepszy na bezsenność jest seks.

Chcąc wykazać, że każdy szczegół ma znaczenie, ze swojej sypialni pani Huffington zrobiła sanktuarium. Z pomocą dekoratorów zmieniała jej wystrój z zimnego loftowego na przytulny. Ewangelistka snu śpi na pościeli z ekologicznej bawełny, na poduszkach wypełnionych jęczmieniem. Żadnej elektroniki, żadnych migających ekranów. Gdy spędza noc w hotelu, zakleja te urządzenia

taśmą. I radzi komórkę umieścić jak najdalej od łóżka. „Na wypadek, gdybyś wstając w nocy do toalety, miał pokusę rzucić okiem na ekran” – wyjaśnia.

ŚNIJ SŁODKO Z APKĄ

Wszystkie te rady byłyby niepełne, gdyby obyło się bez shoppingu. Sklep Huffington oferuje maskę do snu, zestaw podróżny Arianny Huffington, świetne pióro, żeby od razu zapisać szczególnie interesujący sen. Jeśli brak nam miejsca do skupienia i ciemności, to przysłać hełm, którego część zamyka się nad głową, tworząc całkowitą ciemność sprzyjającą zasypianiu.

Nie tylko teoria i dobre nawyki mają zmienić nasze zachowania. Pomóc w tym mogą nam także technologie. Poprawią zdrowie, samopoczucie i sylwetkę. Sama mam w telefonie aplikację Zdrowie, która liczy kroki i przebyte kilometry, może też sprawdzić tętno i oddech. Ciekawe tylko, dlaczego co dzień moja apka podaje inną liczbę kroków, chociaż poranny spacer z psem odbywam zawsze tą samą trasą...

Na śnie można zarobić: na stronach internetowych doradza się, jak zasypiać, jak spać, a przy okazji oferuje niezbędne instrumentarium. Pościel, poduszki, łóżka, materace, nocną bieliznę.

Ostatnio w magazynie przeznaczonym dla progresywnych 30-latków przeczytałam o kilku nowych aplikacjach, które mają uczynić nasze życie jeszcze zdrowszym, jeszcze dłuższym, jeszcze szczęśliwszym. Spanie ma nie być już tylko domeną pochrapujących podczas popołudniowej drzemki emerytów. Jest holistycznym działaniem dla dobra naszego organizmu oraz ludzkości.

Weźmy małe pudełeczko Dodow – pomaga nauczyć relaksacji, skupienia i zsynchronizować oddychanie, tak żeby stało się regularne jak u buddyjskiego mnicha. Po kilku miesiącach seansów z Dodow nauczymy się zasypiać sami.

Tym zaś, którzy (nierozsądnie) śpią w piżamie, marka Lunya proponuje komplety nocne pozwalające osiągnąć idealną temperaturę ciała. Opaska Droom ma natomiast wpłynąć na poprawienie fazy snu głębokiego. Dość daleko odeszliśmy od herbatki z lipy i szklanki gorącego mleka...

Jednak pani Huffington powiedziała przecież: „Mój mały pomysł jest dużym pomysłem. Odzyskać sen – to naprawdę dużo znaczy”.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pod polskim półksiężycem

Tatarzy polscy, zwani w XVII w. Lipkami, stworzyli nie tylko unikalną kulturę, lecz także własną kuchnię wywodzącą się od dawnych Mongołów i stepowych ludów, których ci ostatni w trakcie ekspansji podbijali i asymilowali. Do dziś ich osadnictwo przetrwało na Podlasiu, gdzie pozostało kilka wsi, wiele pamiątek i meczetów. Tatarzy pojawili się tam za czasów króla Jana III Sobieskiego, który nadał w 1679 r. zasłużonemu wojownikowi kilka wsi. Kruszyniany, Nietupy i Łużany dostał rtm. Samuel Mirza Kryczyński. Z kolei Bohoniki, Drahle i Maławicze otrzymał Olejewski, a Samuel Mirza Korycki – Lebie-dziewo i Małaszewicze.

Nawet w obecnych czasach liczne w tym regionie restauracje i karczmy oferują tatarskie przysmaki, z których jednak wiele wygląda mi na importy z różnych kultur. Ograniczmy się zatem do

tych dań, które są potwierdzone przez najdawniejsze źródła.

Wybitny badacz Aleksander Osipowicz w połowie XIX w. opisał najważniejszy specjał Tatarów. „Podczas zebrań fetują się między innymi narodowym przysmakiem, którym są pierożki z mięsa skrobanego nożem z tłuszczem baraniną, pieprzem i cebulą w cieście zwijane, znane i w Warszawie pod nazwiskiem kołdunów litewskich, a tu właściwie nazywane tatarskimi. Dobre kołduny smakują wyśmienicie, lecz trzeba je umieć sporządzać, acz na pozór jest to jadło nader proste. Spożywa się je łyżką, a sztuka na tym należy, żeby kołdun mógł się cały od razu zmieścić w ustach, bez uszkodzenia ciasta i wytoczenia zeń soku, który właśnie jest delcją amatorów”. Kołduny tatarskie przypominają pierożki z nadzieniem z mięsa i tłuszczu, znane np. z kuchni

gruzińskiej. Z ich przyrządzaniem wiązał się kiedyś cały rytuał, a potomkowie Lipków twierdzili, że dopiero wtedy, gdy dziewczyna potrafiła odpowiednio zaznaczyć ząbki na ich brzegach, mogła wyjść za mąż.

Piotr Borawski i Aleksander Dubiński podają jeszcze kilka ciekawych potraw. Na przykład piekaczewnik, czyli ciasto przekładane mięsem lub serem albo jabłkami, oraz cybulnik – ciemne pierogi nadziewane mięsem wołowym, baraniną lub gęsiną, z dodatkiem drobno posiekanej cebuli. Ciasto do nich przygotowywano z mąki, sody oczyszczonej, ze szklanki mleka, z jajka i soli.

Co pili Tatarzy? Mahomet zakazywał raczenia się winem, jednak – jak mówili złośliwi – o gorzałce nie wspominał. Najczęściej spożywanym napojem była więc syta – woda zagęszczona syconym miodem. ©

Kołduny tatarskie

Bierzemy dwie szklanki mąki, jedną niepełną solonej przegotowanej wody i wyrabiamy z tego ciasto – bardzo dokładnie i pomaku. Kiedy jest gotowe, zostawiamy je w glinianym garnku na godzinę, przykryte ściereczką. Przygotowujemy po 20 dag poledwicy wołowej, udźca baraniego i baraniego łoju nerkowego. Czyścimy ze ścięgien, z błon i żył, łój wstawiamy na chwilę do lodówki. Mięsa kroimy drobno, a łój ścieramy na tarce. Mieszmamy mięsa, dodajemy też kilka łyżek rosółu wołowego. Solimy, pieprzymy, dodajemy trochę cukru, łyżeczkę majeranku, rozarty ząbek czosnku. Rozwałkowujemy ciasto na placek, szklanką wycinamy krawężki. Na każdym kładziemy porcję farszu i zalepiamy, zwilżając brzegi. Kołduny gotujemy we wrzącym rosółu wołowym doprawionym lubczykiem przez ok. 3–5 minut.

Piekaczewnik na słodko

Z kilograma mąki pszennej, pięciu żółtek, łyżki oleju, łyżeczki soli, pół litra wody wyrabiamy ciasto, które dzielimy na sześć części. Każdy kawałek wałkujemy na płaty o średnicy 70 cm i grubości 1 mm. Kładziemy jeden na drugim, smarując każdy roztopionym masłem albo gęsim sadłem. Przygotowujemy nadzienie z kilograma rozartego białego sera, 10 dag rodzynków i cukru. Rozkładamy je równomiernie na górnym płacie. Zwijamy w rulon, układamy na podobieństwo muszli ślimaka w okrągłym, wysmarowanym masłem naczyniu. Smarujemy ciasto z wierzchu masłem. Pieczemy w piecu przez niemal dwie godziny, sprawdzając, czy się nie przypaliło.



FOT. FOTOLIA

JERZY WENDERLICH I TAJNA RECEPTURA NA FASZEROWANE JAJKA

Ja i moje rodzeństwo wychowaliśmy się na genialnej wileńskiej kuchni, bo moja mama pochodziła z Wileńszczyzny. Nie tylko znała wspólnie przepisy, lecz także miała wyjątkowy talent do gotowania. Nawet wśród członków swojej rodziny była tą, która gotuje najlepiej. Wspominam jej pyszne chruściki, dziś częściej nazywane faworkami, znakomite bliny, serca w winie, pierogi z zawijanymi brzegami, choćby te z serem i cynamonem, ale także niesamowite kołduny i mięsa wołowe. Pamiętam, że gdy je przyrządzała, staliśmy w kuchni – każdy ze swoją łyżeczką, żeby spróbować choć odrobinę pysznego mięsnego sosu.

Kiedy mama została babcią, tylko ona potrafiła skłonić wnuki – a trafiły jej się w zasadzie same niejadki – do tego, by coś w końcu zjadły. To jej kuchnia sprawiała, że zapomniały o swoim „niejadztwie”.

Niestety nikt z rodziny – może jedynie trochę moja siostra – nie przejął od mamy tych sprawdzonych receptur. To w pewnym sensie kara dla nas za to, że nie pomagaliśmy maminie w kuchni. Tak się u nas uartało, że kiedy wyprawiała nas do szkoły, to zaczynała przygotowywanie posiłków. Nikt nie czuł się zobligowany, żeby w czymkolwiek jej pomagać, o czym dziś mówię z żalem i ze wstydem.

Jedyną potrawą, której nauczyłem się od mamy, są jajka faszerowane. Robię je i na co dzień, i od święta. Przyznam, że choć jadłem faszerowane jajka w wielu domach, to żadne nie smakują tak jak moje.

Tym przepisem nie do podrobienia potrafię niejednemu zaimponować. Nie zdradzę go jednak czytelnikom, bo to moja tajna receptura. Przyjaciele i znajomi chętnie mnie odwiedzają, kiedy słyszą, że podam faszerowane jajka, i nie chciałbym, żeby to się zmieniło. Tym, którzy chcieliby poeksperymentować, mogę tylko podpowiedzieć, że do farszu dodaję odrobinę masła i bardzo dużo zieleniny:

- pietruszki
- koperku
- szczypiorku

Więcej nie zdradzę, mogę tylko obiecać, że kiedyś zaproszę redakcję „Do Rzeczy” na faszerowane jajka. I przypuszczam, że po spróbowaniu „Do Rzeczy” zmieni wobec przedstawiciela lewicy. © © (not. anie)

Jerzy Wenderlich

jest wiceprzewodniczącym SLD.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Diety do zadań specjalnych



HAYLIE POMROY
„LECZ SIĘ
JEDZENIEM.
DIETY DO ZADAŃ
SPECJALNYCH”
BURDA KSIĄŻKI

Jemy po to, żeby żyć. Czyżby? Zważywszy na ilość czasu i miejsca, jakie przeznaczamy na żarcie, skłaniam się ku twierdzeniu, że żyjemy wyłącznie po to, żeby jeść. Przynajmniej w naszej części świata. Bo wciąż miliard mieszkańców naszej planety głoduje.

Poza podtrzymaniem czynności życiowych jada się też po to, żeby schudnąć, i po to, żeby zapewnić sobie zdrowie i długie życie. Czasem w celach towarzyskich, czasem z nawyku lub nałogu. Jednak można też jadać w celach leczniczych. O tym właśnie jest książka amerykańskiej autorki Haylie Pomroy „Lecz się jedzeniem. Diety do zadań specjalnych”. To oczywiście bestseller „New York Timesa”. Bo ktoś bardziej niż Amerykanie pasjonuje się analizowaniem procesów trawiennych?

Mają najbardziej niezdrowe jedzenie na świecie, ale również najbardziej zaawansowaną naukę o szkodliwych skutkach tegoż jedzenia.

Wróćmy do leczenia. Zaczynamy je od postawienia diagnozy. Aby stwierdzić, co nam naprawdę dolega, należy wsłuchiwać się w sygnały, jakie daje organizm.

„Nasze ciała zawsze coś do nas mówią, przekazują swoje potrzeby, musimy tylko nauczyć się ich słuchać” – pisze pani Pomroy. Nie chodzi nawet o wielkie problemy, ale o drobne zmiany. I to takie, które nie mają pozornie związku z dietą.

Nie masz ochoty na seks, czujesz się zmęczony i smut-

ny? Cierpisz na zaburzenia hormonalne, masz wysoki cholesterol, cukrzycę, kłopoty trawienne? Albo po prostu zaczynasz źle wyglądać.

Twoje ciało woła o pomoc, ale nie martw się. Właściwie stosowana dieta będzie kluczem do rozwiązania wszystkich problemów. W dodatku uodpornisz się na choroby i utrzymasz idealną wagę. Czego żądać więcej?

Nie wiem, czy mam ochotę na przekąskę z liścia mniszka zawiniętego w plaster szynki wołowej, nawet jeśli miałby on ustabilizować mój poziom cukru. Nie jestem pewna, czy łososiove placuszki z kimchi bardzo usprawnią moje procesy poznawcze. Jednak książka jest ciekawa i solidnie opracowana. Myślę, że rasowi hipochondrycy znajdą w niej niejedną ze swoich ulubionych chorób. W każdym razie autorka zaraża typowym dla wielu amerykańskich autorów entuzjazmem i wiarą w skuteczność proponowanych rozwiązań. Poleca ją Alan Christensen, specjalista medycyny naturalnej i autor innego bestselleru (także „New York Timesa”) „The Adrenal Reset Diet”. „Dzięki tej książce uzdrowisz swoje ciało kęs po kęsie”.

Licząc na pierwszy kęs, mogę nawet zgodzić się na liść mniszka.

PS Zaczynam wierzyć, że „New York Times” jest poradnikiem zdrowego żywienia. © ©



FOT. MATERIAŁ PRASOWE (5)

SUPERSZYBKA KIA

Piękna stylistyka nadwozia z charakterystycznym dla Koreańczyków „tygrysim” nosem, a pod maską 370-konny silnik V6 o pojemności 3,3 l, który pozwala osiągnąć pierwszą „setkę” w zaledwie 5,1 s, a na niemieckiej autostradzie poszaleć z prędkością 269 km/godz. Kia Stinger model, który jasno pokazuje, że Koreańczycy nie muszą już walczyć o klienta tylko niższą ceną. Dla tych, którzy nie potrzebują aż tylu koników pod maską, do wyboru będzie wersja dwulitrowa o mocy 255 KM, która od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 6 s. Kabina ma być przestronna. Auto ma bowiem 1,87 m szerokości (4,83 m długości i 1,4 m wysokości). Wnętrze najszybszej Kii w hi-

storii ma być luksusowe, wykończone m.in. skórą oraz aluminium, a także wyposażone w system audio składający się z 15 głośników oraz np. wyświetlacz przezierny (HUD). Sportowa Kia Stinger – wyróżniona nagrodą EyesOn Design dla najpiękniejszego auta produkcyjnego, które w tym roku trafi do salonów – ma więc szanse stać się alternatywą dla BMW serii 4, a także dla niektórych modeli Audi czy Infiniti. Koreańczycy chcą bowiem kusić klientów podobnymi luksusami i wyglądem za znacznie mniejsze pieniądze. Niestety, Kia nie podała jeszcze oficjalnie ceny swojej sportowej zabawki. Branżowe portale zdradzają jednak nieoficjalnie, że cena bazowa może oscylować w granicach 30 tys. dol., czyli ok. 125 tys. zł, a wersji GT z napędem na wszystkie łapy w granicach 50 tys. dol., czyli ponad 200 tys. zł. W Polsce do sprzedaży Stinger ma trafić pod koniec bieżącego roku.

PRZEŁOMOWY SUV OD MITSUBISHI

Na międzynarodowym salonie samochodowym w Genewie Japończycy zaprezentują po raz pierwszy kompaktowy SUV „nowej generacji”. Ujawnione przez Japończyków w zeszłym tygodniu pierwsze zdjęcie nowego modelu zdradza jedynie zarys nowej, odważniejszej sylwetki. Wiadomo jedynie, że kompletnie nowy samochód – który zajmie miejsce między modelami ASX i Outlander – ma być punktem zwrotnym w historii Mitsubishi.



ZNIŻKI ZA BEZPIECZNĄ JAZDĘ

Kierowcy jeżdżący bezpiecznie mają szansę płacić niższe stawki za ubezpieczenie OC. Tak przynajmniej przekonuje Yanosik, który wprowadził na rynek usługę YU! Cena polisy ma być uzależniona od danych telematycznych, m.in. od stylu jazdy i przestrzegania przepisów drogowych. Bezpiecznie jeżdżący kierowcy mają ponoć szansę na tańsze nawet o 30 proc. ubezpieczenie OC. Oferta skierowana jest na razie tylko do właścicieli samochodów prywatnych. Przedstawiciele Yanosika zapewniają jednak, że jeżdżąc bezpiecznie służbowym autem, można rejestrować historię własnej jazdy i skorzystać z tego profilu przy ubezpieczeniu prywatnego samochodu.

OPÓŹNIONE BESTIE DLA TRUMPA

Zgodnie z tradycją 45. prezydent USA powinien już jeździć nową flotą prezydenckich cadillaców. Okazuje się jednak, że przez pewien czas Donald Trump będzie jednak musiał jeździć limuzynami, które od 2009 r. użytkował Barack



Obama. Projektowanie i produkcja floty kilku-nastu nowych opancerzonych cadillaców, w tym słynnych prezydenckich Bestii – odpornych m.in. na ataki chemiczne i zamachy bombowe – zaczęła się we wrześniu 2013 r. I chociaż już na początku zeszłego roku nowe cadillaki były widziane podczas testów, to firma dostarczy je prawdopodobnie dopiero wiosną. Do transportowania prezydenta agencji Secret Service używają także SUV-ów Chevrolet Suburban.

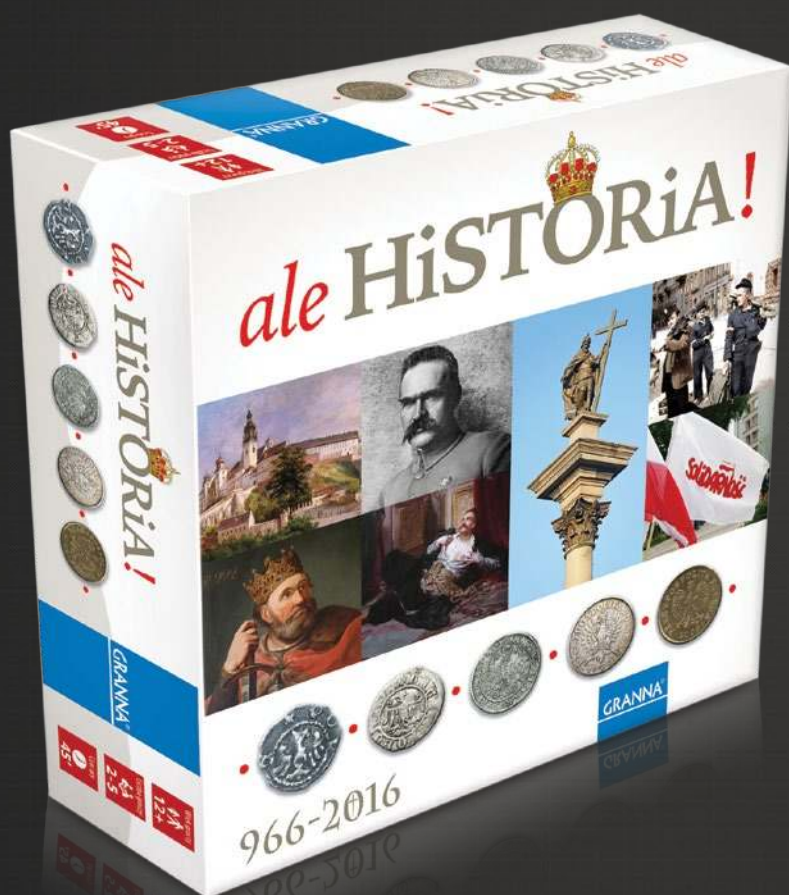
OPRACOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

HISTORIA
DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ **GRA PLANSZOWA** „ALE HISTORIA!”



„ALE HISTORIA!” TO NIEZWYKŁA PODRÓŻ POPRZEC WIEKI!

Gracze zagłębiają się w historii Polski i naszej narodowej kultury. Odpowiadając na quizowe pytania poznają niezwykle fakty z bogatych dziejów naszego kraju. Od pierwszych Piastów aż do czasów współczesnych.

Mechanika gry pozwala w łatwy sposób dopasować poziom trudności do wieku i wiedzy graczy. Gra posiada 3 poziomy trudności i 2 warianty rozgrywek. Uczestnicy zabawy sami decydują na które z nich chcą odpowiadać.

90 zł

oszczędność 105 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 9575c5af8b



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Wylać dziecko z kąpielą

BARTOSZ MARCZUK (WICEMINISTER MRPIPS): Będziemy dążyć z determinacją do tego, żeby jak najmniej dzieci polskich było wysyłanych do adopcji za granicę. To pewien stereotyp, że co do zasady za granicę są wysyłane dzieci, które w Polsce nie mają żadnych szans na adopcję – bo są bardzo chore, bo są to bardzo trudne przypadki. Otóż, jak to sprawdziliśmy, okazało się, że zaledwie 20 proc. dzieci ma orzeczoną niepełnosprawność.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej nie ukrywa, że ograniczenie adopcji zagranicznych jest „patriotyczne”

Pomysłodawca radykalnego ograniczenia adopcji zagranicznych powinien osobiście wytłumaczyć to dzieciom

– chodzi o to, „żeby polskie dzieci nie traciły kontaktu z krajem i utrzymywały polską tożsamość”. Żeby łatwiej ten kontrowersyjny pomysł „sprzedać” w mediach, przywołuje się jeden przypadek nieprawidłowości podczas adopcji do Stanów dziewczynki, która później była molestowana przez swoją nową, amerykańską

rodzinę. Przypadek rzeczywiście wstrząsający, ale jeśli ten jeden incydent ma być powodem do ograniczenia adopcji zagranicznych, to należałoby także ograniczyć kierowanie dzieci do rodzin zastępczych w Polsce – to w jednej z takich rodzin dziewczynka była molestowana jeszcze u nas. Przypadki patologii w rodzinach zastępczych można mnożyć, ale jakoś nikt nie wykorzystuje ich do postulowania ograniczenia pieczy zastępczej. Po prostu nie zawsze da się wyeliminować nieprawidłowości, a w tak delikatnych sprawach łatwo wylać dziecko z kąpielą, do czego właśnie przymierza się rząd.

W 2011 r. Najwyższa Izba Kontroli skontrolowała adopcje zagraniczne przeprowadzone w latach 2008–2010. Raport powinien przeczytać każdy, kto będzie próbował przekonywać, że ograniczenie adopcji zagranicznych jest w interesie dzieci, bo choć dane są sprzed kilku lat, to zapewne niewiele się zmieniło.

NAJWYŻSZA IZBA KONTROLI: W latach 2008–2010 do Publicznego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego (to on kieruje dzieci do adopcji zagranicznych)

skierowano łącznie dokumentację 2709 dzieci zakwalifikowanych do przysposobienia, w tym: 252 do adopcji krajowej, a z uwagi na ograniczone zainteresowanie adopcją wśród rodzin polskich – 2457 do adopcji zagranicznej. Liczba dzieci adoptowanych w kraju i za granicą za pośrednictwem Ośrodka w ciągu tych trzech lat wynosiła 420 – 107 adopcji krajowych i 313 adopcji zagranicznych.

Jeśli przyjąć, że w badanych latach odsetek adoptowanych za granicę dzieci posiadających orzeczenie o niepełnosprawności wynosił „tylko” 20 proc., to było to ponad 60 dzieci, które trafiły do kochających rodzin i – co równie ważne w przypadku dzieci chorych lub niepełnosprawnych – mają dużo lepsze warunki bytowe i większe możliwości leczenia, rehabilitacji oraz integracji społecznej, niż gdyby zostały w Polsce. No ale u nas przynajmniej nie tracą kontaktu z krajem i utrzymują polską tożsamość.

Pomysłodawca radykalnego ograniczenia adopcji zagranicznych powinien dostać szansę, aby osobiście to wytłumaczyć dzieciom, dla których adopcja zagraniczna to jedyna szansa na rodzinę i normalne życie. Na pewno docenią. ©©

PODSŁUCHANE

Przecież to jest proste

Rysiu, no nie jest dobrze. Spada nam.

Oj, wiem, Aśka. Nie mów mi, co ja wiem, tylko czego nie wiem. Na przykład jak zrobić, żeby było dobrze.

Po pierwsze, musimy mieć nowego rzecznika. A najlepiej rzecznikę.

Ładną, atrakcyjną, inteligentną i z refleksem.

Aha. Czyli kogo?

No wiesz... Kamilka już była, Asia Schmidt z oczywistych powodów nie może... Ale ja mogę!

Świetnie. Będziemy mieli rzecznikę z nazwiskiem, którego nikt nie umie wymówić. Nawet ja.

Rysiu! Przecież to jest proste, sto razy ci mówiłam.

Ty naprawdę myślisz, że ja nie mam nic innego do roboty niż

uczenie się, jak się wymawia „Szering-Wielgus”?

Szojring, do jasnej cholery! Szojring!!! Ile razy mam powtarzać?! O, i widzisz? Właśnie o tym mówię. Wyjdiesz do dziennikarzy, któryś tam o tobie powie „Szyring”, „Szering” albo „Szuiring”, ty się wściekniesz i leżymy.

No wiesz, Rysiu, bardziej leżeć niż ty wiesz z kim to my już nie będziemy.

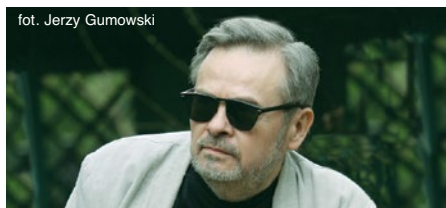
My na pewno nie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wola wodza jedynym prawem w RP. W takim kraju prawie jesteśmy, a za chwilę możemy być”.

TOMASZ LIS,
publicysta, w Radiu TOK FM



Histeria

jawem choroby, której pierwociny to zbytnia kumulacja sprytu (...) Histeryczka lubi coś osobliwego pokazać, dokonać, a jeśli ktoś nie wierzy, to objawy się potęgują, chora szuka sprzymierzeńców. Przy braku zainteresowania nimi — te objawy nie miałyby racji bytu". Sprzymierzeńców, czyli kolegów partyjnych, kibiców ulicznych i publiczności telewizyjnej, a wcześniej promotorów—sponsorów? W aspekcie grudniowo—styczniowych zdarzeń wewnątrzsejmowych i okołosejmowych — szczególnie istotną wydała mi się taka uwaga prof. Szumowskiego dotycząca tej patologii: „*Kobiety histeryczki są niesłuchanie podatne na sugestie*". Obserwując nerwowe reakcje działaczek KOD-u, Platformy i .Nowoczesnej nie miałem wątpliwości, że realizują one sugestie spiskowe „*slużbowego*” sortu, czerpane od mazguli dawnego resortu.

Wspomniane parapuczystowskie turbulencje wokół Sejmu, które eksplodowały tuż przed Świętami Bożego Narodzenia, od początku miały charakter spiskowy (zakulisowo) plus kliniczny (estradowo), i od początku w różnych komentarzach medialnych pojawiało się wobec tych emocji słowo „*histeria*”. Nawet u janczarów Salonu, exemplum Tomasz Lis ogłaszający: „*Szanowni Państwo*



Cyprian Kamil Norwid:
„*Ci, co trzęsą harfą nerwów...*”



wo, uprzejmie zawiadamiam, że 19 grudnia skończyła się w Polsce demokracja. Chciałbym, żeby to była histeria, ale nie jest". Grubo się pomylił, bo to u KODomitów i wszelakich salonowców, zwłaszcza u salonowców genderu żeńskiego, była histeria nieustająca, permanentna tout court. Publicyści strony antysalonowej komentowali ją w rozmaity sposób, niektórzy nawet obscenicznie, exemplum redaktor Stanisław Michalkiewicz: „*Jarosław Kaczyński wprowadził swoich do sali kolumnowej, gdzie uchwalili ustawę budżetową, zostawiając na sali plenarnej panienki z Nowoczesnej z fiutem w garści*". Tak, to był dla owych dam szok. Poseł PiS-u, Jacek Sasin, mówiąc redaktorowi Sławomirovi Jastrzębowskiemu o „*wyjatkowo pobudzonych posłach opozycji*” wtedy, wskazywał głównie płeć piękna... pardon, wskazywał gender żeński: „*— Pamiętam to piątkowe posiedzenie, na którym zwłaszcza młode posłanki opozycji biegały z telefonami komórkowymi po sali, podstawiając je pod nos innym posłom, machając rękami...*”. Słowa „*histeria*” nie użył formułą „*expressis verbis*”, bo dzięki tej opisowej diagnozie potrzebne już nie było.

Inni używali jednak bez pardonu. Redaktor Łukasz Warzecha konkludował: „*Polacy nie są w stanie zbyt długo akceptować stanu historycznego wzmocnienia*”, pijąc do

faktu, iż „*najgłośniejszą się panie Scheuring—Wielgus, Gajewska czy Lubnauer — to właśnie ich żenujące występy stały się synonimem opozycji*”. Dla innych takim synonimem stała się platformerska cienkopiszcząca histerycznie wokalistka Mucha, exemplum redaktor Przemysław Harczuk piszący o ludziach, co „*bronią umęczonej ojczyzny przed puczem śpiewającej protest songi posłanki Joanny Muchy*”. Mucha sejmowa, przerabiając mównicę Sejmu na śpiewnicę satyryczną, miała pełne poparcie koleżanek znerwicowanych kiepskim odzwodem społecznym na ich rebelianckie profanacje mające uwalić „*Kaczora*” — dyktatora—potwora. Jak również poparcie entuzjastek z zewnątrz, np. reżyserki Agnieszki Holland czy dziennikarek salonowych (wicemarszałek Sejmu Joachim Brudziński: „*— Pamiętam rozhisteryzowane komentatorki sejmowe mówiące, że zaraz dojdzie do rozlewu krwi*”).

Świątą patronką wszystkich tych publicznych histerycznych jest primadonna Janda, która (znowu cytuję Warzechę) „*przeciwstawia się niewystarczającemu wspieraniu przez rząd prywatnych teatrów, tak żeby aktorzy mogli tam na ten rząd narzekać*”. Konkretnie chodziło jej o teatr Krystyny Jandy, albowiem teraz pisowcy, którzy doszli do władzy drugi raz, nie dali już teatrowi pani J. tak olbrzymich sum jak wtedy, kiedy sprawowali władzę pierwszy raz (2005). Wyraziła wówczas swą „*wdzięczność*” PiS-owi płucząc na tę partię ile wlało, a później bez zmużenia oka znowu wyciągnęła do pisowców łapę po sute subwencje. Zupełnie jak pan Baour—Lormian, który podczas Restauracji wyklinał zmarłego już cesarza Napoleona, a gdy mu przypomniało, że brał od Napoleona dużą pensję, krzyknął: „*— Musiałem! Gdybym odmówił brania tych pieniędzy, to on by mnie rozstrzelał!*”.

Próbując naśladować Jandę (swą wrogością wobec PiS-u) inne „*komediantki*”, niektórym udaje się nawet prześcignąć egerię buntu frazeologią judaistyczną, jak chociażby Mai Ostaszewskiej (według której dzisiejszą RP znamionuje „*galopujący antysemityzm*”), czy Magdalenie Cieleckiej, która swą gehennę w satirpii „*Kaczora*” zmetaforizowała holocaustowo (odwołując się do sytuacji Żydów w Generalnym Gubernatorstwie), czym mocno wywindowała poprzeczkę kliniczną dla kolejnych chętnych bicia rekordu historycznego.

Renomowany „*Słownik Języka Polskiego* M. Arcta”: „*Histeria — nerwica, choroba nerwowa występująca często wskutek cierpienia macicy*”. Być może jej publiczne szerszenie się jest skutkiem fatalnego regresu polskiej służby zdrowia. Doniesienia o masowej emigracji polskich lekarzy (w tym psychiatrów, neurologów i ginekologów) sprawiają, że coraz większe obszary rodzimej prowincji (zwłaszcza wiejskiej) zostają całkiem pozbawione opieki lekarskiej, ludziska muszą szukać ratunku w dużych miastach, pędzą zatem do stolicy, aż na ulicę Wilejską. Łoła boga! ©©

Waldemar Łysiak

Symbolem personalnym KOD-u stała się dla mnie młoda kobieta, która nocą Wigilijną demonstrowała pod Sejmem, a pytana przez dziennikarza czemu to robi, odparła, że protestuje, bo przyszło jej egzystować w kraju, który stał się całkowicie wrogi demokracji i gdzie ona musi „*żyć według nakazów jednego człowieka*”. Usłyszawszy to/ujrzawszy to pierwszego dnia Świąt dzięki wieczornym „*Wydarzeniom*” Polsatu — doznałem lekkiej konfuzji, sądziłem bowiem naiwnie, że w Wigilię nie wypada szerzyć rekordowych kłamstw, później jednak, dla świętego spokoju (aby się upewnić) przeleciałem mózgowicą wszelkie możliwe nakazy opresora „*Kaczora*”, które, gdyby padły, faktycznie uczyniłyby piekło z życia tej męczennicy. Śledzę pilnie (jak całe społeczeństwo) dyrektywy prezesa PiS-u i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek komukolwiek rozkazywał a propos sposobu bycia, kochania, jedzenia, siusiania, wydalania, relaksowania, spacerowania, grania, czytania, śpiewania, gwizdania, kupowania, hodowania, świętowania, wędrowania, grillowania, czesania, biegania, ubierania, malowania, pisanie, rozmawiania, kąpania, sprzątania, gotowania, plotkowania, pudrowania, rysowania, tulenia, żartowania, ćpania, figlowania, cerowania, kolekcjonowania, pedałowania, pływania, tańczenia, niańczenia, żeglowania, czy nawet głosowania tak a nie inaczej. Jakim więc cudem czy trafem owa kobieta cierpi, bo „*musi żyć według nakazów jednego człowieka*”?

Rzucanie takich słów do kamery i mikrofonu znanej stacji telewizyjnej ma swoją wagę, jest to bowiem przemawianie do milionów ludzi. Czegóż więc trzeba, by patrząc w oczy milionom kłamać bez żadnego umiaru? Trzeba oczywiście tupetu, lecz czy tylko? Azali brednie tej kobiety nie są klinicznym przejawem damskiej histerii, jaka niczym dzuma ogarnia coraz szersze kręgi niewiast stających się aktywistkami i manifestowymi posługaczkami KOD-u? „*Histeria kobieca*” to nie złośliwy wymysł pamphletystyczny, tylko klasyfikowana choroba (a więc termin fachowy) rozpoznawana często. Wybitny polski lekarz, profesor Władysław Szumowski, przez ćwierć wieku wykładawca historii i filozofii medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim (dzięki jego staraniom utworzono katedry historii i filozofii medycyny na wszystkich polskich uniwersytetach), w swym sztandarowym dziele „*Historia medycyny*” (1935, 1961) poświęcił „*histerii niewieściej*” wiele stron, pisząc m. in.: „*Klamstwa histeryczne są nawet autentycznymi kłamstwami, tylko ob-*

Czasami życie zależy od rzeczy...

Barbara, lat 68.

Koncentrator tlenu umożliwił mi życie z astmą.

Dotychczas podczas ataków duszności,
musiłam korzystać z hospitalizacji.



Dzięki wpływom z 1 % Caritas Polska zakupiła:

4841

łóżek pielęgnacyjno-rehabilitacyjnych sterowanych pilotem wraz z materacami

436

ssaków medycznych

851

koncentratorów tlenu



Oraz innego rodzaju nier refundowany sprzęt medyczny i rehabilitacyjny,
który ułatwia codzienność 12 000 osób chorych
i poszkodowanych w wyniku różnego rodzaju wypadków w całej Polsce.

...bo czasami życie zależy od rzeczy.



KRS: 0000 198 645

Pobierz darmowy program do rozliczeń PIT 2016
i przekaż swój 1% Caritas Polska.

www.jedenprocent.caritas.pl

eprasa.pl 9575c5af8b





CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO DODATEK SPECJALNY

Bitwy Legionów

- Strzelcy komendanta Piłsudskiego
- Boje od Kielc do Wołunia • Żydzi w szeregach!



Legioniści Komendanta

Epopeja Legionów Polskich rozpoczęła się
podczas I wojny światowej 6 sierpnia 1914 r.
o godz. 3.30 rano...



Żołnierze Pierwszej Brygady Legionów
w okopach. U góry ich Komendant; na
sąsiedniej stronie – orzełek, który
nosili na czapkach FOT. NAC, MWP



Maciej Rosalak

O tej porze ich pierwszy oddział przekroczył granicę zaboru rosyjskiego. Była to Pierwsza Kompania Kadrowa złożona głównie ze słuchaczy strzeleckich szkół oficerskich, wyłonionych z lwowskiego Związku Strzeleckiego, krakowskiego Towarzystwa „Strzelec” i Polskich Drużyn Strzeleckich. Pochodzili oni zarówno z Galicji, jak i polskich terenów pod panowaniem cara – Królestwa oraz kresowych ziem zabranych. Ruch strzelecki był w zaborze austriackim legalny, ale kierowany przez wywodzący się z Organizacji Bojowej PPS niepodległościowy Związek Walki Czynnej. Na czele całego ruchu stał Komendant – Józef Piłsudski.

TRZY BRYGADY

Pierwsza Kompania Kadrowa dotarła do Kielc 12 sierpnia, ale – wbrew zamierzeniom – nie wywołała w Królestwie spontanicznego zrywu powstańczego przeciw Rosji. Nie pomogło ogłoszenie utworzenia – fikcyjnego – rządu narodowego. W tej sytuacji Piłsudski dał impuls do organizowania konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej, a sam stanął na czele pierwszego strzeleckiego pułku piechoty i oddziału jazdy. Natomiast politycy galicyjscy, wspierający ideę istnienia zbrojnej siły pod komendą polską, utworzyli

Naczelny Komitet Narodowy i pod jego auspicjami wymogli już w połowie sierpnia na Austriakach zgodę na zorganizowanie dwóch legionów – Wschodniego we Lwowie i Zachodniego w Krakowie. Związek tego pierwszego rozsypał się wskutek ofensywy rosyjskiej w Galicji, natomiast masowy napływ ochotników spowodował, że z drugiego zrodziły się w grudniu 1914 r. Pierwsza i Druga Brygada Legionów, a w maju 1915 r. również Trzecia Brygada.

O Legionach Piłsudskiego mówimy podobnie jak o wiek wcześniejszych Legionach Dąbrowskiego. Nazwa formacji jest ściśle związana z nazwiskiem dowódcy. Czyli Legiony z czasów I wojny światowej to Piłsudski, a Piłsudski to Legiony. Tym bardziej zaskakuje niekiedy wiadomość, że nigdy nie dowodził on „Legionami”...

Dowództwo Legionów Polskich oraz drugiej i trzeciej Brygady objęli inni. Co to jednak za nazwiska?... Kto dziś pamięta Durskiego, Puchalskiego, Zielińskiego, Küttnera czy Grzesickiego? „Kim w takim razie był sam Piłsudski?” – rodzi się pytanie. Był oczywiście dowódcą Pierwszej Brygady, jednej z trzech, a całością nie dowodził nigdy. Czy więc pamięć zbiorowa, tradycja i legenda mijają się z rzeczywistością? Formalnie rzecz ujmując, terminu „Legiony Piłsudskiego” nie powinniśmy używać, ale w głębszym znaczeniu jest on trafny, bo oddaje dziejową istotę legionowego zjawiska.

Myśl o stworzeniu polskiego wojska, bijącego się w wojnie ludów u boku Austro-Węgier, zrodziła się w umyśle Józefa Piłsudskiego, nie zaś kogokolwiek innego. To on ją upowszechnił wśród społeczeństwa, zaszczerpił młodzieży zapał, stworzył oddziały strzeleckie i na ich czele wkroczył do Kongresówki. Niebawem upór i niepowściągnięta osobowość pozwoliły mu przetrwać pierwsze niepowodzenia i zyskać dla idei legionowej poparcie galicyjskich oraz zgodę austriackich polityków. Bez niego nie powstałyby Legiony Polskie już jako formacja c.k. armii.

Chociaż nie został ich zwierzchnikiem, to jednak z powodzeniem wprowadzał polską komendę, odznaki i sztandary. On, a nie jego formalni zwierzchnicy, pułkownicy i generałowie, którzy wprawdzie niemal wszyscy byli Polakami, ale lojalność wobec cesarza w Wiedniu przedkładali nad sprawę polską. Kiedy Niemcy i Austriacy chcieli sprawę cynicznie wykorzystać ze stratą dla Polaków, Piłsudski odmówił współpracy i został aresztowany. Cesarско-

-królewscy oficerowie służyli nadal. Legenda Komendanta, prawdziwego polskiego wodza, powodowała, że nie tylko żołnierze Pierwszej Brygady, lecz także legionieści ze wszystkich oddziałów identyfikowali się z nim właśnie.

Warto tu przy okazji wyjaśnić, że Józef Piłsudski nie miał za sobą ani regularnego szkolenia wojskowego, ani drogi awansów. Marszałkiem mianował się właściwie sam 19 marca 1920 r. Natomiast funkcję brygadiera powierzył mu głównodowodzący c.k. armii arcyksiążę Fryderyk w dniach manewru pod Uliną Małą i bitwy pod Krzywopłotami. W rozkazie z 15 listopada 1914 r. napisał: „Komendantowi 1. pułku Legionów Polskich za jego wybitne zasługi w obliczu wroga i biorąc pod uwagę okoliczności, że podlegają mu prócz 1. pułku także dwie baterie artylerii górskiej oraz jeden szwadron kawalerii, nadać się stopień brygadiera Legionu Polskiego z uposażeniem VI grupy”.

W największym skrócie przedstawmy strukturę Legionów, które formalnie powstały w grudniu 1914 r., a które w ciągu roku znacznie się rozrosły:

- Pierwsza Brygada pod dowództwem brygadiera Józefa Piłsudskiego (po jego dymisji od września 1916 r. dowodził płk Marian Januszajtis) składała się z trzech pułków piechoty (1., 5. i 7.) oraz 1. Pułku Ułanów;

- Drugą Brygadą dowodził płk Ferdynand Küttner (Austriak), którego 14 lipca 1916 r. zastąpił płk Józef Haller. Miała w składzie dwa pułki piechoty (2. i 3.);

- Trzecią Brygadą dowodzili kolejno – płk Wiktor Grzesicki, od połowy lipca 1916 r. płk Stanisław Szeptycki, od połowy listopada 1916 r. płk Zygmunt Zieliński, a od schyłku kwietnia do końca lipca 1917 r. płk Bolesław Roja. I ta brygada składała się z dwóch pułków piechoty (4. i 6.).

Pod bezpośrednim dowództwem Komendy Legionów znajdowały się poza tym 2. Pułk Ułanów i 1. Pułk Artylerii.

Natomiast dowódcą Legionów Austriacy mianowali swego gen. Karola Durskiego-Trzaskę, po którym tę funkcję pełnili Józef Haller (dwukrotnie i krótko wiosną 1915 r. oraz w listopadzie 1916 r.), gen. Stanisław Puchalski (kwiecień 1915–listopad 1916 r.), Stanisław Szeptycki (do

kwietnia 1917 r.) i Zygmunt Zieliński (do lutego 1918 r.).

Legiony rozwiązano po kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r. Tych, którzy odmówili złożenia przysięgi oddającej faktycznie los polskich żołnierzy w ręce Niemców, internowano w obozach w Beniaminowie (oficerowie) i Szczypiornie (żołnierze). Pozostali trafili pod komendę austriacką do Polskiego Korpusu Posiłkowego lub zostali wcieleni do c.k. armii. Niektórzy Królewscy wybrali – podległą Radzie Regencyjnej w Warszawie – Polską Siłę Zbrojną, zwaną szydlerczy (jak się okazało, niekoniecznie słusznie) *Polnische Wehrmacht*. Józef Piłsudski wraz ze swym zastępcą i szefem sztabu Pierwszej Brygady płk. Kazimierzem Sosnkowskim został aresztowany i uwięziony przez Niemców w twierdzy w Magdeburgu.

HEJ, STRZELCY WRAZI!

Chłopcy, którzy na początku drugiej dekady XX w. garnęli się do oddziałów strzeleckich w Galicji, z błyszczącymi oczami słuchali opowieści o powstańcach styczniowych. Chętnie śpiewali ich pieśni. Jedną z nich brzmi:

Hej, strzelcy wrazi! Nad nami Orzeł Biały,

A przeciw nam śmiertelny stoi wróg.

Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmia strzały,

Niech lotem kul kieruje Zbawca Bóg.

Wieg gotuj broń i kulę bij głęboko,

O ojców grób bagnetów poostrz stal

Na odgłos trąb twój sztuciec bierz na oko!

Hej, bacność! Cel i w łeb lub w serce pał! [...]

Do Azji precz potomku Czyngis-chana,

Tam ziemia twoja i tam plugawy ród.

Nie jest dla ciebie krwią ziemia nasza złana, Hej! Bacność, cel i w łeb lub serce pał!

„Śmiertelny wróg plugawego rodu” to oczywiście carski zaborca. Wyjątkowo znienawidzony wśród trzech czarnych orłów, nawet w porównaniu z pruskim, choć ten też kojarzył się z bezlitosnym uciskiem narodowym Polaków. Dla naszych strzelców wiodłaka Rosji w ujarzmieniu Rzeczypospolitej – a następnie wytarcia jej z mapy Europy w XVIII w. – oraz w tępieniu polskości i krwawym tłumieniu prób odzyskania wolności w stuleciu następnym – nie podlegała wątpliwości. Szli z nią





Komendant ze swoją ulubioną Kasztanką ze stadniny hr. Eustachego Romera, ofiarowaną Legionom w 1914 r. FOT. MWP

■ walczyć. Zauważmy, że młodzi Polacy spontanicznie wstępowali do oddziałów strzeleckich w monarchii Habsburgów, a podobnego ruchu w imperium Romanów nie było ani śladu. Austro-Węgry po 1867 r. dały bowiem Polakom autonomię i prawdziwe możliwości rozwoju własnej kultury, a Rosja uważała nasze dążenia za wstęp do kolejnego „miateża”.

Do pieśni z powstania styczniowego nawiązuje hymn strzelców z 1914 r.:

**Czy przyjdzie nam zginąć wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam gnić,
Z naszego trudu i znoju
Powstanie Polska, by żyć!**

Przekonanie o najwyższej wartości, jaką jest niepodległa i wolna Polska, dla której – jeśli trzeba – należy ponieść nawet ofiarę życia, brzmi w pieśni Pierwszej Brygady Legionów. Melodię do tego hymnu skomponował zapewne kapelmistrz Kieleckiej Straży Ogniowej, Andrzej Brzuchal-Sikor-ski, w końcu 1914 r. Z kilku wersji słów kolejnych zwrotek przyjęto w okresie

międzywojennym tę, której autorami byli oficerowie legionowi Andrzej Hałaciński i Tadeusz Biernacki w 1917 r. Przypomnijmy jedną z początkowych strof i refren:

**Mówili, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć to móc.
Laliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz Drogi Wódz!
My Pierwsza Brygada, strzelecka gromada,
Na stos, rzuciliśmy, swój życia los na stos,
na stos!**

Przywiązaniem, szacunkiem, wreszcie kultem otaczali żołnierze „Drogiego Wodza”. „Wodzu...”, „Komendancie...” – tak mogli zwracać się do niego do końca życia tylko podkomendni z Legionów. Ów brygadier miał też coś takiego w sobie, co mają tylko wielcy wodzowie. – Czemu tak wrzeszczysz? – zwrócił się do strzelca, któremu granat urwał nogę. – Jak ci urwie głowę, to dopiero krzycz! A żołnierze go kochali.

Jak wspomina Wacław Gluth-Nowowiejski – syn Alojzego, żołnierza

ulubionego przez Piłsudskiego 5. Pułku Legionów, nazwanego przezeń Zuchowatymi – „[...] do żywego dotykała Go niedola żołnierzy. Kiedy w zimne listopadowe dni 1915 roku na pozycjach nad Styrem grupa Zuchowatych umacniała okopy odziana jedynie w nogawki przemysłnie zrobione z rękawów szyneli lub tylko w bieliznę, Komendant kazał chłopców odesłać do szpitala, ostrzegając austriackie dowództwo, że jeśli jego żołnierze nie otrzymają butów i całego ekwipunku, wszystkich niekompletnie umundurowanych odeśle do szpitala”.

Ciepłe uczucia budzi ta młodzież strzelecka. Była wspaniała i piękna jak wcześniej pokolenia napoleońskich szwoleżerów, podchorążych listopadowych, powstańców styczniowych, a później „Szarych Szeregów”. Jaka byłaby bez nich nasza tożsamość?

10 BOJÓW

Na początku wojny społeczeństwo polskie, szczególnie w Kongresówce, istotnie nie widziało sensu ani w kolejnym powstaniu przeciw Rosji, ani nawet w tworzeniu narodowej siły zbrojnej u boku państw centralnych. Koncepcja Piłsudskiego wydawała się mrzonką prowadzącą jedynie do niepotrzebnego upustu polskiej krwi.

Pierwszy rok bojów Pierwszej Brygady pokazał jednak męstwo strzelców w walce i ich wytrzymałość na trudy marszów oraz życia w okopach. I znakomite wyszkolenie. Już wtedy dowództwo austriackie i niemieckie z podziwem uznawało, że na polskich legionistów można liczyć w potrzebie, a ich dowódca nie tylko wytrzymuje porównanie z zawodowymi oficerami

i generałami, lecz także ich przewyższa. Pierwszej Brygadzie nie ustępowała Druga, nie bez przyczyny nazwana Żelazną, i ich samotna z początku ofiara zyskiwała z wolną również powszechną akceptację społeczeństwa. Zwłaszcza że latem 1915 r. Rosjanie wycofali się z Królestwa daleko na wschód, a Niemcy pozwolili na odrodzenie polskiej kultury, nauki, tradycji oraz organizacji życia publicznego.

Na przełomie lat 1915 i 1916 wszystkie trzy brygady Legionów Polskich nareszcie wystąpiły razem, wysłane do boju na Polesie Wołyńskie. Na



Ckm Schwarzlose oraz szable, którą oficerowie dali Komendantowi w drugą rocznicę wymarszu pierwszej kompanii kadrowej FOT. ARCHIWUM

podmokłym, poprzecinanym rzekami i strumieniami terenie walczyły niemal cały rok, odpierając Rosjan dążących do rozgromienia wojsk niemiecko-austriackich w Galicji od północnego wschodu. Polskie boje – w obronie i natarciu – nie były tylko patriotyczną manifestacją ani mało znaczącym epizodem na ogromnym froncie, gdzie starły się potęgi monarchii zaborczych. Trzy brygady liczyły łącznie siedem pułków piechoty, dwa pułki kawalerii i pułk artylerii, czyli niemal 17 tys. żołnierzy na linii. To była największa zwarta formacja polskich wojsk od czasów powstania listopadowego, a więc od 84 lat... Stanowiły pokaźny związek taktyczny; sporą siłę liczącą się w zakrojonych na dużą skalę planach operacyjnych. I tak też była ona wykorzystywana przy odpieraniu wielkiej ofensywy Brusilowa, w zdobywaniu przyczółków nad Styrem i Stochodem, w obronie pozycji pod Kostiuchnówką zarówno w roku 1915, jak i w następnym, gdy legionie stoczyli tam swą największą bitwę.

Trzeba pamiętać, że po pierwszym roku wojny Rosjanie – mimo porażek, a nawet klęsk – nadal nie tracili wiary w zwycięstwo i mieli liczną armię, wytrzymałą oraz bitną, niezdemoralizowaną jeszcze rewolucyjną agitacją. Złośliwy grymas historii – nie pierwszy raz i nie ostatni – sprawił, że w ich szeregach walczyli Polacy będący tak świetnymi żołnierzami jak Władysław Anders, wybijający się już wtedy oficer kawalerii. Legionistów Piłsudskiego bolały nie tylko oznaki niechęci rodaków, rany i utrata poległych towarzyszy broni. Ich los przypominał los legionistów Dąbrowskiego, którzy sto lat wcześniej strzelać musieli do Polaków wcielonych do zaborczych armii. Tym, którzy pochodzili z Królestwa (z Piłsudskim włącznie), w rosyjskiej niewoli groził pluton egzekucyjny. Na szczęście za kilka lat wszyscy, wcześniej bijący się po przeciwnych stronach, stworzą Wojsko Polskie niepodległej ojczyzny. W jej odzyskaniu wiodącą rolę odegrają legionie, którzy wtedy, nad Stochodem i Styrem, przypomnieli światu o polskim orężu.

Co prawda, o oręż trzeba było się ciągle upominać u Austriaków. Dysponowali oni bronią nieustępującą uzbrojeniu najlepszych ówczesnych armii, a przede wszystkim nowoczesnymi pięcioprzęskowymi karabinami Mannlichera wz. 95 kal. 8 mm. Były one lekkie i proste w obsłudze, tyle że czasem się zacięły, jeśli do mecha-



Ułan Stanisław Grzmot-Skotnicki i piechur Stanisław Rejchan. U dołu – karabin Mannlichera FOT. MWP



izmu dostała się ziemia. Bagnety do nich były krótkie, typu nożowego. W manlichery uzbrojona została Pierwsza Kompania Kadrowa, ale kosztem kolejnych oddziałów, dysponujących w większości archaicznymi jednostrzałowymi karabinami Werndla (wz. 1867) z długim jataganowym bagnetem. Dopiero z czasem dostarczano wszystkim oddziałom manlichery; dlatego poza werndlami używano nawet rosyjskich mosinów 7,62 mm, które trzeba było dostosowywać do austriackiego kalibru.

Austriacy mieli także bardzo dobre ciężkie karabiny maszynowe Schwarzlose wz. 1907/12, ale Legionom zaczęto je dostarczać dopiero z początkiem 1915 r. Identycznie rzecz się miała z działami polowymi. Zanim do baterii, a potem pułku mjr. Ottokara Brzeziny-Brzozy dotarły nowoczesne szybkostrzelne armaty wz. 1905 kal. 80 mm oraz armatki górskie wz. 1913 kal. 37 mm, jego artylerzyści musieli strzelać ze starych armat górskich

kal. 70 mm z pociskami na proch dymny. Dobrą bronią krótką były ośmioprzęskowe pistolety Steyr o silnym pocisku 9 mm. Szable piechoty i kawaleryjskie wytwarzano wedle kilku wzorów. Brygadier Piłsudski miał szablę austriackiego oficera piechoty wz. 1861, ale gdy podkomendni ofiarowali mu w sierpniu 1916 r., w drugą rocznicę wymarszu spod Oleandrów, piękną szablę specjalnie wykonaną według tradycji polskiej, już tylko tę nosił.

O wartości bojowej legionistów nie przesądzał więc oręż, ale ochotniczy zaciąg. Oni wiedzieli, za co się biją, chcieli się bić, gotowi byli na rany i śmierć. Taki żołnierz jest w boju niezrównany. Zachwyceni Niemcy chcieli więc stworzyć zeń kanonnenfutter (mięso armatnie) pierwszej jakości dla urzeczywistnienia swoich tylko, a nie polskich, zamierzeń. Oszustwo zawarte w akcie 5 listopada 1916 r. błyskawicznie zidentyfikował i wyciągnął z niego wnioski Piłsudski, który okazał się również mężem stanu z prawdziwego zdarzenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

A oto 10 batalii, które wyznaczają szlak bojowy Legionów Polskich, a które omówimy na następnych stronach:

- 1. Pierwsza kadrowa w Królestwie** – Kielce, Nowy Korczyn – sierpień 1914 r.;
- 2. Legionie nad Wisłą** – Anielin, Laski – 22–26 października 1914 r.;
- 3. Odwrót Piłsudskiego** – Ulina Mała, Krzywopłoty – listopad 1914 r.;
- 4. Druga Brygada w Karpatach** – Rafajłowa, Nadwórna, Mołotków – od października 1914 do marca 1915 r.;
- 5. Pierwsza Brygada na Podhalu** – Łowczówek – 22–25 grudnia 1914 r.;
- 6. Pierwsza Brygada w ofensywie** – Konary, Jastków, Lublin – wiosna/lato 1915 r.;
- 7. 2. Pułk Ułanów** – Rokitna – 13 czerwca 1915 r.;
- 8. Trzy brygady na Wołyniu** – Kamieniucha, Kukle, Bielgow, Kostiuchnówka – od jesieni 1915 do lata 1916 r.;
- 9. Wielka bitwa Legionów** – Kostiuchnówka – 4–7 lipca 1916 r.;
- 10. Obrona do końca** – nad Stochodem, Rudka Miryńska – początek sierpnia 1916 r.



Józef Piłsudski zarządził koncentrację oddziałów strzeleckich w krakowskich Oleandrach w ostatnich dniach lipca 1914 r. Zgodę na wymarsz do zaboru rosyjskiego otrzymał od Austriaków 2 sierpnia...



Maciej Rosalak

**1. PIERWSZA KADROWA
W KRÓLESTWIE,
SIERPIEN 1914 R.**

Kielce

Już nocą z 2 na 3 sierpnia na akcję rozpoznawczą ruszył oddział kawalerii legionowej pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego. „Jazda” ta liczyła... siedmiu (!) ludzi, którzy szli

pieszo, niosąc siodła na karku, bo nie mieli koni. Mieli jednak broń, której użycie spłoszyło ostatnich wycofujących się żołnierzy rosyjskich. A konie podarował im 4 sierpnia ziemianin Bogusław Kleszczycki. Poszli więc pieszo, a wrócili konno. Stali się załążkiem 140-osobowego szwadronu utworzonego już 13 sierpnia, który w 1915 r. stał się 1. Pułkiem Ułanów Legionów Polskich.

Natomiast wczesnym rankiem 6 sierpnia granicę rosyjską przekroczyła Pierwsza Kompania Kadrowa pod dowództwem mjr. Tadeusza Kasprzyckiego i to wydarzenie przeszło do historii jako początek epopei. Zwłaszcza że w granicznych Michałowicach obalono nienawistny słup z carskim orłem. Do tego oddzia-

łu wybrano 144 ochotników i każdemu dano przedmiot marzeń – manlichera wz. 90 albo nawet 95. Strzelcy śpiewali:

*Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy pierwsza kadrowa na wojenkę rusza...*

Wedle świadectw uczestników owego słynnego marszu piosenka powstała dzięki wesołemu nastrojowi, który ich ogarnął, gdy dostali od intendenta bułki z kiełbasą. Słowa układał i między kolejnymi kęsami wyśpiewywał Tadeusz Oster-Ostrowski na melodię znanej wówczas piosenki andrusowskiej. Strzelcy tak się rozochocili, że w piątej zwrotce obiecywali sobie:

*Kiedy pobijemy po drodze Moskali,
Ładne warszawianki będziem całowali.*

To nie desant złożony z samych krakowiaków takie snuł marzenia o wkroczeniu do Warszawy. Większość spośród stu kilkudziesięciu żołnierzy kompanii nie szła w odwiedzin, ale wracała do domu. Miejsca urodzenia w ich biogramach są wiele mówiące: Warszawa, Łódź, Częstochowa, Piotrków, Gostynin, Sandomierz, wioski Mazowsza, Lubelszczyzny, Wołynia... To młodzież, która uciekła z zaboru rosyjskiego do Galicji głównie po to, by uczyć się w ojczystym języku na

boje



Wymarsz pierwszej kadrowej z Oleandrów (z lewej) oraz bitwa pod Laskami, Śmigły-Rydz na czele III Batalionu. Obydwie ilustracje według obrazów Jerzego Kossaka FOT. MWP (2)

uniwersytetach Krakowa i Lwowa, szła wyzwolić rodzinne strony. I odbudować Polskę wraz z Małopolanami.

Mylne jest też dość powszechne przeświadczenie o ziemiańskim i inteligenckim w przeważającej mierze pochodzeniu strzelców. Owe rzekome „paniczyki” w 60 proc. wywodziły się z rodzin robotniczych i rzemieślniczych. Taki był wówczas kwiat narodu, jakby jego reprezentacja w znaczeniu geograficznym i społecznym. Na pewno była to najlepsza nasza młodzież, jak zawsze... I wcześniej, i potem.

Jako anegdotę warto przypomnieć, że dwa dni później aresztowano i wsadzono na 10 dni do więzienia w Nowym Targu niejakiego Włodzimierza Iljicza, który od dwóch lat snuł na Podhalu plany światowej rewolucji...

O wydarzeniach, które kazały Piłsudskiemu porzucić pomysł wzniecenia powstania w Królestwie, zadowolili się najpierw dowództwem 1. Pułku tworzonych oficjalnie na mocy rozkazu z 22 sierpnia Legionów, a potem ich Pierwszej Brygady, pisałem we wstępie. Tutaj dodajmy jeszcze, że kawaleria wroga zmusiła 13 sierpnia strzelców do czasowego wycofania się

nad Nidę, skąd jednak wrócili 22 sierpnia do Kielc i stali tu do 10 września. Ochotnicy napływali, szeregi rosły.

15 września Polakom powierzono obronę odcinka Nowy Korczyn – Opatowiec na lewym brzegu Wisły. Podczas patroli, przy biernej postawie wojsk austriackich, ponieśli pierwsze straty – kilkunastu zabitych.

2. LEGIONIŚCI NAD WISŁĄ, 22–26 PAŹDZIERNIKA 1914 R.

Anielin i Laski

Spod Korczyna cztery bataliony 1. Pułku Legionów (I, III, V i VI) przerzucono na dęblińsko-sandomierski odcinek frontu, gdzie z końcem września rozpoczęła się ofensywa armii państw centralnych na Iwangorod, jak Rosjanie nazwali zbudowaną przez nich twierdzę w Dęblinie. Przed wybuchem wojny rozbudowali oni umocnienia polowe na przedpolach po lewej stronie Wisły i skutecznie odpierali ataki Niemców oraz Austriaków. Dodajmy, że przed znalezieniem się na froncie

9 października pod Opatowem Komendant nadał stopnie oficerskie 134 żołnierzom, a dwa dni później otrzymał od Austriaków zgodę na werbunek żołnierzy wśród ludności Królestwa.

Polskie bataliony trafiły na front pod Anielinem akurat w momencie, gdy rozwinęło się natarcie austriackie wspierane od północy przez dywizję z armii niemieckiej, kierującej się w tym czasie na Warszawę. Nocą z 21 na 22 października kompania z III Batalionu kpt. Edwarda Śmigłego-Rydz odkryła przemieszczanie się znacznych sił wroga. 1. Pułk Legionów otrzymał 22 października rozkaz opanowania wzgórza na wschodnim brzegu rzeczki Zagożdżonki. Gwałtowny ogień artyleryjski spowodował straty i wywołał zamieszanie, a nawet panikę wśród strzelców będących po raz pierwszy pod ostrzałem, co skrytykowała c.k. dowództwo. Komendant opanował sytuację, choć sam został niegroźnie ranny w głowę odłamkiem szrapnela.

Następnie bataliony V i VI przygotowały przeprawy dla 46. Dywizji gen. Brandera i nacierały na Laski u jego boku, a za nimi reszta pułku legionowego. Po tym legioniści mieli posuwać się za 13. Pułkiem Piechoty austriackiej. Opóź-

nienie sąsiedniej 5. Dywizji austriackiej odstąpiło wtedy na rosyjskie uderzenie batalion Śmigłego-Rydza. Mylne oceny sytuacji, niespójne rozkazy oraz absolutne nieliczenie się austriackich dowódców z losem skrzydłowych oddziałów – oto przyczyna fiaska natarcia austriackiego oraz innych niepowodzeń; tego dnia i w następnych.

W rezultacie cała armia austriacka na tym froncie, zamiast zdobyć Iwangozod, musiała się wycofać, a z nią polskie bataliony, które opuściły spalone Laski nocą z 26 na 27 października.

Trzeba jednak odnotować dramatyczny, heroiczny atak I Batalionu kpt. Michała Żymierskiego, który 23 października zdobył Laski. Oto relacja świadka (podaje w oryginalnej pisowni):

„Najpierw ruszyła kompania Grudzińskiego. Za nią posuwały się kompania 4 (W. Dragata) i 1 (S. Biernackiego »Dęba«). 3 kompania K. Bojarskiego »Kuby« została skierowana w las za prawe skrzydło jako odwód. Batalion z poza osłon rozwija się na pole – szybki, zwarty musi być ruch [...]. Linia za linią, plutonami całymi – długimi skokami – prą ku wzgórzom. Na chwilę do ziemi to tu, to tam przypadną i wciąż dalej, mimo strat. A gęsto chłopcy padają. Tu Żymirski siedmiu kulami zwalony, dalej – jego adjutant Różycki podporucznik. Komendę bierze Grudziński porucznik – na chwilę tylko, już w piachu ranny leży; po nim Kuba-Bojarski porucznik, wąsik pogładziwszy, od swej kompanii na czoło batalionu wysuwa się. Impetem swym porywają nasi żołnierze austriackich z 1. Pułku Piechoty i 13. Pułku Piechoty Obrony Krajowej. Prą naprzód. Linia cała za nimi. Wzgórza w naszych rękach. Sąsiedni, z lewej, pułk porwał się jednocześnie. Moskale walki na białą broń nie przyjęli – pierzchli przed bagnetem. Zapada zmrok”.

3. ODWRÓT PIŁSUDSKIEGO, LISTOPAD 1914 R.

Ulina Mała, Krzywopłoty

Ofensywa austriacko-niemiecka na ołtwardz Iwangozod (Dęblin) i Warszawa zakończyła się w końcu października 1914 r. niepowodzeniem. Wojska państw centralnych wycofywały się na zachód,

a wraz z nimi, w bojach, 1. Pułk Piechoty Legionów Polskich. Piłsudskiego zaniepokoił ten marsz – w kierunku na Zagłębie Dąbrowskie zamiast na Kraków – który mógł się zakończyć na obcym terytorium. „Idąc tak trochę dalej, staniemy jutro czy pojutrze w obronie dostępu do Wrocławia czy Złotej Prahy i Wiednia...” – wspominał.

Podjął więc decyzję, by bez zgody austriackiego dowództwa maszerować na Kraków, choć było to z wojskowego punktu widzenia – jak sam przyznał – „nonsensem i szaleństwem”. Ponieważ rozkaz z 9 listopada nakazywał mu rozpoznawać teren okolic Miechowa i Żarnowca, postanowił ruszyć najpierw w tamtą stronę, a dopiero potem przedrzeć się zwięzającym korytarzem między wojskami rosyjskimi a austriackimi ku stolicy Małopolski.

Na pozycjach we wsi Krzywopłoty pozostawił bataliony IV i VI, a sam ruszył z batalionami I, III i V przez odkryty teren, bez karabinów maszynowych i zapasu amunicji. Na dodatek nieco zbłądził, a pod-

szli legionieści nocą z Uliny. Szpica prowadzona przez mjr. Edwarda Śmigłego-Rydza przegoniła we wsi Wiktorów grupę żołnierzy rosyjskich, ale znów nie wywołało to groźnych następstw. Piłsudski zaś ponownie nakazał trzymanie się wyznaczonej marszruty na pozostałych 30 km. Pomógł w tym chłop z Wiktorów, który podjął się roli przewodnika.

Na granicy w Michałowicach (tam gdzie w sierpniu obalili słupy graniczne) legionieści wzięli do niewoli kilkunastu gwardzistów z fińskiego pułku, a resztę rozproszyli. Po przebyciu kilkunastu kilometrów wkroczyli 11 listopada do Krakowa. Szczęśliwe zakończenie tej karkołomnej eskapady niebawem umocniło autorytet Komendanta i zaufanie do niego podkomendnych. Legenda Uliny trwała w Wojsku Polskim jeszcze podczas kampanii wrześniowej 1939 r. Dłatego np. gen. Tadeusz Kutrzeba używał w rozmowach telefonicznych i radiowych z innymi dowódcami hasła „Ulina”, by proponować



czas odpoczynku w Ulinie Małej otrzymał złe wiadomości. Korytarz wiodący do Krakowa przestał istnieć! Przed nim pojawiły się już patrole kozackie, a zarówno z lewego, jak i prawego skrzydła maszerowały kolumny rosyjskie. Odkrycie przez nie legionistów w Ulinie zakończyłoby historię Legionów po pierwszym kwartale od ich narodzin. A jednak – wbrew Sosnkowskiemu i Kasprzyckiemu, którzy radzili udać się w lasy pod Olkuszem i Skalą – Komendant nie zmienił kierunku marszu nawet po wymianie strzałów z dwiema sotniami kozackimi, które legionieści odpędzili spod Uliny, ale – wbrew obawom – nie nadeszły w ich miejsce większe siły wroga.

Z zakazem głośnych rozmów i palenia papierosów, a także rozpraszania szyku,

marsz z unikaniem bitwy. Polacy wiedzieli, o co chodzi; Niemcy, którzy podsłuchiwali rozmowy, nie.

Krwawą walkę stoczyły natomiast pod Krzywopłotami dwa pozostałe bataliony – IV i VI, które trwały na klasztor-nym wzgórzu Święty Krzyż nad doliną Przemszy. 17 listopada nocnym atakiem trzech kompanii z obu batalionów Polacy ruszyli przez podmokły teren na zajęte od dwóch dni Załęże. Wróg odparł ten atak, zabijając i raniąc kilku legionistów. Za dnia 18 listopada ponowiono natarcie na Załęże siłami VI Batalionu. Zdobyto wioskę za cenę bolesnych strat. Ranny został dowódca batalionu mjr Mieczysław Ryś-Trojanowski. Zginął dowódca jednej z kompanii por. Stanisław Paderewski, in-

żynier górnictwa, przyrodni brat Ignacego. Po zajęciu Załęża przez Polaków rosyjskie armaty siały śmierć zwłaszcza wśród kompanii 18-letniego por. Leopolda Lisa-Kuli. I tym razem zawiedli Austriacy, którzy nie udzielili wsparcia legionistom. Zdołali się wycofać tylko dzięki działom 70 mm z baterii kpt. Ottokara Brzozy-Brzeziny, po raz pierwszy wtedy użytym na polu walki. Pozycję wroga zdobył zaś 19 listopada złożony z Polaków pułk Landwehry.

Pod Krzywopłotami – na 440 legionistów, którzy wzięli udział w bitwie – zginęło 49, a rannych zostało 131. Piłsudski nazwał to starcie polskimi Termopilami.

4. DRUGA BRYGADA W KARPATACH, OD PAŹDZIERNIKA 1914 DO MARCA 1915 R.

Rafajłowa, Nadwórna, Młotków

Druga Brygada Legionów, zwana też Karpacką i Żelazną, pozostawała w cieniu Pierwszej. Niesłusznie.

Jej żołnierze, wśród których było wielu Sokołów pozostających poza ruchem strzeleckim, wyróżnili się męstwem już w pierwszych walkach jesienią 1914 r. Jeden z nich wspominał: „Rozmokła ziemia pokryła się grubymi warstwami grząskiego błota. Wieczne deszcze, wieczna szaruga. Mgły, zadymki, ulewę, wcale nie grudniowe. Jary w górach wzbierają, ścieżyny zamieniają się w rwące potoki, z poszycia drzew ścieka wilgoć. A żołnierz nasz w szczerym polu. Tygodniami”. Zimą przyszło zaś toczyć boje z o wiele silniejszym nieprzyjacielem w mroźnym piekle karpackiej zimy. Nie puścili jednak Rosjan przez przełęcz na niziny węgierskie. W grudniu 1914 r. delegacja młodzieży akademickiej z Budapesztu podarowała im ręcznie wyszywany sztandar z Orłem Białym, a kilku studentów wyraziło chęć wstąpienia do Legionów. Trzy miesiące później dowódca c.k. 6. Dywizji Piechoty żałował, że wyłączono „dzielne bataliony Legionów” spod jego komendy w Ga-



Nocny atak II Brygady pod Rafajłową – malował Jerzy Kossak FOT. POLONA



Armata na pozycji ogniowej w Karpatach FOT. POLONA

licji Wschodniej, i wyrażał „najwyższe uznanie dzielnym ich dowódcą”.

Miłym słowem i gestem nie towarzyszyły poczynania cesarsko-królewskiego dowództwa. Austriacy dawali legionistom najgorsze uzbrojenie i wyposażenie, zaopatrywali ich na szarym końcu i w stopniu niewystarczającym, a wymagali od nich największych poświęceń, kierując ich na najbardziej zagrożone odcinki frontu. Przypomnijmy boje Drużej Brygady w Karpatach, ze szczególnym uwzględnieniem tych, które stoczyła w Galicji Wschodniej.

Pod koniec września 1914 r. cofający się na całym froncie wschodnim Austro-Węgrzy musieli pośpiesznie tworzyć obronę w Karpatach – przełęczami dostawały się już na Węgry patrole kozackie. Wysłano tam również formowane dopiero oddziały, które utworzyły Drugą Brygadę Legionów Polskich pod dowództwem gen. Karola Trzaski-Durskiego. Ani on, ani szef sztabu kpt.

Włodzimierz Zagórski nie zaskarbili sobie sympatii podwładnych. 2. Pułkiem Piechoty dowodził ppłk Zygmunt Zieliński, a 3. pp – ppłk Józef Haller. Brygada weszła w skład grupy operacyjnej gen. Karla Pflanzer-Baltina, która w pierwszej połowie października wyparła Kozaków z rejonu Huszt (Ukraina Zakarpacka). Aby następnie móc ruszyć nad Dniestr, Polacy zbudowali w masywie Pantyru pięciokilometrową drogę – wycinając las i układając kamienie oraz okraglaki. Na przełęcz wzniesiono krzyż z inskrypcją legionisty Adama Szajny:

**Młodzieży polska, patrz na ten krzyż!
Legiony polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry, lasy i wały,
Dla Ciebie, Polsko, i dla twej chwały.**

I tak legionieści zeszli w drugiej połowie października do wsi Rafajłowa i Zielona, po nich zdobyli Pniów oraz Nadworną. Aby nie wpuścić Polaków do Stanisławowa, Rosjanie zaatakowali 29 października pod Młotkowem

■ siłami półtorej dywizji piechoty i pułku kawalerii, mając 16 tys. bagnatów i szabel, 32 karabiny maszynowe i 32 działa. Druga Brygada liczyła tylko 7,3 tys. żołnierzy (w tym dwa szwadrony ułanów), bez karabinów maszynowych, z 14 przestarzałymi działkami góorskimi. Wsparty ją zaledwie dwa bataliony Landwehry z baterią artylerii.

Siły te nie utrzymały 10-kilometrowej linii frontu mimo zażartej obrony oddziałów Hallera i Januszajtisa. Szalał kpt. Bolesław Roja; wedle Hallera „dobry żołnierz, bardzo odważny, ale wariat”. Kronikarz Drugiej Brygady zanotował: „Na koniu, z daleka widoczny przerzucał się Roja jak wicher z miejsca na miejsce zawsze w pierwszej linii ognia, wszędzie doglądał i pędził do walki ostrym, bezpardonowym rozkazem. Nie dobierając słów, po żołniersku krzyczał i sam się rzucał w najzaciętszy zamęt bojowy. Dwukrotnie pod nim konia ubito. Dosiadł trzeciego. Zraniony odłamkiem szrapnela... cały czarny od prochu i dymu, buchający krwią, która mu zalewała twarz i rękę, na koniu uganiał”.

Odsiecz Landwehry jednak zawiodła, bo ta zmyliła drogę i poszła w rozsypkę pod rosyjskim ogniem. Dowódca brygady i szef sztabu zbyt późno wydali rozkaz odwrotu. Pierwsza wielka bitwa kosztowała Drugą Brygadę 200 zabitych, 480 rannych, 200 zaginionych, wziętych do niewoli i tych, którzy zdezerterowali, nie wytrzymując psychicznie grozy śmiertelnego boju.

Nastała zima, która w Karpatach dała się we znaki źle wyekwipowanym żołnierzom obu armii. Choroby i odmrożenia eliminowały z walki w mroźnym piekle kilka razy więcej żołnierzy niż nieprzyjacieli. Kiedy mrozy zelały, Rosjanie zdobyli Przemyśl, a następnie zaatakowali na froncie karpackim, wdzierając się znów na Węgry. Drugą Brygadę Legionów podzielono na dwie grupy bojowe. Pierwsza, złożona z pięciu batalionów, dwóch szwadronów i dwóch baterii, dowodzona przez Trzaskę-Durskiego, a wkrótce (ku uldze żołnierzy) przez znacznie bardziej odpowiedzialnego Zielińskiego, była „zatkaj dziurą” rzucaną na najbardziej zagrożone odcinki. Walczyła z powodzeniem na Huculszczyźnie i Węgrzech.

Druga, 1,5-tysięczna grupa Drugiej Brygady, złożona z trzech batalionów wspartych dwoma plutonami kawalerii i paroma działkami, nadal zajmowała pozycje w okolicach Rafajłowej pod

dowództwem Hallera. Broniała dostępu do przełęczy karpackich od strony Nadwórnej wraz z 6. c.k. Dywizją Piechoty. Nocą z 23 na 24 stycznia 1915 r. cztery bataliony rosyjskie z zaskoczenia, atakiem na bagnety, zdobyły most, dwie linie okopów oraz kwaterę sztabu w Rafajłowej. Legioniści byli już jednak zahartowani w bojach i kontratakowali. Czterokrotnie ruszali do natarcia Rosjanie i czterokrotnie musieli uchodzić z pola. Polskie działa wstrzelały się w most i drogę, którą podążały ich posiłki. O świcie wycofali się na pozycje wyjściowe. Bitwa pod Rafajłową okazała się zwycięstwem legionistów. Zanotowali wprawdzie pięciu zabitych, 16 rannych i 66 zaginionych, ale straty przeciwnika były znacznie wyższe: ok. 100 zabitych, 200 rannych i 140 jeńców.



Józef Haller (u góry) i Władysław Roja na portretach Leopolda Gottlieba FOT. MWP (2)

W ciągu najbliższych miesięcy grupa Hallera wraz z 6. Dywizją na przemian atakowała, cofała się, broniła, była przetrzucana na inne odcinki frontu, aby wreszcie (powtórnie) trafić do Kołomyi. Tutaj po wielu walkach trafiła również pierwsza grupa Drugiej Brygady. Jej żołnierz zanotował (pisownia oryginalna): „W 5-ciu batalionach jest wszystkiego 680 ludzi zdolnych do boju. Reszta chorych z gorączką i ranami. Karabinów 10% nie funkcjonuje, karabiny maszynowe zacinają się, armatki bez celowników. Trudno się temu dziwić, gdy się zważy, że od października legiony są w nieustannym boju i to w tak ciężkim terenie jak Karpaty w zimie, bez żadnego uzupełnienia, podczas gdy pułki austriackie niektóre były już 5 razy uzupełnione”. W szeregach całej Drugiej Brygady pozostały 4 tys. żołnierzy – niewiele więcej niż połowa stanu wyjściowego...

5. PIERWSZA BRYGADA NA PODHALU, 22–25 GRUDNIA 1914 R.

Łowczówek

Trwająca z końcem 1914 r. rosyjska ofensywa dotarła do Galicji Zachodniej. 1. Pułk Legionów stoczył walki pod Marcinkowicami i Pisarzową, a 13 grudnia wkroczył do Nowego Sącza. Tydzień później zyskał miano Pierwszej Brygady Legionów i rozpoczęła się reorganizacja polegająca na tym, że bataliony I i III utworzyły 1 Pułk, a bataliony II i IV – 2. Pułk mający jednak oficjalnie numer 5. Szwadron jazdy i dwie baterie uzupełniały stan Pierwszej Brygady, liczącej wtedy ponad 3 tys. bagnatów i szabel. Zanim jednak reorganizację dokończono, oddziały wysłano w trybie nagłym pod Tarnów. Tutaj 22 grudnia weszły do walki i śmiałym natarciem oraz manewrem okrążającym odzyskały utracone wcześniej przez Austriaków pozycje na rozległej górze panującej nad Łowczówkiem i Meszną Szlachecką. Wzięły też 300 żołnierzy rosyjskich do niewoli.

Pod nieobecność Komendanta dowodził szef sztabu ppłk Kazimierz Sosnkowski, który dowiódł wtedy niebywałych zdolności dowódczych. Mając przed sobą znacznie większe siły wroga, w ciągu czterech dni utrzymywał



Arcyksiążę Fryderyk, naczelny wódz c.k. armii, w rozmowie z brygadierem Józefem Piłsudskim. FOT. MWP

pozycje, wytrzymując 16 szturmów rosyjskich i kontratakując swym wojskiem sześciokrotnie na bagnety. Widząc jego poczynania, wyżsi rangą i stanowiskiem dowódcy austriaccy... wykonywali polecenia Polaka.

W Wigilię Bożego Narodzenia po huraganowym ostrzale artyleryjskim Rosjanie ponowili atak. Pod Łowczówkiem – tak jak w licznych innych przypadkach podczas legionowej epopei – bałagan panujący w austriackich sztabach spowodował okrążenie znacznej części legionistów. Zdołali się z niego wyrwać, ale wielu poległo i zostało rannych. Tych ostatnich Rosjanie wzięli do niewoli. W nocy narodzenia Pańskiego – z 24 na 25 grudnia – zacięte walki trwały wśród gór i zimna, a przeciwników dzieliły od siebie niekiedy tylko metry. Czasem krzyczeli do siebie... po polsku... Ogromna przewaga wojsk zepchnęła nad ranem 25 grudnia legionistów z zajmowanych pozycji. O godz. 13 zarządzone odwrót. Bitwa pod Łowczówkiem kosztowała życie 128 żołnierzy Legionów Polskich (w tym 10 oficerów) oraz rany 342 (38 z nich było oficerami). Straty przeciwników wyniosły aż 4 tys. zabitych, rannych i jeńców.

Talent wojskowy, przejawiający się w nadzwyczaj trafnej ocenie sytuacji, męstwie, spokoju i szybkich decyzjach, jaki okazał wtedy i wiele, wiele jeszcze razy Kazimierz Sosnkowski, pozwala wyrazić żal, że nie

został on właściwie wykorzystany ćwierć wieku później...

6. PIERWSZA BRYGADA W OFENSYWIE, WIOSNA/LATO 1915 R.

Konary, Jastków, Lublin

Od drugiej połowy stycznia 1915 r. do końca lutego Pierwsza Brygada odpoczywała, uzupełniała stany osobowe i uzbrojenie, a potem aż do 10 maja toczyła walki pozycyjne nad Nidą. Wielka ofensywa Austro-Węgier i Niemiec, po wygranej w pierwszych dniach maja wielkiej bitwie pod Gorlicami, porwała wtedy ze sobą również Pierwszą Brygadę. Jej droga na wschód

nie przypominała jednak spaceru, gdyż Rosjanie stawiali wszędzie zacięty opór. Już po pięciu dniach zatrzymali legionistów pod Konarami. Cały miesiąc trzymali ich znów w okopach, a ataki w niesprzyjającym terenie powodowały znaczne straty. Prawie 700 zabitych i rannych żołnierzy Pierwszej Brygady padło pod Konarami.

Dopiero w drugiej połowie czerwca, gdy siły państw centralnych z powodzeniem wykorzystały gorlicką wiktoryę i wkroczyły do Galicji Wschodniej (22 czerwca zajęły Lwów), front ruszył także nad środkowym biegiem Wisły. Na przełomie czerwca i lipca cofający się Rosjanie usiłowali bronić przepraw na Wiśle w Tarłowie, ale ulegli Pierwszej Brygadzie. Przepawiła się ona 4 lipca pod Józefowem i szła na wschód przez Lubelszczyznę. Pod Urzędowem spotkała 19 lipca 4. Pułk Piechoty. Z dowódcą – ppłk. Bolesławem Roją i liczną kadra także z Drugiej Brygady – pułk ten stanowił załazek właśnie formowanej Trzeciej Brygady Legionów.

31 lipca połączone pułki legionowe zajęły pozycje blisko Lublina – pod Jastkowem – i już wieczorem Polacy zaatakowali linie rosyjskie. Ów „chrzest bojowy” 4. pp się nie udał, bo jego zapalczywy dowódca zbyt szybko chciał osiągnąć sukces, goniąc do boju nieostrzelanych żołnierzy. Roja – z jego „duchem zaczepnym” i kompletnym nieliczeniem się z życiem i ze zdrowiem powierzonych mu żołnierzy – okazywał się niestety nazbyt często zmorą podwładnych. To tylko można mu zapisać na plus, że siebie również nie oszczędzał... Atak czwartaków oczywiście się załamał, podobnie jak szturm wieczorny dnia następnego. 3 sierpnia Rosjanie wprawdzie rozpoczęli odwrót, ale był on spowodowany sukcesami Niemców na Mazowszu. 5 sierpnia zajęli oni Warszawę.

Natomiast legioniści w parodniowej bitwie przełamali rosyjski opór na przygotowanych pozycjach w rejonie Kamionki. Teraz już marsz przez Lubelszczyznę przebiegał bez większych oporów. Skończył się on pod Wysokim Litewskim – w powiecie brzeskim, na południowo-zachodnim cyplu Polesia. A do Lublina wjechał 30 lipca 1. Pułk Ułanów z jego dowódcą rtm. Władysławem Beliną-Prażmowskim na czele, ■



Legionowi ułani na zwładzie. FOT. MWP

■ specjalnie wysłany przez Piłsudskiego na przekór Austriakom, którzy nie chcieli tu polskich legionistów. Radość i nadzieja z powodu wjazdu ułanów do miasta znalazły wyraz w ułańskiej piosence:

**A jakaż to radość, kiedy do Lublina
Na karkach Moskali wjechał pan Belina!
Mówili w Krakowie, w Lublinie i wszędzie:
Jeszcze nie zginęła, jeszcze jest i będzie...**

Na świętowanie nie było jednak czasu. Z Wysokiego wysłano Legiony dalej na wschód, aby wypełniły lukę, jaka powstała we froncie na Wołyniu.

7. SZARŻA 2. PUŁKU UŁANÓW, 13 CZERWCA 1915 R.

Rokitna

Od początku czerwca 1915 r. Druga Brygada Legionów walczyła u podnóża Karpat Wschodnich – nad rzeczką Rokitnianką, opodal wsi Rokitna – atakując w składzie austro-węgierskiego XI Korpusu dwie dywizje rosyjskie. Brygada, której dowódcą był wówczas austriacki płk Ferdynand Küttner, składała się z dwóch pułków piechoty (2. i 3.) oraz dwóch szwadronów ułanów (2. i 3.), zorganizowanych dopiero co w II Dywizjon Kawalerii legionowej. Ofensywa prowadzona znad Prutu w kierunku Chocimia ugrzęzła, a kontratak rosyjski poważnie zagroził sąsiadowi brygady – 42. Dywizji Landwehry. Nasi żołnierze zalegli ok. godz. 10 w dolinie rzeczki pod silnym ogniem. Było ich zaledwie kilkuset, gdyż od zimowych krwawych walk w Karpatach brygada nie odzyskała stanu wyjściowego.

I oto ze sztabu Drugiej Brygady nadchodzi rozkaz: „Drugi i trzeci szwadron ułanów zaatakujcie pozycje nieprzyjaciela, przeszedłszy przez potok Rokitna, uderzając z flanki. Gdy ułani ukążą się na polach, ma piechota wyjść z rowów i z bagnietem na broń współdziałać biegiem z kawalerią”. Rozkaz ten albo w ogóle nie dotarł do piechoty, albo dotarł ze zbyt późnym opóźnieniem...

O szykującej się szarży dowiedział się natomiast 33-letni rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz, dowódca dywizjonu. Chory, z gorączką, uciekł z łóżka i przybył ok. południa do oddziału. Był to praprawnuk szwależera Mikołaja Dunin-Wąsowicza, uczestnika szarży pod Somosierrą. On sam był porucznikiem c.k. kawalerii, który

Szarża pod Rokitną – malował
Wojciech Kossak FOT. MWP



Rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz FOT. ARCHIWUM

wystąpił z niej w 1912 r., by związać się z ruchem strzeleckim, a następnie tworzyć zręby jazdy legionowej.

37-letni por. Jerzy Topór-Kisielnicki za męstwo okazane 26 października 1914 r. w bitwie pod Cucyłowem otrzymał awans na podporucznika i objął komendę nad 2. Szwadronem. O obydwu mówi „Pieśń Szwadronu Wąsowicza”:

**Nasz Wąsowicz, chłop morowy,
Zbił Moskali w Cucyłowej.
Odnaczył się szwadron drugi,
Wrzwał krwi on przelał strugi.**

Kiedy uśmiechnięty rotmistrz dotarł do podkomendnych, zawołał: „Nie szarżowaliście jeszcze, a bałem się, że się spóźnię; toteż, choć jeszcze zdrów zupełnie nie jestem, wróciłem, bom się zanadto za wami

stęsknił”. Po powrocie ze sztabu milczał. Do szarży wyznaczył tylko – włącznie z sobą samym – 63 ludzi z 2. Szwadronu. Zakrzyknął: „Na koni!”, a po dotarciu do Rokitnianki: „Dla polskiej kawalerii nie ma przeszkody!” i pierwszy wskoczył do rzeczki, a za nim ułani. Potem ruszyli ku odległym o 3 km liniom potrójnych rosyjskich okopów.

Szarża rozwijała się powoli, z rzadka też na początku świsnęły rosyjskie kule. Kiedy ułani zbliżyli się do transzei, z kłusa przeszli w galop, a następnie w cwał, z rotmistrzem na czele. Gnał on na świetnej klaczy Chochli, a za nim tyralierą, z odstępami na trzy kroki, pędził szwadron w tak równej linii, jaka nie zdarza się nawet na maneżu. Ogień zgęstniał i gdy dojechali do okopów, padli już pierwsi jeźdźcy i konie. Wierchowiec brata rotmistrza – wachmistrza Bolesława – wpadł do wykopu, ale jeździec ocalał. Pierwsza linia była słabo obsadzona, ale przed drugą straty gwałtownie wzrosły. Kula zwała Emila Garbaczewskiego na ziemię. Jego koń przerwał bieg, zawrócił, stanął nad rannym panem i pochylił łeb...

Dunin-Wąsowicz dostrzegł przerwę w transzei, poprowadził tam kawalkadę, a do rosyjskich żołnierzy krzyknął: „Zdawajcieś!”. Rzucili karabiny i wzniesli ręce do góry. Okop zdobyto, ale rosyjskie karabiny maszynowe z sąsiednich stanowisk strzelały jeszcze gęściej i celniej. Padały pociski artyleryjskie – rosyjskie i... austriackie. Nagle ułani ujrzeni pod szczytem wzgórza szczególnie umocniony i silnie obsadzony, płujący ogniem wykop. Wtedy padła klacz dowódcy Chochla. Rotmistrz Dunin-Wąsowicz poderwał się i strzelał z pistoletu. Śmiertelnie trafiony, jeszcze ręką dawał podkomendnym znak, by pędzili dalej.

Dziewięciu ułanów wskoczyło w środek rosyjskich stanowisk, tnąc szablami nieprzyjaciół. Ci kłuli bagnietami i strzelali. Naszymi dowodził wkrótce ostatni zdolny do walki oficer – por. Topór-Kisielnicki. Kiedy złamał szablę i stracił konia, wyciągnął pistolet i krzycząc: „Zdajcie!”, kontynuował walkę z pomocą kilku ułanów. Zadziwiające, ale żołdaci rzucili karabiny i dopiero groźba rewolweru ich oficera dodała im odwagi. Za kłuli porucznika bagnietami. Pięciu ułanów zabił wybuch pocisku armatniego. Tak było na trzeciej linii okopów wroga.

Kilku pozostałych jeszcze w siódłach ułanów dojechało do rosyjskich dział. Szeroki okop uniemożliwił im szarżę. Kiedy w huku wystrzałów jechali wzdłuż stanowisk, słyszeli okrzyki: „Wot gieroje, mołodcy!”. Ostatni z pola walki wrócił ranny wachmistrz Sokołowski, na którego widok Küttner odkrył głowę i zawołał: „Cześć bohaterom!”. Kapitan Vagasz stwierdził, że tak brawurowej szarży austriacka kawaleria nie знаła do tej pory.

W drugiej zwrotce pieśni Feliksa Konarskiego „Czerwone maki pod Monte Cassino” słyszymy:

**Runęli przez ogień straceńcy!
Niejeden z nich dostał i padł...
Jak ci z Somosierry szaleńcy,
Jak ci spod Rokitny sprzed lat.**

107 lat dzieli szarżę pod Somosierrą i pod Rokitną. W tym czasie ataki konne traciły rację bytu. A jednak obie szarże są pod pewnym względem podobne:

- w obu przypadkach Polacy – zachowując znaki narodowe – służyli pod obcą komendą, mając tylko nadzieję, że ich męstwo i ofiara przywrócić wolną ojczyznę;
- w pierwszej szarży brało udział blisko 200 kawalerzystów, w drugiej – ponad 60;
- czas trwania szarży był zbliżony (10 i 13 minut);
- i jedni, i drudzy wywołali panikę wśród obrońców;

– szwoleżerowie osiągnęli w 1808 r. wyznaczony cel – dotarli do ostatniej, czwartej baterii w wózce i otworzyli drogę postępującym za nimi wojskom Napoleona;

– ułani w 1915 r. wpadli wprawdzie do trzeciej linii okopów wroga, ale ich męstwo okazało się daremne, gdyż piechota nie poszła ich śladem;

– straty polskie okazały się pozornie zbliżone: 24 zabitych i 55 rannych oraz 18 zabitych, 27 rannych, sześciu wziętych do niewoli i dwóch zaginionych. W 1808 r. trzy piąte szwoleżerów pozostało jednak gotowych do dalszej walki, w 1915 – zaledwie kilku ułanów... jeden na 16!

Szarża w 1808 r. okazała się jednak jak najbardziej wykonalna, zadecydowała o zwycięstwie w całej batalii i otworzyła drogę do Madrytu. W 1915 r. za naszą jazdą – przed którą postawiono zadanie po prostu niewykonalne – nie poszła piechota i nie przełamała linii obrony przeciwnika. Dopiero nocą sam się wycofał. Cóż, pod Somosierrą dowodził Napoleon, a pod Rokitną c.k. sztabowiec...

8. TRZY BRYGADY NA WOŁYNIU, OD JESIENI 1915 DO LATA 1916 R.

Kukle, Polska Góra

Dowódcy wojsk państw centralnych dość niefrasobliwie organizowali front na Wołyniu. Po zajęciu Kowla (przez Polaków) sądzili, że północna flanką ich armii jest dostatecznie chroniona samymi błotami poleskimi. Rosjanie szybko wyprowadzili ich z błędu – stąd pospieszne łatanie przez nich frontu oraz ściąganie nań polskich Legionów. Przed końcem 1915 r. skoncentrowały się tu wszystkie trzy brygady. Kampania wołyńska była najdłuższą i najkrwawszą w ich historii. Składała się z niezliczonych większych starć, mniejszych potyczek, patroli, umacniania pozycji oraz przegrupowań. Od zajęcia Kowla do października 1915 r. ostro, ale osobno wojowały np. dwie grupy legionowe – Śmigłego-Rydza i Piłsudskiego – między które rozdzielono pułki Pierwszej i Trzeciej Brygady. Możemy skupić się tylko na paru największych bitwach – przed początkiem lata 1916 r.

Oto np. już w drugiej dekadzie października korpus gen. Aleksieja Brusilowa (który latem 1916 r. rozwinie swą słynną wielką ofensywę) przełamał pozycje państw centralnych na Styrze i zajął Kukle oraz Jabłonkę. 20 października grupa Piłsudskiego powstrzymała natarcie Rosjan pod Koszyszczami, a do kontruderzenia rzucono pozostającą w odwodzie grupę Śmigłego-Rydza. Następnego dnia legionie ruszyli do natarcia I Batalionem 1. pp, a dzięki oskrzydleniu wroga przez 6. pp zdobyto jego okopy i wzięto do niewoli ponad 200 jeńców. 22 października, nacierając nadal w kierunku Styru, po całodziennych zaciętych walkach Polacy zdobyli

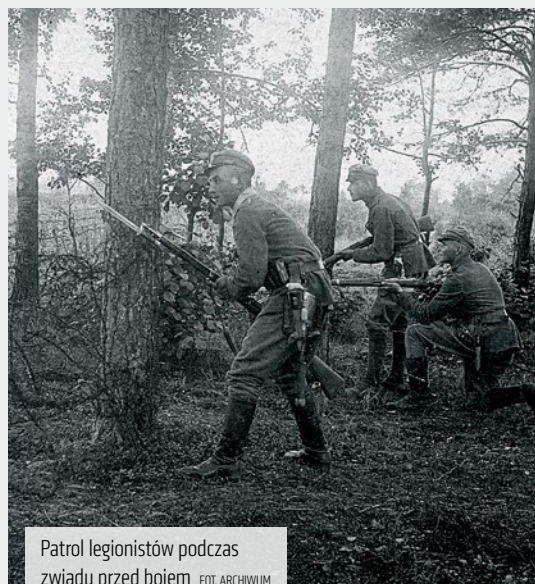
Kukle (boje w ich rejonie toczyły się jednak do 30 października). 29 października, po krwawych atakach, w których 6. pp stracił 10 proc. żołnierzy, wyparli Rosjan z sąsiedniej Kamieniuchy.

Z końcem października na Wołyniu przybyły z Bukowiny oddziały Drugiej Brygady oraz... zima z mrozem i ze śniegiem.

Większość żołnierzy nie miała ciepłych płaszczy ani całych butów.

2 listopada 2. pp zdobyli Bielgow i utrzymywał tę miejscowość – mimo rosnących strat – do 7 listopada. Rosjanie rozbili wtedy sąsiadujący z Polakami pułk Landwehry, który właściwie się im poddał bez walki, i okrążyli naszych. Część legionistów mimo zaskoczenia przedarła się do stojących na drugim skrzydle Niemców i dowodzona przez płk. Januszajtisa przeprowadziła udane kontrnatarcie.

Przeciwnik nadal jednak władał położonym na południe od Kostiuchnówki, panującym nad okolicą Wzgórzem Cegielnianym.



Patrol legionistów podczas zwiadu przed bojem. FOT. ARCHIWUM

Pozycja była licznie obsadzona, dobrze okopana i nasycona bronią maszynową. Komenda Legionów z często zapijaczonym gen. Trzaską-Durskim na czele wydała jednak 4 listopada kategoryczny rozkaz zdobycia wzniesienia, a następnie – mimo alarmujących meldunków zwiadu – podtrzymała go. Przeprowadzenie natarcia powierzono kpt. Zygmuntowi Czechnie-Tarkowskiemu, któremu oddano pod komendę dwie kompanie z 3 pp, oddział karabinów maszynowych oraz część I Batalionu 2. pp.

O świcie 5 listopada straceńcy tyralierą ruszyli ku zboczowi. Rosjanie otworzyli zmasowany ogień dopiero wtedy, gdy

Polacy znaleźli się w najbliższej odległości, gwarantującej celny strzał. Kanonada okazała się egzekucją. Poległo ponad 60 żołnierzy, a po zmierzchu ściągnięto stu kilkudziesięciu rannych, z których wielu zmarło wkrótce w polowych szpitalach. Straty w zabitych i rannych wyniosły prawie 50 proc. biorących udział w ataku. Zginął bohaterski dowódca Czechna-Tarkowski. Kolejny atak ruszył po przybyciu posiłków niemieckich oraz austriackich i wzgórze zajęto praktycznie bez walki 10 listopada po huraganowej nawaie artyleryjskiej z blisko 100 dział. Niemcy docenili męstwo Polaków, którzy zginęli podczas pierwszego natarcia, nazywając zroszone ich krwią wzgórze Polen Berg (Polska Góra).

Od połowy listopada, gdy walki przybrały charakter pozycyjny, uporządkowano i uzupełniono oddziały wszystkich trzech brygad, kierowano je rotacyjnie na odpoczynek, no i zbudowano słynne Legionowo – bardzo porządną osadę żołnierską. Kwitło życie kulturalne i sportowe – to wtedy narodziła się piłkarska drużyna Legii. Potyczki i wymiany ognia oczywiście trwały. Ryzyko nosiły wtedy zwłaszcza patrole na ziemi nocy, gdy żołnierze po kilka godzin leżeli na lodzie, by „złapać języka”. W takich okolicznościach 13 marca 1916 r. poległ wachmistrz Tadeusz Oster-Ostrowski, twórca słynnej „Kadrówki”. Osaczony, ostrzeliwał się do ostatniej kuli, którą zostawił dla siebie.

9. WIELKA BITWA LEGIONÓW, 4–7 LIPCA 1916 R.

Kostiuchnówka

Z początkiem czerwca 1916 r. rozpoczęła się ofensywa Brusilowa, która miała odwrócić losy wojny na froncie wschodnim. Rosjanom po raz ostatni udało się zgromadzić tak wielką liczbę ludzi i sprzętu oraz wykrzesać autentyczny zapal w przegrywającej na ogół dotąd, źle zaopatrzonej armii. Rosjanie odbili Łuck, przekroczyli Styr i ruszyli nad Stochód, grożąc rozerwaniem frontu. Znajdując się na ich drodze Legiony – zwłaszcza Druga Brygada, źle dowodzona przez płk. Küttnera i wystawiana na groźne uderzenia przez tchórzliwych Austriaków z sąsiednich oddziałów – poniosły wtedy bolesne straty. Główne uderzenie Brusilo-



Piłsudski w okopach pod Kostiuchnówką
– malował Stefan Gerwatowski FOT. MWP

wa spadło jednak na pułki legionowe pod Kostiuchnówką 4 lipca.

Rosjanie chcieli zlikwidować wybrzuszenie frontu w zakolu Styru, obsadzone właśnie przez Polaków, a dysponowali przewagą w stosunku czterech do jednego. Wszystkie trzy brygady Legionów Polskich działały w ramach korpusu austro-węgierskiego pod dowództwem gen. Leopolda Hauera. 10-kilometrowy front obsadzały oddziały Pierwszej Brygady pod dowództwem Piłsudskiego i Trzeciej Brygady dowodzonej przez gen. Grzesickiego, wspierane przez oba pułki kawalerii oraz pułk artylerii legionowej (26 dział). Legionista Tadeusz Pannenko pisał: „W przedłużeniu Polskiej Góry, na wschodnim stoku pagórka, leżą okopy 5. pułku [...] Dalej w przedłużeniu na południe ciągną się pozycje Polskiej Góry obsadzonej przez honwedów. Od rygła przechodzi przekop łączący się z drugą naszą linią obronną, leżącą o 200 kroków w tyle, na niej budują betonowe granatniki i szrapnelniki – schrony przed ogniem artyleryjskim”.

Skrwawiona Druga Brygada znajdowała się w odwodzie. Z Polakami sąsiadowały oddziały węgierskie: z prawej strony stała 53. Dywizja honwedów, z lewej zaś 11. Dywizja Kawalerii. Powiedzmy od razu, że sąsiednie oddziały nie wytrzymały ataku rosyjskiego; tym razem uciekli również bitni zazwyczaj honwedzi (węgierska Landwehra).

Nawała rosyjskiej artylerii godna była wielkiej skali ofensywy. Strzelały nawet armaty kal. 150 i 200 mm. Marian Kukiel – wówczas dowódca VI batalionu – wspominał: „W gruzy szły szanice, belkamy zdruzgotanymi przywalając tam ludzi, druty przed prawym skrzydłem częściowo zniknęły, jedno stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego było rozbite, karabin uszkodzony, luneta pogrzebana, połączenia

drutowe [telefoniczne] wszystkie zerwane, ziemianki waliły się jak domki z kart. Przechodząc wzdłuż pozycji, widziałem moich ludzi pokaleczonych, wytarzanych w ziemi i bagnie... Rannych i zabitych przybywało mniej co prawda, aniżeli można było obawiać się, sądząc z natężenia ognia. Duch był dobry. Troską jedyną był brak połączeń w tył. Z największym poświęceniem naprawiali je telefoniści. Artyleria straciła wszelką łączność z nami. O położeniu sąsiadów nie wiedzano nic poza tym, że są również bombardowani”.

Na odcinku I Batalionu 5. pp ostrzał był jeszcze intensywniejszy – spadło tu ok. 1 tys. pocisków! – ale rannych zostało tylko 10 ludzi, a nikogo nie zabito. Z kolei obsadę wysuniętej placówki, reduuty Piłsudskiego, wybito do nogi... Kiedy jednak Rosjanie ją zajęli, spędziło ich z tej pozycji polskie kontruderzenie. Przed południem również na lewe skrzydło, obsadzone przez Trzecią Brygadę, ruszyło pierwsze natarcie rosyjskie.

Główne natarcie kilku rosyjskich dywizji (jeńcy mówili nawet o sześciu) ruszyło o godz. 18, ale zostało na pewien czas wstrzymane ogniem polskich dział i karabinów maszynowych. Jednak Rosjanie zajęli opuszczone stanowiska honwedów i stworzyli śmiertelne zagrożenie dla prawego skrzydła. Kontratakowało kilkunastu Polaków wspartych przez grupę zawstydzonych Węgrów, a następnie odwodowy batalion 5. pp pod dowództwem kpt. Stanisława Sław-Zwierzyńskiego. Wspominał Wacław Socha-Lipiński: „Kontratak ocalał kompanie od zupełnej klęski i uratował karabiny maszynowe. Jednak i ten atak wobec nierównomiernych sił wroga utonął niebawem we wzmożonych falach moskiewskiej piechoty, wylewającej się od strony Polskiej Góry”. Niemal połowa żołnierzy I Batalionu Zuchowatych wtedy

poległa, ale reszta zdołała wyrwać się z okrążenia. Bohaterski dowódca zginął. Pośmiertnie został awansowany do stopnia majora i odznaczony Orderem Virtuti Militari.

5. Pułk Piechoty, a następnie pozostałe oddziały Pierwszej Brygady wycofały się na drugą linię obrony.

Kukiel pisał o sytuacji z godz. 19: „Na reducie kostiuchnowskiej Rosjanie. Poprzez bagna potoku, dzielącego nasze odcinki batalionowe, przybywają żołnierze 5. Pułku Piechoty, donosząc, że batalion otoczony. Przybywa podoficer austriacki, błagając o odbicie jego armat, które tam na górze zostały. Podpułkownik Sosnkowski śpiesznie udaje się wśród wybuchów ciężkich pocisków w stronę dowództwa 7. Pułku Piechoty. Rzuca parę słów zachęty i otuchy. Walka zbliża się ku nam, przenosi się na tyły nasze, w obszar leżącego za prawym skrzydłem baonu – Łasku Polskiego. To przebił się batalion Sława, zdziesiątkowany, dowódca już nie żył. Ale myśmy widzieli tylko bure masy piechoty rosyjskiej, wychodzące przez potok od Góry Kostiuchnowki nam na plecy. Do kontrataku ruszył natychmiast porucznik Rzecki z dwoma plutonami. To nie wystarczyło. Odwołałem oddział Lisa [Leopolda Lisa-Kuli] z Łasku. Wycofał się również na mnie pluton Endla. Lis miał już całą kompanię i rzucił się z nią ku Górze Kostiuchnowki. Z wysokiego przedpiersia ryglowego szanca wspierał natarcie ogień ckm kierowany przez sierżanta Sabatowskiego. Batalion walczył teraz z frontem odwróconym, słabe placówki strzegły pozycji od frontu. Lis, rozplamieniony w ogniu, był w swoim żywiole, porywał wszystkich, działał jak grom szybko. Po pół godzinie – było może pół do ósmej – nasza flanką i tyły były wolne. Przeciwnik zdziesiątkowany cofał się na Kostiuchnowkę. W kontrataku tym poległ bohater-ski podporucznik Wyrwański”.

Rosjanie przedarli się wówczas również przez zasieki drugiej linii obrony na odcinku obsadzonym przez I Batalion. I tu odrzucił ich polski kontratak, co zadecydowało o utrzymaniu drugiej linii.

Jeszcze przed świtem następnego dnia II Batalion niezrównanego pułku Zuchowatych ruszył, aby odbić Polską Górę. Daremnie. Wacław Socha-Lipiński wspominał: „Wróciła garstka. Przyjął ich tam na górze tłum moskiewski, garstkę

2. kompanii tysiące otoczyło bagnietów. Został na miejscu ciężko ranny porucznik Tunguz-Zawiślak, zginął porucznik Konięczyński, podporucznik Charzewski, podporucznik Chmura, podporucznik Sowa-Zaliwski”. Cały dzień 5 lipca Rosjanie bombardowali polskie stanowiska, z dotkliwszym dla nas skutkiem, bo były gorzej przygotowane niż pierwsza linia obrony. Wieczorem zaatakowali. Skrzydłowe oddziały austriackie – jakżeby inaczej – znów uciekły ze stanowisk i trzeba było się cofać, by uniknąć okrążenia. Podobnie było następnego dnia, gdy potęgi rosyjskiego uderzenia nie wytrzymały nie tylko wojska austriackie, lecz także niemieckie.

Legiony wycofywały się w porządku i gotowe do walki. Przekonali się o tym 6 lipca jeźdźcy z rosyjskiej 16. Dywizji Kawalerii, których szarżę odparto z opłakanym dla nich skutkiem. Kukiel napisał:



Stanowisko ckm. Obsługa w maskach gazowych FOT. NAC

„Cwałowały jeden za drugim rosyjskie szwadrony w rozwiniętym szyku, lśniące szablami i lancami wśród gęsto pękających szrapneli artylerii naszej... była to straszna klęska jazdy źle użytej, chociaż bohater-skiej”. Nasz odwrót z 6 na 7 lipca znaczący dramatyczne momenty. Pod Maniewiczami zginął mjr Tadeusz Wyrwa-Furgalski, dowódca II Batalionu 5. pp. „Cofał się pułk ponuro...” – napisał Lipiński.

Pod Kostiuchnowką poległo, zostało ranionych lub zaginęło ok. 2 tys. legionistów, ale ich ofiara nie była daremna. Generał Erich Ludendorff – wówczas szef sztabu 8. Armii Niemieckiej, wstawionej w walkach z Rosjanami – pisał 17 lipca do sekretarza stanu w MSZ: „Nadal świństwo u Austriaków... Wzrok mój znów się zwraca na Polskę. Polak to dobry żołnierz. Gdy Austria zawodzi, my musimy postarać

się o nowe siły... Trzeba zrobić Wielkie Księstwo Polskie z Warszawą i Lublinem, a następnie armię polską pod niemieckim dowództwem”. Stąd wiodła prosta droga do aktu 5 listopada, rezonansu wśród aliantów i otwarcia przed Józefem Piłsudskim nowych horyzontów politycznych...

10. OSTATNIE STARCIE, POCZĄTEK SIERPNIA 1916 R.

Rudka Miryńska

Ofensywa Brusilowa stopniowo traciła impet, ale jeszcze w sierpniu 1916 r. Rosjanie stwarzali spore kłopoty siłom państw centralnych. Już 16 lipca – po niespełna tygodniowym odpoczynku w Czeremosznie – Pierwszą i Trzecią Brygadą obsadzono pierwszą linię frontu między Sitowiczami a Jezior-nym, a Druga Brygada została w rezerwie korpusu Hauera. Niedługo. Gdy Rosjanie przerwali front korpusu na południe od pozycji legionowych, w rejon ten wysłano zarówno Drugą Brygadę, jak i ułanów. Pod ich osłoną Austriakom udało się wycofać na drugą linię obrony. Cofnięcie się frontu spowodowało przesunięcie Pierwszej i Trzeciej Brygady dalej na południe – w okolice Podryża i Sitowicz. Druga Brygada została zaś skierowana w rejon Pisocznej i Rudki Miryńskiej.

3 sierpnia 1916 r. kolejny potężny atak Rosjan znów przełamał pozycje austriackiego korpusu. Rosjanie zajęli wówczas Rudkę Miryńską i wyszli na tyły oddziałów legionowych. O wyniku bitwy zadecydowało kontrnatarcie kawalerii legionowej oraz piechoty Drugiej i Trzeciej Brygady. Ostrzelany, zaprawiony w bojach oraz mocno motywowany żołnierz legionowy górował nad żołdatami. W zaciętych walkach odzyskał linie obronne utracone przez Austriaków i zepchnął wroga na jego pozycje wyjściowe.

To ostatnie starcie Legionów udaremniło rosyjskie próby sforsowania Stochodu i ustabilizowało sytuację na froncie. Trzy brygady pozostawały na nim do początku października 1916 r., gdy Legiony zostały ostatecznie wycofane, a w następnym roku – rozwiązane.



Żołnierze idą do okopów
– litografia Leopolda Gottlieba,
żołnierza Legionów, znakomitego
polskiego malarza pochodzenia
żydowskiego FOT. ARCHIWUM

*„Stroh, erdgeborenes Stroh – Köstliche, teure Frucht der Heimat“ Ziel. Rodan Bandrowski.
Regentowni Złazewskiemu pios.*

„Śladami Berka Joselewicza kroczcie!”

Żydowscy żołnierze Legionów



Marek Gałęzowski

Mansperl miał osobisty interes w walce za Polskę: przelewając za Nią krew, pragnął sobie zdobyć do Niej prawo, którego by mu nikt odmówić nie śmiał...

XVI

Młodzież żydowska pod zaborem rosyjskim, która uniknęła szczęśliwie poboru, powinna stanąć pod sztandary Legionów Polskich. Pamiętajcie, że Polska należeć będzie do tych, którzy o nią walczyć będą. Kto kocha wolność i chce być wolnym obywatelem, kto nie chce być niewolnikiem caratu, kto nie chce gnić, wegetować pod jarzmem moskiewskim, kto chce żyć i rozwijać się w słońcu wolności, niech idzie z nami... Młodzieży żydowska! Okażcie, że codzienna troska o byt nie

przytłumiła w duszach waszych dążeń wolnościowych [...]. Mamy nadzieję, że głos nasz nie zostanie bez echa, a szcęk broni w rękach Waszych wzbudzi poszanowanie nawet wrogów waszych. Śladami Berka Joselewicza kroczcie! Do broni! Za wolność Polski! Za wolność wszystkich jej obywateli! Do broni! Do szeregów polskich!”

NA WOJNĘ Z MOSKALAMI

Współautorem tego datowanego na wiosnę 1915 r. apelu o wstępowanie do

Legionów Polskich – największej polskiej formacji niepodległościowej czasów I wojny światowej – był Jakub Szacki, w niedalekiej przyszłości wybitny historyk polski i żydowski, a w 1914 r. żołnierz Pierwszej Brygady. Wzywając młodzież żydowską do walki o niepodległość Polski, za wzór stawiano jej Berka Joselewicza, polskiego oficera z czasów insurekcji kościuszkowskiej, a później Legionów Dąbrowskiego i Księstwa Warszawskiego, który poległ w 1809 r. pod Kockiem, w potyczce z Austriakami, stając się symbolem orężnego udziału Żydów w zmaganiach o przywrócenie niepodległej Rzeczypospolitej.

Na wezwanie do walki z zaborcą rosyjskim odpowiedziało co najmniej 650 polskich Żydów. To niemało, biorąc pod uwagę, że na taki wybór zdecydował się wówczas znikomy procent Polaków. Większość uznawała niepodległość Polski za mrzonkę, romantyczną iluzję, a czyn Legionów za działalność wręcz szkodliwą. Ci, którzy o niepodległość chcieli się bić z bronią w rękę, zdawali sobie sprawę z tego obojętnego, często niechętnego stanowiska większości społeczeństwa – chociażby Tadeusz Münnich (adiutant marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza we wrześniu 1939 r.), który wspominał, że pobyt uczniów szkoły instruktorskiej Strzelca w 1913 r. w Zakopanem „nadał szczególne piętno jego życiu i miał się roznieść szerokim echem po kraju, tak wśród tych, którzy sprzyjali ruchowi strzeleckiemu, jak i wśród olbrzymiej niestety większości, która uważała go wówczas za szalone i awanturnicze przedsięwzięcie”.

Kiedy zaś wybuchła wojna, sympatie społeczne w Królestwie Polskim kierowały się ku armii rosyjskiej, której życzone zwycięstwa w wojnie z Niemcami i Austro-Węgrami. Legionistów, wkraczających na ziemię zaboru rosyjskiego u boku wojsk tych państw, traktowano z niechęcią lub obojętnością. „Nikt nie wyniesie szklanki wody, nikt nie poda kromki chleba [...] To już nie Krakowskie, nie polska Galicja, to Rosja zaludniona szczepem mówiącym po polsku, ale czującym po rosyjsku” – pisał z goryczą Roman Starzyński, starszy brat wielkiego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, również legionisty.

Żydowskie ochotnicy służyli we wszystkich pułkach Legionów Polskich – piechoty, ułanów i jedynym artylerystycznym, a także jako lekarze, w inten-

denturze i służbie werbunkowej. Byli wśród nich rzemieślnicy, byli uczniowie gimnazjalni i studenci, a także lekarze, nauczyciele, dziennikarze. Był aktor i reżyser teatralny Henryk Hertz-Barwiński oraz znakomity artysta malarz – Leopold Gottlieb, który swoimi rysunkami upamiętnił setki twarzy legionistów i udokumentował ich życie codzienne.

Wstępowali ochotniczo do Legionów z takich samych powodów jak Polacy – żeby bić się zbrojnie o niepodległość. Na kształtowanie ich postaw główny wpływ miały najpewniej szkoła i otoczenie polskie w zaborze austriackim, gdzie Legiony zostały sformowane.

DZIELNY HERSZLIK

Żydowskie żołnierze Legionów Polskich nie odznaczali się mniejszą odwagą na polu walki niż inni. Zaprzeczali w ten sposób stereotypowym opiniom o rzeckiej bojaźliwości i niechęci do służby wojskowej. W dostępnych źródłach nie ma w zasadzie informacji o zachowaniach niezgodnych z obowiązkami wojskowymi. Przeciwnie – zawierają one liczne przekazy o pełnym poświęceniu i okazanym męstwie.

O Herszliku Feinkuchu z 4. Pułku jego dowódca Bolesław Ostrowski pisał, że „gwałtem wyrwał się na patrol; gdy czasami, mając za dużo ochotników, zostawiałem go w okopach, to ukradkiem dołączał do patrolu na przedpolu”. Warto tu przytoczyć pewien zabawny epizod wspomniany przez Ostrowskiego. Otóż w czasie walk pod Koszyszczami na Wołyniu do kompanii, w której służył Feinkuch, przeniesiono z taborów za karę innego legionistę pochodzenia żydowskiego. Pewnej nocy Ostrowski był świadkiem rozmowy między owym nieznanym z nazwiska żołnierzem a Feinkuchem: „Feinkuch należał do najdzielniejszych żołnierzy-patrolowców; nowo wcielony natomiast był wielkim tchórzem. Raz, podczas nocnego czuwania podsłuchałem taką ich rozmowę. Feinkuch: »Ty parszywy żydzie, ty tchórz jeden, przynosisz wstyd całej nacji żydowskiej. Powiedz – czemu ty się tak boisz? – Wiesz! Ja ci coś powiem – odpowiedział zagadnięty. – Ja nie jestem taki tchórzliwy, tylko ja nie jestem taki ciekawy. Widzisz, tu przybył taki rekrut, był bardzo ciekawy, wylazł za okop i już go nie ma – a ja jestem 16 miesięcy na wojnie i żyję jeszcze”. Niestety – dzielny Herszlik Feinkuch zginął 30 sierpnia

1916 r. podczas ostatniego patrolu swojej kompanii na Wołyniu.

Ledwie kilka tygodni wcześniej poległ na Wołyniu Dawid Moneta, harcerz z Będzina, podoficer 1. Pułku Piechoty Pierwszej Brygady Legionów, służący w nim od samego początku. Koledzy Monety napisali wówczas list do jego brata Samuela: „W marszu 12 VII 1916 roku. Szanowny Panie! Jako kolega i towarzysz broni pańskiego brata czuję się w obowiązku doniesienia Panu, ach, niestety bardzo smutnej nowiny, mianowicie: Brat Pański zginął chwalebną śmiercią zraniony w głowę szrapnelem na stanowisku. Padł na polu, jak bohater, gdzieś



Izaak Jungerman, odznaczony
Virtuti Militari za pomoc rannym
na pierwszej linii walki FOT. ARCHIWUM

hen na kresach Polski, jednakowoż Imię Jego pozostanie na zawsze w pamięciach naszych”.

„PRAWDZIWY POLAK WYZNANIA MOJESZOWEGO”

Wielką ofiarnością wyróżniali się także lekarze i sanitariusze – bez wyjątku niezwykle wysoko oceniani we wnioskach odznaczeniowych za wzorowe pełnienie służby pod ogniem nieprzyjaciela. We wniosku o odznaczenie Virtuti Militari Izaaka Jungermana z Będzina, podoficera Pierwszej Brygady, czytamy, że w bitwie pod Wielkim Miedwieżem w czasie kampanii wołyńskiej „przez cały czas pełnił służbę podoficera sanitarnego na linii, opatrując rannych bez najmniejszego odpoczynku”. Znakomite opinie miał u oficerów legionowych, a w międzywojniu generałów Wojska Polskiego. Dla Stefana Dęba-Biernackiego był „wzorem dla wszystkich sanitariuszy,

Przynależność taktyczna i zmiany:					
Od dnia	Do dnia	Pluk	Bat.	Kompania	Szara
4. IX 1914	16. IX 1914	1.	kapł.		Strzegomia
16. IX 1914	19. IX 1914		I	4	" "
19. IX 1914	20. IX 1914		kapł.		" "
20. IX 1914	12. X 1914		zastępcy		" "
12. X 1914	14. X 1914		kapł.		" "
14. X 1914	26. X 1914		zastępcy		" "
26. X 1914	18. XI 1914	1.	I.	2.	30. X 1914. Kawał.
KOMENDA					
2. Kompanii i Batalionu					
1. Pułku Brygady Piłsudskiego.					
Mansperl					

Udział w pracy liniowej.		
Od	Do	Brat udział w bitwach
22. X 1914	26. X 1914	pod Łaskami
26. X 1914	28. X 1914	„Sawadę
28. X 1914	30. X 1914	„Laskowice
30. X 1914	1. XI 1914	„Laskowice
1. XI 1914	2. XI 1914	„Morsinkowice
2. XI 1914	3. XI 1914	„Pielaszowice
3. XI 1914	4. XI 1914	„Limanowa
4. XI 1914	5. XI 1914	„Wład na Włocławek
KOMENDA		
2. Kompanii i Batalionu		
1. Pułku Brygady Piłsudskiego.		
Mansperl		

Książeczka wojskowa szeregowca 1. Pułku Piechoty Józefa Hellera, później wybitnego biochemika. FOT. CAW

■ zawsze, mimo największego ognia, z poświęceniem się pełnił swą służbę”, a wedle gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego „odznaczał się niezwykłą odwagą, brawurą i pełną poświęcenia pracą. Nie było dla niego zbyt silnego ognia – zawsze dotarł tam, gdzie była jego pomoc konieczna”.

Wiadomo, że ten dzielny żołnierz poległ jako sierżant Wojska Polskiego w początkach wojny polsko-bolszewickiej. Wiele lat później wspominał go kapelan legionowy ks. Henryk Ciepichall: „Jestem pełen czci dla jego bohaterskości i poświęcenia [...]. Niósł on pomoc rannym podczas bitew, będąc sanitariuszem. Nie było dla niego niebezpieczeństwa, o ile chodziło o wyniesienie rannego z ognia, względnie przyniesienie pomocy nawet wbrew woli znajdujących się na widocznym miejscu rannych, uważających siebie za straconych, a nie chcących jego narażać na pewną śmierć [...]. Prawdziwy Polak wyznania mojżeszowego, aby wszyscy tacy byli wyznania rzymskokatolickiego. Cześć największa jego pamięci”.

NIE DOCZEKALI NIEPODLEGŁEJ

Wśród żydowskich legionistów było przeszło 50 oficerów. Chociaż nie było to regułą, przede wszystkim ci młodszy, którzy wywodzili się z przedwojennych

kadr strzeleckich, wykazali się dużymi zdolnościami wojskowymi i ideowością. To zaś dawało wielkie nadzieje na wykorzystanie ich umiejętności w nieodległej przyszłości, kiedy odrodziło się państwo polskie. Niestety – kilku spośród tych wybitnych oficerów poległo na szlaku legionowych bojów. Byli wśród nich Bronisław Chaber-Mansperl i Józef Blauer-Kratowicz. Obaj spotkali się w 1913 r. w szkole instruktorskiej Strzelca w Stróży, gdzie pod komendą Józefa Piłsudskiego nabywali umiejętności wojskowych, których wymagano od przyszłych oficerów armii polskiej.

Mansperl pochodził z Warszawy, tam kształcił się i brał udział w strajku szkolnym w 1905 r. Nie chcąc studiować na rosyjskim uniwersytecie w Warszawie, wyjechał do Paryża, gdzie w latach 1909–1914 studiował medycynę na słynnej Sorbonie, działał w Związku Walki Czynnej i był „faktycznym kierownikiem młodzieży niepodległościowej w Paryżu”. Blauer, absolwent gimnazjum w Samborze i student na Wydziale Budowy Maszyn politechniki we Lwowie, przed wojną działał w Organizacji Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”, był współzałożycielem i pierwszym kierownikiem Związku Strzeleckiego w Samborze. „Obaj byli przedstawiciela-

mi tego odłamu młodzieży żydowskiej, który prawo obywatelstwa w wolnej Polsce uważał za obowiązek wywalczać od pierwszych chwil poczynając o jej wolność” – wspominał ich kolega ze szkoły w Stróży, Tadeusz Münnich.

I Mansperl, i Blauer służyli w Legionach od pierwszych dni, „Chaber” jako żołnierz kompanii kadrowej. Obaj bili się we wszystkich bojach Pierwszej Brygady w zaborze rosyjskim, Blauer jako jeden z pierwszych legionistów otrzymał awans oficerski, Mansperl – niedługo później. O Blauerze wiadomo, że stale odmawiał wykorzystania przysługującego mu urlopu i opiekował się podległymi mu żołnierzami, kupując im ze swoich poborów bieliznę i buty. Według kolegi z oddziału, ppłk. Stanisława Kalabińskiego, był jednym z najzdolniejszych oficerów Pierwszej Brygady: „Subordynacyjny i karny, nie uchylał się od żadnego rozkazu i polecenia. W służbie poważny, pozą nia towarzyski i koleżeński, prawdziwy żołnierz, nad życie kochał swych żołnierzy [...]. Jego wybitne zdolności wojskowe, nadzwyczajna odwaga i precyzyjne wykonanie każdego rozkazu znane były wszystkim”. Obaj ci znakomici oficerowie polegli w odstępie kilku godzin 25 października 1915 r. pod Kukłami w czasie ciężkich walk toczonych z Rosjanami na Wołyniu.

Dodajmy, że w Legionach służył też brat Józefa – Zygmunt Blauer-Chełmski, wcześniej działający wraz z nim w ruchu zarzewiackim i Związku Strzeleckim. Ciężko ranny w czerwcu 1915 r., nigdy nie odzyskał w pełni zdrowia. W chwili kryzysu przysięgowego, latem 1917 r., był żołnierzem 5. Pułku Piechoty Pierwszej Brygady w Zambrowie. Tam nawoływał do bojkotu przysięgi na wierność państwu centralnym, za co na polecenie płk. Władysława Sikorskiego został aresztowany i uwięziony, a później – jako obywatel austriacki – wysłany na front włoski. W odrodzonym Wojsku Polskim, mimo częściowego inwalidztwa, służył w Oddziale II Dowództwa Grupy gen. Władysława Jędrzejewskiego i według jego opinii był „bardzo dobrym i pracowitym oficerem, sumiennym, zrównoważonym, zawsze stojącym na wysokości swego zadania”. W końcu 1921 r. z powodu inwalidztwa został zwolniony z wojska, a dwa lata później, w związku ze stwierdzeniem 80-procentowej utraty zdrowia, uznany za trwale niezdolnego do służby woj-

skowej. Zamieszkał we Lwowie przy ul. Murarskiej, tam zmarł przedwcześnie w 1926 r. i spoczął obok swojego poległego w Legionach brata na cmentarzu Janowskim.

JAKIŻ MIELI INTERES?

Dobitnym świadectwem mężnej postawy żydowskich legionistów jest lista poległych, która obejmuje niemal 10 proc. wszystkich żołnierzy Legionów pochodzenia żydowskiego, których nazwiska udało się ustalić, oraz nadane im w niepodległej Polsce liczne odznaczenia Virtuti Militari i Krzyża Walecznych.

Po likwidacji Legionów żołnierze Pierwszej i Trzeciej Brygady zostali internowani w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie. Ci z Drugiej Brygady pozostali w służbie, lecz kiedy państwa centralne zawarły traktat brzeski z Ukrainą, zbrojnie zaprotestowali przeciw oderwaniu Chełmszczyzny od ziem polskich, usiłując – w części skutecznie – przebić się na rosyjską stronę frontu pod Rarańczą w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r. Wielu dostało się wówczas do niewoli i zostało internowanych na Węgrzech.

Kiedy w listopadzie 1918 r. odradzało się państwo polskie, większość spośród nich wstąpiła do Wojska Polskiego. Brali udział w wojnach o granice Polski odrodzonej, od obrony Lwowa i wojny z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej, następnie w wojnie z bolszewikami i w trzecim powstaniu śląskim. We wrześniu 1939 r. ci, którzy służyli w Wojsku Polskim, bronili Polski przed agresją z zachodu i ze wschodu. Część znalazła się w niewoli niemieckiej lub sowieckiej, lecz niektórzy zdążyli przedostać się do armii polskiej we Francji, a po jej klęsce, o ile nie zostali internowani w Szwajcarii – tak jak oficer 2. Dywizji Strzelców Pieszych Kazimierz Szczerba-Likiernik – w Polskich Siłach Zbrojnych w Wielkiej Brytanii.

Większość dawnych legionistów pochodzenia żydowskiego pozostała w okupowanym kraju, po czerwcu 1941 r. w całości zajętym przez Niemców. Niemal wszyscy zginęli ze swoimi rodzinami w niemieckich obozach zagłady – Treblince, Bełżcu, Auschwitz-Birkenau. Ci, którzy dostali się do niewoli sowieckiej – tak jak uczestnicy obrony Lwowa przed Niemcami płk Maksymilian Landau i mjr Ignacy Schrage – lub później zostali aresztowani przez NKWD, w większości



Z prawej strony – Józef Blauer-Kratowicz, który zginął pod Kuklami. FOT. CAV

zginęli w Katyniu, Charkowie i innych miejscach kaźni.

Losy Żydów – żołnierzy Legionów Polskich bijących się o niepodległość Polski wtedy, kiedy była ona marzeniem nielicznych, później zwykle służących w odrodzonym Wojsku Polskim w czasie zmagania o granice Rzeczypospolitej, a w przypadku wojny z bolszewikami o sam jej byt – są do dziś mało dostrzeganym świadectwem, że stosunki polsko-żydowskie nie sprowadzały się wyłącznie do konfliktu. Żydzi, wstępując do Legionów, dawali dowód miłości i przywiązania do ojczyzny. Zyskać mogli tylko jedną korzyść, którą tak przenikliwie dostrzegł Juliusz Kaden-Bandrowski, wspominając Bronisława Chabra-Mansperla: „Jaki też interes, prawdziwy, osobisty interes ma Mansperl w trosce swej o walkę za Ojczyznę?... Mansperl był Żydem. – Istotnie, miał jeden wielki, prawdziwy, osobisty interes w walce za Polskę: przelewając za nią krew, pragnął sobie zdobyć do Niej prawo, którego by mu nikt odmówić nie śmiał. Miał więc ten sam interes, który mamy nawzajem wobec siebie, w godzinie poświęcenia i ofiary. Ale tak właśnie bywa w życiu: gdy własny interes zwiemy bohaterstwem, bohaterstwo odmiennego od nas typu ludzkiego chętnie podejrzewamy o interes”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

skończona, mieli być w Mszanie Dolnej. O kawalerji, kwatrującej w Dobrej od kilkunastu godzin, nie wiedzieli. W przejeździe przez



Oficerowie III batalionu nad Nidą (wiosna 1915 r.). Stoją: ppor. Hertz-Barwiński, k. p. ppor. Haber-Mansperl, ppor. Soroka-Zbijewski, k. p. ppor. Lelum-Marusiński, ppor. Fikusa, ppor. Rataj, por. Sas-Kulczycki deca 4 komp., ppor. Borowicz, k. p. ppor. Radowski-Zarski, ppor. Wojakowski, ppor. deca 1 komp., nin-Nowakowski. Siedzą: k. p. ppor. Dorobczyński, por. Wielkopolska 3 komp., kpt. Scwola-Wieczorkiewicz deca baonu, k. p. ppor. Żosik-Tessaro deca 2 komp., ppor. Wyżel-Szczepański, leża k. p. ppor. Nitecki, ppor. Szafranowski, ppor. Fiwicki.

Limanową rozbili browar, co spowodowało uspienie czujności doborowej kawalerji. W ataku tym nie ponieśliśmy prawie żadnych strat. Mieliśmy tylko jednego zabitego, kaprała Buczyńskiego, i dwóch rannych, sze-

W awangardzie 5.

Oficerowie III Batalionu nad Nidą, stoją od lewej: podporucznicy Hertz-Barwiński i Chaber-Mansperl. FOT. CAV

REDAKCJA:

Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPÓŁEM:

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Anna Sobieska-Wojtowicz (grafik)

Fotoreżyseria: Edyta Bortnowska

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś

Okładka: Atak żołnierzy pododdziałów 2. i 3. Pułku Piechoty na Wzgórze Cegielniane 4 listopada 1915 r. Natarcie było tak brawurowe i krwawe, że Niemcy nazwali to Wzgórze Polen Berg (Polskim Wzgórzem).

Rys. Marek Szyszko

WYKŁĘTY

PREMIERA 10 MARCA 2017 R.

„Wykłęty” to oparty na faktach film, którego akcja toczy się w Polsce, w drugiej połowie lat 40-tych. Jego bohaterami są członkowie zbrojnego podziemia niepodległościowego, walczący z władzą ludową o powojenny kształt Polski. Ludzie, którzy mimo olbrzymiej przewagi resortu bezpieczeństwa, wspieranego przez radzieckie NKWD, walczyli do końca o swoją sprawę.



Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza jest partnerem głównym filmu.

„Dzięki Fundacji PGNiG i prowadzonej przez nią akcji „Rozgrzewamy polskie serca” miałem szansę na dokończenie reżyserowanego przeze mnie filmu „Wykłęty”. Cieszę się, że tego typu inicjatywy wspierają tematykę historyczną w produkcji filmowej. Dzięki temu kolejne pokolenia Polaków mogą się czegoś dowiedzieć o okresie powojennym i o walce Żołnierzy Wykłętych. Bez historii nie da się budować tożsamości narodowej. To dowód na to, że można łączyć działalność komercyjną ze społeczną. Jestem bardzo wdzięczny Fundacji za okazaną nam pomoc.



Konrad Łęcki

- reżyser filmu „Wykłęty”



Marcin Kwaśny

- producent filmu „Wykłęty”